

MARGIT SANDEMO

WYSPA NIESZCZĘŚĆ

Z norweskiego przełożyła

MAGDALENA KWIATEK-SŁOBODA

POL-NORDICA Publishing Sp. z o.o.

Otwock 1997

ROZDZIAŁ I

Jest wieczór, a ja znajduję się na statku, który niedawno wyruszył w dziwną podróż. Bardzo się boję, gdyż nie znam jej celu. Wokół panuje mrok, a wszystko spowija głęboka, nieprzenikniona tajemnica.

Przeraża mnie trzeszczący od silniejszych uderzeń fal wiekowy kadłub żaglowca. Czuję lęk, obserwując pnące się ku niebu strzeliste maszty, oplecione pajęczyną lin, które jakby chciały schwytać kogoś w swoją groźną sieć. Cały statek przypomina chwilami postać sędziwego starca, który tylko czeka na śmierć.

Nie wiem, dokąd zmierza ten ponury frachtowiec. Nikt nie chce ze mną rozmawiać, może z wyjątkiem poczciwego niemłodego już marynarza. Wszędzie napotykam mur milczenia.

Opuszczam moją ukochaną Anglię. Na horyzoncie widzę jeszcze cieniutki znikający paseczek ojczystego lądu. Wiem, że już nigdy nie ujrzę tej ziemi, bo powrót oznaczałby dla mnie zgubę. Nie mam po co tam wracać.

Przez chwilę wydawało mi się, że pasażerowie zostali deportowani, ale wygląda na to, że tak nie jest. Znaleźli się tu z własnej woli, a mimo to nikt nie żąda od nich zapłaty.

Co ze mną będzie? Czy ta wyprawa rzeczywiście odsunie ode mnie groźbę śmierci?

Podróżujący nie budzą zaufania. Widzę wiele kobiet o nieprzyjaznych spojrzeniach. Jedna z nich nieustannie wodzi za mną wzrokiem. Czyżby wiedziała...?

Albo tamte trzy dziewczyny w nieskromnych sukniach, stojące przy rufie: są butne, wyzywające i obrzucają mnie pogardliwym, oskarżycielskim spojrzeniem.

Kim są ci wszyscy ludzie, moi współpasażerowie?

Nawet kapitan wydaje się nieżyczliwy i ponury; spogląda na podróżujących tak samo nieprzyjaźnie, jak ciekawscy gapie z nabrzeża.

Co takiego uczyniłam? Dlaczego wszyscy są wobec mnie wrogo usposobieni? Przecież starałam się jak mogłam, by pomóc pani Moore i jej córce Lindzie. Chciałam im pomóc z całego serca, zapominając o ratowaniu własnej skóry...

Dlaczego tak się stało? Pytam o cel podróży marynarza, ale on wykręca się od odpowiedzi. Odwraca wzrok, choć przedtem przecież okazywał mi życzliwość. Dlaczego dałam się wplątać w sprawę, z którą nie miałam nic wspólnego?

Nie, nie wolno mi wracać do tego, co się stało, to zbyt bolesne.

Tak rozmyślała Sharon. W końcu znużona ukryła się w kącie na górnym pokładzie,

starając się zapomnieć o dramatycznych wydarzeniach, które sprawiły, że się tu znalazła. Ale one powracały, dziewczyna wciąż przeżywała je od nowa. Od tamtego brzemiennego w skutki dnia upłynęły już trzy tygodnie...

Miasteczko jeszcze spało.

Na zielonych pagórkach, urozmaiconych tu i ówdzie pojedynczymi wierzbami, wybudowano niewielkie białe domki. W tej chwili wyglądały niczym ozłoczone porannym słońcem. W jego promieniach zdawały się odpoczywać, skryte w kwitnących, kolorowych ogrodach. Kępka żonkili wyciągała małe główki ku światłu, a rosa spływała łagodnie po żółtych kwiatkach.

Sharon wyszła na podwórze i zmrużyła oczy, oślepiona ostrym blaskiem. Dzień zapowiadał się taki piękny! Nagle ogarnęła ją głęboka radość. Miała za sobą wiele pełnych goryczy i samotności lat spędzonych w sierocińcu, ale teraz stało się to nieważne. Sharon wiedziała, że może liczyć wyłącznie na siebie, a mimo to była spokojna i pełna nadziei. Chłonęła ciszę poranka i wdychała zapach róż.

W domu ktoś od środka zapukał w szybę. Sharon dostrzegła w oknie zmęczoną twarz pani Moore, która przywoływała ją do siebie. To właśnie ona przygarnęła Sharon pod swój dach.

Dziewczyna wielokrotnie wracała myślą do dnia, w którym opiekunka z sierocińca oznajmiła:

- Posłuchaj, Sharon. Tu jest dom dziecka, a ciebie należy już uznać za dorosłą osobę. - W głosie opiekunki brzmiał wyraźny smutek. - Wprawdzie nie wiemy dokładnie, ile masz lat, ale z pewnością przekroczyłaś już dwadzieścia. Nie możemy cię tu trzymać w nieskończoność...

Sharon nie raz zadawała sobie pytanie, co się z nią stanie, gdy trzeba będzie opuścić sierociniec. Łudziła się jednak, że okaże się tu potrzebna: pomagała przecież w kuchni, w biurze i przy wszystkich innych zajęciach. Pracowała bardzo ciężko i często bolący krzyż dawał się jej we znaki. Ileż było takich wieczorów, gdy śmiertelnie zmęczona rzucała się na łóżko.

Z czasem zaszły zmiany, zatrudniono nowych pracowników i Sharon przestała być potrzebna.

- Masz szczęście, Sharon - mówiła dalej opiekunka. - Znam pewną panią, która mieszka za miastem i rozgląda się za pomocą domową. Jej córka pracuje w tutejszym szpitalu. Pani Moore jest słabego zdrowia i nie daje sobie rady sama. Zapewni ci wikt i dach

nad głową. Myślę, że to powinno ci wystarczyć.

Rzeczywiście, Sharon była zadowolona ze swojego nowego domu. Pani Moore nie wymagała szczególnej opieki, a gospodarstwo liczyło zaledwie kilka zwierząt. Po półrocznym pobycie u pani Moore Sharon powoli zapomniała o trudnych latach spędzonych w sierocińcu.

- Wstała dziś pani bardzo wcześnie, pani Moore - zagadnęła wesoło Sharon, ale zaraz zaniepokojona zatrzymała się w drzwiach.

Pani Moore leżała wsparta wysoko na poduszce i ciężko oddychała. Chciała otworzyć okno, ale nagle poczuła się gorzej.

- Co się pani stało? - Dziewczyna podbiegła do łóżka chorej. - Czy to kolejny atak?

Drobna kobieta przytaknęła.

- Linda... Linda nie wróciła do domu...

Sharon odszukała lekarstwo i podała je gospodyni.

- Linda często się spóźnia - uspokajała. - Nocny dyżur w szpitalu nie zawsze kończy się punktualnie.

Blade wargi pani Moore powoli nabierały koloru.

- Biedna dziewczyna, że też tak ciężko musi pracować! Ale co zrobić? Potrzebne są nam pieniądze. Zwłaszcza teraz, kiedy się tak rozchorowałam...

- Proszę się nie martwić, Linda z pewnością zaraz wróci. To dzielna dziewczyna.

Twarz pani Moore rozjaśnił uśmiech pełen nadziei i miłości.

- Gdyby nie Linda...

Sharon dobrze wiedziała, jak wiele córka znaczy dla pani Moore. Jedyńca była jej dumą i stanowiła teraz dla matki jedyną podporę. Ojciec Lindy okazał się awanturnikiem i pijakiem, który wszystkie niepowodzenia odbijał sobie na żonie. Jego tryb życia nie mógł doprowadzić do niczego dobrego, toteż któregoś zimowego wieczoru, wracając z suto zakrapianej libacji, zasnął na drodze i zmarzył na śmierć. Pani Moore miała też dwóch synów: pierwszego zastrzelono, gdy usiłował dokonać włamania, drugiego skazano na dożywocie. Matce pozostała jedynie córka, której poświęcała każdą myśl.

- Nie rozumiem, dlaczego jeszcze jej nie ma - wzdychała pani Moore.

Sharon starała się uspokoić chorą. Starsza pani nie powinna się martwić, bo jej stan jeszcze się pogarszał. Sharon wiedziała, że pani Moore nie pozostało już wiele życia.

- Jesteś taką dobrą dziewczyną, Sharon. Często się zastanawiam, skąd bierze się w tobie tyle ciepła i radości? Zawsze promieniejesz jakąś niezwykłą siłą, zupełnie jakbyś była zakochana. Powiedz mi, jak to z tobą jest?

- Nie, skądże, zakochana nie jestem, tylko taki już mam charakter. Cieszę się słońcem,

przyrodą, śpiewem ptaków i również tym, że u pani mieszkam. Po prostu kocham życie.

- A czy dobrze ci u nas?

- Lepiej niż bym sobie mogła wymarzyć - odpowiedziała cicho.

- Nie bywa ci czasem smutno? Nie tęsknisz za rówieśnikami, za chłopcami?

Sharon uśmiechnęła się, słysząc tak szczere i życzliwe pytania.

- Jest mi bardzo dobrze. Oczywiście, jak każda dziewczyna mam marzenia, czasami spotykam się z rówieśnikami, rozmawiam z nimi, niekiedy nawet serce zabije mi mocniej. Ale nic więcej się nie dzieje - Sharon wyprostowała się nagle i dodała z blaskiem w oczach: - Wiem, że nadejdzie taki dzień, gdy spotkam tego jedyne, proszę pani. Wtedy wszystko samo się ułoży. Będzie silny, opiekuńczy i na pewno przystojny. Będzie trzymał mnie w ramionach i chronił przed wszystkim, co złe. Tak wyobrażam sobie miłość.

- Boję się, dziecko, że nie zawsze jest ona spełnieniem marzeń - odparła w zadumie pani Moore. - Na to nie ma się żadnego wpływu. Być może nigdy nie spotkasz swojego wyśnionego ukochanego, a zwiążesz się z całkiem zwyczajnym chłopcem, który będzie paradował po domu w kapciach i nie najczystszej koszuli, zapomni pochwalić upieczone przez ciebie ciasto i z czasem przeredzą mu się włosy. Zresztą nie zawsze przystojny mężczyzna wart jest zachodu. Przypominam sobie, że kiedyś kochałam się w chłopcu, który miał okropnie krzywe nogi, mnie jednak wydawał się wspaniały. Kiedy ktoś mówił o krzywych nogach, rumieniłam się ze szczęścia. Rozumiesz mnie? Nie kocha się dlatego, że człowiek jest piękny, on staje się piękny, bo ktoś go kocha.

Sharon przytaknęła ochoczo.

- Pamiętaj jednak, że każdy ma prawo do miłości, nawet ten najbrzydszy - ciągnęła pani Moore. - Jego uczucie może być nawet silniejsze. Jesteś taka śliczna, Sharon, na pewno spodobaś się niejednemu. Ale nawet wtedy, gdy nie będziesz kimś zainteresowana, nie drwij z uczuć, jakie żywi dla ciebie. Nie wyśmiewaj jego starań i nadziei na zdobycie twojego serca. Tacy ludzie i tak nie mają łatwego życia z powodu niedostatków urody. Nie utrudniaj im go jeszcze bardziej. Tak, tak, niełatwo być piękną, moje dziecko, to wymaga odwagi i taktu. Odmówić komuś, nie raniąc go, to wielka sztuka.

- Ale wolno mi chyba zachować marzenie o tym jedynym, najpiękniejszym? - zapytała Sharon onieśmielona powagą pani Moore.

- Marzenie o przystojnym i silnym mężczyźnie nie jest grzechem. Zachowaj je tak długo, jak potrafisz!

Na twarzy Sharon pojawił się cień smutku.

- Czy naprawdę nikt nie wie, skąd się wzięłam?

- Niestety, nie.

- Ale przecież noszę nazwisko O'Brien!

- Widzisz, pewnego dnia, wiele lat temu, przed wejściem do sierocińca jedna z opiekunek zobaczyła małą dziewczynkę. Byłaś mizerna i wyczerpana, więc nie dało się dokładnie określić twojego wieku. Trzymałaś w rączce krótki, niewiele mówiący list. To tu zdecydowano nadać ci nowe imię i nazwisko - westchnęła pani Moore.

- Czy widziała pani ten list?

- Owszem, pokazano mi go. Ktoś napisał w nim:

Zaopiekujcie się dzieckiem. Ja jestem śmiertelnie chora i nie chcę jej zarazić. Dziewczynka jest grzeczna i nie sprawi kłopotów. Nie szukajcie rodziców, gdyż nic nie znaczą i nigdy ich nie znajdziecie.

- I to wszystko?

- Tak. Jednak sposób formułowania zdań przez piszącą wskazywałby, że pochodziła z Irlandii lub Walii. Świadczyła o tym również twoja uroda: rude włosy, zielone oczy i bardzo jasna karnacja. Dlatego też nadano ci celtyckie imię Sharon.

- Czy myśli pani, że moja matka była kobietą lekkich obyczajów?

- Nie można o tym przesądzać i wcale nie powinnaś tak myśleć. Z pewnością nie zaznała szczęścia, ale chciała przecież wyłącznie twojego dobra. Zresztą czy to ma aż tak wielkie znaczenie, kim byli rodzice? Najważniejsze, byś sama wiedziała, kim jesteś. A moim zdaniem jesteś najwspanialszą dziewczyną. No, oczywiście poza Lindą.

- Dziękuję, pani Moore - Sharon uśmiechnęła się zawstydzona. - Myślę, że powinna pani teraz odpocząć.

Niepokój znowu pojawił się na twarzy chorej kobiety.

- Ale co z tą dziewczyną? Teraz już naprawdę zaczynam się niepokoić, czy jej się co nie stało.

Sharon sprawdziła puls chorej, teraz słaby i nierytmiczny.

- Pani Moore, najlepiej będzie, jeśli pójdę do szpitala i sprawdzę, co zatrzymało Lindę - rzekła zdecydowanym głosem Sharon..

- Naprawdę mogłabyś to zrobić? Tak się martwię!

Sharon narzuciła czerwoną pelerynę, którą uszyła dla niej pani Moore. Linda miała dokładnie taką samą. Wprawdzie trudno uznać czerwień za najszcześniejszy kolor dla Sharon, ale ona i tak cieszyła się ogromnie z tego podarunku.

Do miasta nie było daleko. Sharon szybko pokonała drogę.

- Linda Moore? - powtórzyła surowym głosem siostra przełożona. - Pracowała tu jakiś

czas, ale szybko zrezygnowała. Zajął się opieką prywatnie. Praca w szpitalu nie odpowiadała jej, była zbyt ciężka i mało płatna jak na jej wymagania - ciągnęła pielęgniarką. - Zresztą ta dziewczyna zupełnie się do tej pracy nie nadawała.

Sharon nie mogła uwierzyć. Usłużna, miła Linda nie nadawała się?

- Nie wie pani, gdzie mogłabym ją teraz znaleźć? - spytała cicho.

- Odeszła od nas parę miesięcy temu. Wynajęła, zdaje się, pokój na poddaszu w domu, w którym miała opiekować się chorym. To niedaleko stąd.

Wynajęła pokój? Jak to możliwe, skoro Linda codziennie rano wracała z dyżuru do domu? Potem znowu szła tam na wieczór. Przecież nawet pensję oddawała mamie...

Gdy Sharon zdobyła już adres Lindy, ruszyła pospiesznie we wskazanym kierunku. Dotarła do właściwego budynku i weszła na klatkę schodową. Wędrując po stopniach w górę, odczytywała kolejno nazwiska lokatorów na tabliczkach i zastanawiała się, który z nich jest podopiecznym Lindy. Dziwne, że nic dotychczas nie wspomniała o zmianie pracy.

W końcu Sharon dotarła do drzwi, na których nie widniało żadne nazwisko. Zapukała ostrożnie.

Za drzwiami dały się słyszeć pośpieszne, nerwowe kroki, które po chwili ucichły.

Sharon nasłuchiwała, ale nadal nic się nie działo. Zdecydowała, że należy dowiedzieć się, kto tu mieszka. Nachyliła się i niepewnym głosem zapytała:

- Linda? Czy tu mieszka Linda Moore?

Znowu ktoś szybko zbliżył się do drzwi. Teraz Sharon słyszała nawet niespokojny oddech stojącej z drugiej strony osoby, a w końcu przez drzwi dobiegł ją szept:

- Sharon...?

- Tak, to ja, otwórz, proszę!

- Nie mogę. Jak mnie tu znalazłaś?

- Lindo, mama źle się czuje, a twoja nieobecność jeszcze bardziej ją niepokoi.

Na te słowa drzwi natychmiast się otworzyły.

- Mama chora? To niemożliwe...

Sharon ujrzała przed sobą Lindę. Na jej twarzy malował się przestach.

- Jak ty wyglądasz, co się stało?

- Wchodź - krótko odpowiedziała Linda - Sharon, ty jesteś taka zręczna i odważna!

Konieczniesz mi pomóc!

Sharon ze zdumieniem przyglądała się nieopisanemu bałaganowi, jaki panował w pokoju. Uderzyła ją woń spalenizny. Halka, którą miała na sobie Linda, była cała w mokrych plamach, piękne, zazwyczaj lśniące włosy dziewczyny sterczały teraz każdy w inną stronę. W

miednicy moczyła się sukienka, na której widniały plamy z krwi.

Sharon poczuła, że robi jej się słabo.

- Co się tutaj stało i dlaczego w ogóle tu mieszkasz?

- Opiekuję się pacjentem, któremu rano i wieczorem robię zastrzyki. Nalegał, żebym była pod ręką, i dlatego tu zamieszkałam - wyjaśniała Linda z takim pośpiechem, aż słowa jej się plątały. - Sharon, musisz mi pomóc - złapała przybraną siostrę za ramię - zapomniałam zabrać rękawiczki i już nie mam sił po nie wracać.

- Do tego pacjenta?

- Nie, nie, tylko do kamienicy za rogiem. Mieszkanie na pierwszym piętrze, pierwsze drzwi na prawo. Rękawiczki leżą na skrzyni zaraz obok wejścia, a drzwi nie są zamknięte.

- Czy nie możesz wyjaśnić mi wszystkiego po kolei?

- Nie teraz, pośpiesz się! - zawołała histerycznie Linda. - Ja się szybko ubiorę i zaraz idę do mamy. Ty także tu nie wracaj, tylko pędź prosto do domu.

Nie dopuszczając Sharon do głosu, Linda nieomal wypchnęła ją na korytarz i zatrzęsnęła drzwiami.

Sharon zastanawiała się chwilę, po czym zbiegła na dół i już była na ulicy.

Budynek, który Sharon miała odszukać, znajdował się kilkadziesiąt metrów za najbliższym rogiem. Stał nieco oddalony od drogi, co zapewniało lokatorom spokój. Zadbane otoczenie, czyste ściany i ładne, dębowe drzwi świadczyły o tym, że dom należał do kogoś bogatego.

Sharon nacisnęła klamkę i znalazła się na przestronnych schodach. „Pierwsze piętro, pierwsze drzwi po prawej stronie...” Lekkie kroki Sharon tłumił wąski chodnik, którym wyłożono stopnie prowadzące na górę. Na właściwym piętrze zauważyła, że drzwi do mieszkania po prawej są lekko uchylone. Zajrzała ostrożnie...

Sharon bardzo chciała pomóc Lindzie, która najwyraźniej narobiła sobie jakichś kłopotów, ale nawet nie zdążyła się zastanowić, jakiego rodzaju. Dlatego gdy w chwilę później ujrzała wnętrze pokoju, omal nie zemdląca. Poczucia, że serce podskoczyło jej do gardła...

Na podłodze, koło szerokiego, drewnianego, ręcznie zdobionego łoża, leżały zwłoki mężczyzny w średnim wieku. Jego ciało nosiło oznaki wielokrotnych uderzeń ciężkim przedmiotem.

Lindo, coś ty narobiła?! pomyślała przerażona Sharon. O Boże!

W tej chwili na dole dało się słyszeć skrzypnięcie drzwi. Sharon drgnęła, chwyciła rękawiczki Lindy i czym prędzej zbiegła ze schodów. Wydało się jej, że w chwili gdy

opuszczała dom, w głębi korytarza przemknęła jakaś kobieta.

Nie miała odwagi biec, szła więc spiesznym krokiem przez puste ulice miasta, kierując się ku wsi.

Na ganku domu pani Moore Sharon natknęła się na Lindę, która poprosiła:

- Mama jest coraz słabsza. Nic mów jej nic, błagam...

- Nic nie powiem - odparła sucho Sharon. - Oto twoje rękawiczki.

- Och, Sharon, jesteś cudowna! - krzyknęła Linda, przybierając minę niewiniątka. - To był wypadek...

- Nie sądzę - przerwała Sharon. - Coś ty zrobiła?

- Ktoś cię widział?

- Nie wiem, w każdym razie na pewno nie moją twarz.

Minęła Lindę i skierowała się do pokoju, w którym leżała pani Moore. Rzeczywiście, jej stan wyraźnie się pogorszył. Sharon poprawiła pościel i pomogła przybranej matce wygodniej się ułożyć, ale jej myśli nieustannie krążyły wokół tego, co wydarzyło się w mieście. Wiedziała jedynie, że musi oszczędzić chorej dodatkowych cierpień.

- Sharon, jestem ci taka wdzięczna, że sprowadziłaś Lindę - szeptała pani Moore. - Ale dlaczego okryła się tylko szalem, przecież powinna założyć pelerynę?

Sharon przeszedł dreszcz grozy; przypomniał się jej zapach spalenizny, Linda musiała ubrudzić okrycie, a potem je spaliła.

- Na dworze jest bardzo przyjemnie - odparła, odwracając oczy, i wyszła, by porozmawiać z Lindą.

- Chyba jesteś mi winna wyjaśnienia, Lindo?

- Czy to konieczne? - Pytana zamrugnęła oczami z miną niewiniątka.

- Może i nie, bo teraz już wszystko zrozumiałam - odrzekła Sharon. - Jeśli jednak oczekujesz ode mnie jakiegokolwiek pomocy, muszę wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Ten mężczyzna był twoim „przyjacielem”?

Milczenie Lindy starczyło za odpowiedź.

- W szpitalu powiedziano mi, że nie podołałaś obowiązkowi, więc nowy „pacjent” z własnym mieszkaniem okazał się świetną gratką. Dawno go poznałaś?

- Nie, tego nie... - pokręciła głową Linda.

- A więc było ich wielu?

Dziewczyna z lekceważącym uśmiechem wzruszyła tylko ramionami.

- Jak mogłaś...!

Nagle Linda wybuchnęła:

- A co miałam robić, z czego żyć? Jak myślisz, ile dostawałam w szpitalu za moją harówkę, za nocne dyżury? Sądzisz, że mama otrzymywała moją szpitalną pensję? Nawet by nie wystarczyło na lekarstwa! Ale teraz zdołałam odłożyć, i to dużo. Nie mam zamiaru żyć jak nędzarka, w ciągłym poniżeniu!

- Dobrze sobie. Poniżeniem jest życie, jakie właśnie prowadzisz!

- Ja odbieram to zupełnie inaczej. Mężczyźni po prostu mnie ubóstwiają, obdarowują prezentami. To całkiem naturalne.

Sharon była bliska rozpaczy.

- Dlaczego zabiłaś tamtego mężczyznę?

- Groził, że wezwie policję, bo go okradłam.

- Zrobiłaś to?

Linda znów wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że nie! Okazał się chciwcem, musiałam więc odebrać to, co mi się słusznie należało.

Sharon przerwała Lindzie:

- Zawsze sądziłam, że odziedzyczyłaś dobroć i łagodność po mamie, ale teraz widzę, że podobnie jak twoi bracia jesteś nieodrodną córką ojca.

- Ty się lepiej nie odzywaj! Sama jesteś podrzutkiem, córką ladacznicy!

Sharon zagryzła zęby i przez dłuższą chwilę nie była w stanie nic odpowiedzieć. W końcu zdołała się opanować.

- Twoja mama kocha cię nad życie, jesteś dla niej wszystkim. Jak mogłaś jej wyrządzić taką krzywdę? - spytała z wyrzutem.

- Czy nie rozumiesz, że to właśnie dla niej chciałam zarobić więcej pieniędzy? - wykrzyknęła rozzłoszczona Linda.

Sharon obserwowała w milczeniu przybraną siostrę. Miała wrażenie, że oto jest świadkiem ostatecznego upadku dziewczyny.

- Nikt nigdy się nie domyśli, kto zabił tego mężczyznę - ciągnęła Linda. - Zawsze starannie chowałam twarz i nie widziano mnie tam wieczorami. Przypadek zaliczą z pewnością do nie rozwikłanych zagadek, o których tak często się czyta w gazetach.

- Nie byłabym taka pewna. Na drodze unoszą się właśnie kłęby kurzu i chyba zbliża się posterunkowy?

- Co takiego?! - krzyknęła przerażona Linda. - Jak oni mnie tu znaleźli? Sharon, co ja mam robić? Przecież mama nie może się niczego dowiedzieć!

- Nie dowie się, bądź spokojna. Nie mam zamiaru ratować ciebie, ale mogę oszczędzić

cierpienia twojej matce.

Wóz zatrzymał się na podwórzu.

- To ona, to ona! - krzyknęła kobieta towarzysząca policjantowi - Dziś rano kazałam woźnicy ją śledzić. Chciałam wreszcie się dowiedzieć, kto nieustannie odwiedza gospodarza. Nie miałam wtedy pojęcia, że go zabiła!

Linda przyłgnęła odruchowo do Sharon. W tym momencie policjant zeskoczył z wozu i pomógł wsiąść masywnej, ubranej na czarno kobiecie.

- Która z nich? - zapytał ostrym głosem.

- To ta, poznaję po pelerynie. Często ją nosiła, a dziś dojrzałam nawet jej twarz!

Sharon zdrętwiała, gdy palec kobiety wskazał prosto na nią.

ROZDZIAŁ II

- Zwykle starannie się ukrywa - ciągnęła podniecona kobieta. - Ale kiedy dzisiaj zbiegała ze schodów, dostrzegłam te rude włosy!

Lindo, na Boga, powiedz coś, wyjaśnij!

Policjant zbliżył się do Sharon.

- Nazwisko?

- Sharon O'Brien, ale to pomyłka. Rzeczywiście, byłam w tym domu, gdyż miałam coś zabrać. Kiedy przyszłam, mężczyzna już nie żył!

Policjant nie dał wiary słowom Sharon, zaśmiał się tylko pogardliwie.

- Gospodyni widziała panią także wczorajszego wieczoru.

- To nie byłam ja!

- Ależ to ona, bez wątplenia! Poznaję po tej pelerynie - zapewniała kobieta.

Sharon zwróciła się teraz w stronę Lindy, lecz ta milczała jak zaklęta, tylko jej oczy nadal wyrażały ogromne zdumienie. Sharon dostrzegła w nich także ledwo uchwytny złowróżbny błysk.

- Jest mi naprawdę przykro, ale moja przyjaciółka ma identyczną pelerynę.

Policjant i kobieta spojrzeli na Lindę.

- To... to nieprawda! - po chwili zaskoczenia Linda odzyskała koncept. - Nigdy nie miałam takiego okrycia.

- Lindo! - pełen rozpaczy krzyk Sharon wyrażał najgłębszy zawód.

Policjant spoglądał to na jedną, to na drugą pannę. Po chwili nie miał już wątpliwości, która z nich jest winna: dziewczyna o rudych, falujących włosach, o prowokujących zielonych oczach z pewnością niejedno ma na sumieniu. I śmie jeszcze oskarżać tę kruszynę o anielskiej twarzy i melancholijnym spojrzeniu? Tego już za wiele!

- Odwiedzała nie tylko naszego gospodarza, lecz także innych. Ta kobieta jest w mieście dobrze znana!

- Więc na pewno ci... chciałam powiedzieć... panowie rozpoznają właściwą dziewczynę? - łudziła się Sharon.

- Nie sądzę, by się przyznali do takiej znajomości - rzekł sceptycznie policjant. - Zresztą pani i tak nic to nie pomoże. Czy pani tu mieszka?

- Tak

W tym momencie do rozmowy wtrąciła się Linda:

- Właściwie trafiła tu z sierocińca. Jej matka była kobietą lekkich obyczajów.
- Ach, tak - powiedział policjant, jakby to przesądzało o wszystkim.
- Ja nikogo nie zabiłam! Przysięgam! - krzyknęła zrozpaczona Sharon.
- To się jeszcze okaże. A teraz proszę ze mną.
- Czy mogłabym przedtem zabrać kilka drobiazgów? - zapytała.
- Jeśli się pani pośpieszy.

Sharon pobiegła do swojego pokoju. Linda ruszyła za nią.

- Sharon, musisz mnie zrozumieć. Mama nie może się o niczym dowiedzieć, więc gdybyś mogła wziąć winę na siebie aż do czasu, gdy nadejdzie jej koniec? Sama wiesz, że to kwestia kilku dni!

Sharon zastanawiała się przez moment.

- Nie, nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za tę straszną zbrodnię. Mogę jedynie przemilczeć twoje nazwisko. Nie przyznam się do niczego, ale nie wyjawię też prawdy pod jednym wszakże warunkiem: napiszesz oświadczenie, które okażą po śmierci twojej mamy.

Linda zgodziła się i szybko przyniosła papier i pióro.

Ja, Linda Moore, przyznaję się do popełnienia morderstwa, o które oskarżono Sharon O'Brien. Nie jest też prawdą, jakoby Sharon O'Brien była kobietą lekkich obyczajów.

- Dobrze, a teraz sprowadź do mamy doktora.

Linda rzuciła się Sharon na szyję.

- Dziękuję! Obiecuję ci, że za parę dni będziesz wolna. Następnie wybiegła z pokoju, pozostawiając w nim swą przybraną siostrę z kawałkiem papieru w dłoni. Sharon nie mogła zabrać oświadczenia ze sobą, gdyż policja na pewno będzie ją przeszukiwać. Zastanawiała się, co ma z nim zrobić, w końcu ukryła list w jednej ze szczelin w ścianie.

Pogłoski o morderstwie bardzo szybko rozniosły się po okolicy. Gdy wóz policyjny zajechał przed posterunek, na ulicy kłębił się już rozwścieczony, żądny zemsty tłum.

- To ona, to ta zbrodniarka! - padały okrzyki.

Sharon szybko znalazła się w budynku, po czym poprowadzono ją do niewielkiej celi. Po kilku godzinach celę otwarto i do środka wszedł starszy mężczyzna. Przedstawił się jej jako adwokat z urzędu i polecił opowiedzieć własną wersję wydarzeń.

- Pan powinien chyba usłyszeć prawdę?
- Ma się rozumieć.
- A może mi pan obiecać, że zachowa ją dla siebie?
- Nie, proszę pani. Tego oczywiście nie mogę zrobić. Moim zadaniem jest obrona pani

przed sądem. To, co przemawia na pani korzyść, przedstawię sędziom, przemilczę zaś obciążające panią fakty. Słucham więc.

Sharon przyglądała się swojemu adwokatowi. Niespodziewanie wydał się jej człowiekiem godnym zaufania, opowiedziała mu więc całą historię z najdrobniejszymi szczegółami. Gdy skończyła, mężczyzna rzekł:

- Doprawdy nie rozumiem, jak pani może brać na siebie winę za kogoś innego.

- A więc wierzy mi pan?

- Moim obowiązkiem jest wierzyć pani. Sądzę, że zebranie dowodów przeciwko owej Lindzie nie powinno sprawić nam trudności. Ktoś z sąsiadów musiał ją przecież zauważyć w tej nieszczęsnej czerwonej pelerynie.

- Nie sądzą, gdyż zawsze wychodziła późnym wieczorem, a wracała wcześniej rano. O pelerynie wie oczywiście pani Moore, ale jej nie wolno niepokoić! To by ją zabiło.

Adwokat kręcił zdumiony głową.

- Spróbuję obejrzeć mieszkanie, które wynajmowała Linda. Może znajdę jakieś resztki sukna w piecu. Porozmawiam też z jej podopiecznym. Niech się pani nie martwi, postaram się panią szybko stąd wyciągnąć.

Sharon odetchnęła z ulgą. Następnego dnia wezwano ją na przesłuchanie, w trakcie którego ani razu nie wymieniła imienia Lindy. Twierdziła, że jest niewinna, choć nie mogła na razie nic więcej powiedzieć.

Mijały dni. Od czasu do czasu odwiedzał ją adwokat, ale nie miał dla Sharon dobrych wieści: po pelerynie nie pozostało śladu, a przyjaciel Lindy nigdy jej w tym okryciu nie widział, jako że pokój dziewczyny mieścił się w tej samej kamienicy.

- Byłem także w pani pokoju, jednak nie znalazłem szczeliny, w której schowała pani oświadczenie. Ściany są tam pełne najróżniejszych dziur. Poza tym pani Moore ma się coraz gorzej.

Któregoś dnia policja, w związku z anonimowym zgłoszeniem, przeszukała ponownie pokój Sharon i znalazła ukryte w materacu pieniądze oraz kosztowności.

- Och, Linda! Jak ona mogła! - zapłakała dziewczyna. - A co z listem, czy niczego nie znaleziono?

- Nie - odparł adwokat.

- Musi pan tam znowu pojechać, Linda jest nieobliczalna. A jak ma się pani Moore?

- Pani Moore zmarła wczoraj po południu.

- Mój Boże! O niczym się nie dowiedziała?

- Nie. Gdy umierała, córka czuwała przy jej łóżku.

- Jak to dobrze! Teraz nie muszę już dłużej milczeć. Czy ona się nie zgłosiła?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Jakże teraz wyjaśnię panu, gdzie leży list?

- Sądzę, że udałoby mi się wyciągnąć stąd panią na kilka godzin. Wtedy pani sama wskaże mi skrytkę.

- Och, dziękuję panu, ale tak mi szkoda tej dziewczyny.

- Zupełnie niepotrzebnie - odparł szorstko adwokat. - Rozmawiałem z nią kilka razy. Ze swoim niewinnym wyrazem twarzy wyprowadzi w pole każdego.

- Czy pan jej wierzy?

Adwokat długo przyglądał się Sharon.

- Nie wiem dlaczego, ale wierzę, że to raczej pani mówi prawdę, tylko że jestem w tym, niestety, odosobniony.

W kilka godzin później opuścili więzienie. Dom pani Moore trwał pogrążony w głębokiej ciszy.

Trumnę z ciałem gospodyni przewieziono do kaplicy, a cały jej dobytek sprzedano. W domu spodziewali się zastać jedynie Lindę.

Ale Lindy już nie było. Sharon znalazła za to krótki list:

Droga Sharon,

wyjeżdżam, gdyż nie chcę pozostawać dłużej w domu, w którym zabrakło mamy. Nie mogę tu być również ze względu na Ciebie i to, co uczyniłaś. Wybaczam Ci wszystko, nawet fakt, że usiłowałaś obwinie mnie, twierdząc, że posiadałam taką samą pelerynę, jak Ty. Poinformowałam policję o przyczynach swojego wyjazdu.

Twoja przyjaciółka Linda

Sharon usiadła kompletnie zdruzgotana.

- Na szczęście mamy jej oświadczenie. Niech mi pani zaraz wskaże ten schowek.

Sharon z łatwością mogła przewidzieć dalszy bieg zdarzeń. To Linda ukryła pieniądze pod jej materacem. Musiała także przeszukać pokój co do milimetra i z pewnością to uczyniła.

Po oświadczeniu, rzecz jasna, nie było śladu.

W pokoju zapanowało długie milczenie. Sharon z twarzą ukrytą w dłoniach płakała cicho. Straciła resztki nadziei na wyjaśnienie sprawy.

- Teraz już wszystko przepadło?

- Obawiam się, że tak - rzekł adwokat. - Będę się starał robić, co w mojej mocy, ale kto w tej sytuacji uwierzy w pani niewinność?

- Jedynym ratunkiem była dla mnie pani Moore - szepnęła Sharon. - Sama zaciągnęłam sobie strzykawkę na szyję.

- No właśnie. Powinna mi była pani pozwolić z nią porozmawiać.

- Nie. Bez względu na to, co się stanie, cieszę się, że ominęła ją ta straszliwa prawda.

Adwokat nie wierzył własnym uszom.

- Sharon, w tej sytuacji nie mogę pani bronić. Właściwie już jest pani skazana za zbrodnię. Niech pani posłucha! - Adwokat schwytał ją za ramię i rzekł stanowczo: - Ma pani jeszcze jedną szansę. Proszę stąd uciekać! Słyszałem, że w nocy odpływa z portu statek. Powiem, że umknęła mi pani w kierunku skał i rzuciła się w przepaść.

- Ale... ja nie mam przy sobie żadnych pieniędzy?

- Podróż jest darmowa. Statek płynie na jedną z wysp u wybrzeży Kanady.

- Dlaczego darmowa?

Prawnik odpowiedział wymijająco:

- Och, chodzi, zdaje się, o kolonizowanie nie zamieszkanymi terenów i odbywa się to za zgodą władz.

- A co to za wyspa?

- Ja... ja... nie pamiętam jej nazwy. A zresztą to nie ma znaczenia. Nie mogę patrzeć, jak się pani pogrąża, biorąc na siebie winę za kogoś innego. Niech pani ucieka, ja wszystko załatwię. Niech pani już idzie prosto na statek!

- Dziękuję. - Sharon patrzyła z wdzięcznością na swego adwokata. - Nigdy nie zapomnę, co pan dla mnie zrobił.

Adwokat towarzyszył Sharon aż do portu, przy którym cumował duży żaglowiec. Przez chwilę Sharon wahała się, dostrzegając coś niepokojącego w spojrzeniach stojących na nabrzeżu mężczyzn. Wokół panowała przytłaczająca cisza.

Wreszcie wzięła głęboki oddech i weszła na pokład.

ROZDZIAŁ III

Ze srebrzystoszarej tafli morza wynurzyło się wschodzące słońce. Sharon przeciągnęła się, rozprostowując sztywnie kości, gdyż po nocy spędzonej w niewygodnej pozycji całe ciało miała zdrętwiałe.

Nowy dzień sprawił, że obudziła się pogodniejsza i w nieco lepszym nastroju, choć w miarę jak upływały kolejne godziny, Sharon na nowo ogarniało przerażenie.

Statek posuwał się leniwie. Jego pasażerowie, a raczej pasażerki, bo wyłączając załogę były to same kobiety, nie wykazywali chęci nawiązania kontaktu z dziewczyną.

Pod wieczór do Sharon podeszła jednak dobrze zbudowana kobieta o życzliwej twarzy. Sharon zwróciła na nią uwagę już wcześniej dzięki ciepłemu uśmiechowi, jakim tamta odwzajemniła jej pozdrowienie.

- Czy mogłabym się do ciebie przysiąść? - spytała niepewnie.

- Oczywiście, proszę - odpowiedziała uradowana Sharon.

- Nazywam się Margareth. Pozwoliłam sobie podejść, bo wydajesz mi się bardzo osamotniona.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się lekko dziewczyna. - Dostałam się na statek w ostatniej chwili i nikogo tu jeszcze nie znam.

- Ani ja. Ale cieszę się na tę podróż i nie mogę się doczekać jej końca. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Sharon wzięła głęboki oddech i zapytała:

- Powiedz mi, co to za wyprawa? Słyszałam, że chodzi o zaludnienie jakichś daleko położonych terenów.

Margareth spojrzała na Sharon zdumiona.

- To ty nic nie wiesz?

- A o czym miałabym wiedzieć? - zdziwiła się Sharon.

- Na wyspie znajduje się kopalnia węgla - zaczęła wyjaśniać Margareth. - Większość mieszkańców to mężczyźni, którym bardzo doskwiera samotność. Poza tym mówi się, że dzieją się tam niezwykle, mistyczne rzeczy, ale nic więcej nie udało mi się dowiedzieć na ten temat. Słyszałam, że ludzie nie chcą się tam osiedlać na dłużej. Dlatego władze zdecydowały wysłać na wyspę kobiety, które być może znajdą sobie wśród górników towarzyszy życia.

Sharon ogarniało rosnące przerażenie. Słyszała niegdyś o takim sposobie zaludniania nowo zdobytych kolonii, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że i ona ma uczestniczyć

w podobnym przedsięwzięciu.

- Przybyłe kobiety mają trzy miesiące na to, by znaleźć sobie partnera i zawrzeć z nim związek małżeński. Jeśli to im się nie uda, muszą powrócić do kraju. Na wyspie zostają wyłącznie rodziny, gdyż jest ona niewielka i nie pomieściłaby wszystkich. Jedziemy właśnie po to, by założyć rodziny.

Sharon siedziała jak sparaliżowana. Po chwili jednak odzyskała mowę i krzyknęła:

- Nie! To nieprawda! Nie jestem żadnym towarem, żadną rzeczą! Nikt nie ma prawa mną handlować! Ja chcę z powrotem do Anglii!

Margareth przyglądała się Sharon ze zdumieniem.

- Teraz już za późno na powrót. Jeśli ci to nie odpowiada albo jeśli to rzeczywiście nieporozumienie, nic chyba nie stoi na przeszkodzie, byś zabrała się rejssem powrotnym za miesiąc.

- Tak! - zawołała Sharon żywo, ale zaraz spochmurniała, bo przypomniała sobie powód, dla którego znalazła się na statku. - Nie, nie mogę wracać - westchnęła zrezygnowana. - Boże, co ja mam teraz ze sobą począć?

- Sharon, nie możesz podchodzić do sprawy tak, jakby wyspę zamieszkiwały wyłącznie same ciemne typy - tłumaczyła cierpliwie Margareth. - To przecież tacy sami ludzie jak my wszyscy. Cóż widzisz złego w górniku? Być może któryś z nich przypadnie ci do gustu.

- Nie mam nic przeciwko górnikom, droga Margareth - Sharon uspokoiła się już nieco. - Nie mogę się tylko pogodzić ze sposobem, w jaki się to odbywa. Gdzie tu jest miejsce na miłość, ciepło, zrozumienie? Choć to dziecinne i banalne, zawsze pielęgnowałam w sercu marzenie o mężczyźnie mego życia, o tym, jaki będzie. Nie masz pojęcia, jak wiele razy pomogło mi to przetrwać trudne chwile, Wysoki, przystojny, o jasnych włosach i silnych ramionach, które mnie obejmują... Teraz nadszedł chyba czas, bym pożegnała się z moim księciem z bajki... - westchnęła na koniec Sharon.

- Nie bądź taka pewna, a nuż spotkasz go na wyspie? - zagadnęła wesoło Margareth.

- Powiedz mi teraz, dlaczego ty tam jedziesz dobrowolnie?

Margareth ogarnęła wzrokiem pokład. Powoli zapadał zmrok, który zamazywał wyraźny dotąd kontur masztu i łopoczących na wietrze żagli.

- Nie jestem już najmłodsza, nigdy też nie byłam zbyt ładna, a zawsze marzyłam o rodzinie i mężu. Nadal tego pragnę. Myślę, że to moja ostatnia szansa.

Sharon siedziała zamyślona.

- Czy wszystkie kobiety ze statku płyną w tym samym celu?

- Na ogół tak. Niektóre, tak jak ty i ja, pełne romantycznych marzeń, inne pragną znaleźć ojca dla dzieci, które noszą w swoim łonie. Młode i wesole dziewczęta chcą przeżyć przygodę, dla nich ta podróż jest podniecająca. Jest też grupa kobiet, które uciekają przed wymiarem sprawiedliwości i policją. Inne policja sama wysyła na wyspę, bo chce się pozbyć kłopotu. Spotkasz tu kobiety dobre, uczciwe i te najgorszego gatunku.

- A mężczyźni chętnie je przyjmują?

- Przyjmują je z otwartymi ramionami, gdyż bardzo doskwiera im samotność.

To okropne, przeokropne, pomyślała Sharon, głośno zaś zapytała:

- Czy w takim razie kobieta po tym, jak została wybrana przez mężczyznę, musi się zgodzić na ślub?

- Nie, nikt nikogo nie zmusza do małżeństwa. Możesz powiedzieć „nie”. Masz trzy miesiące na podjęcie decyzji.

- To rzeczywiście wielkoduszne! - mruknęła Sharon.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Stała przy burcie i wpatrywała się w fale, które uderzały głucho o kadłub statku. Myśli dziewczyny krążyły wokół tego samego: nie chce umierać, ale cena, jaką przyjdzie jej zapłacić za ocalenie, wydaje się zbyt wysoka. Nie może powrócić do Anglii, resztę życia będzie zmuszona spędzić na odległej wyspie, i to u boku mężczyzny, z którym pewnie niewiele będzie ją łączyło.

Przytłoczona ciężarem problemów, stała zapatrzona w dal. Powoli dniało i żółty rogalik na niebie bladł z minuty na minutę.

W pewnej chwili Sharon drgnęła, wyczuwając czyjaś obecność. Był to marynarz, który przycupnął obok, wychylając się lekko za burtę. Dziewczyna ujrzała zarośniętą twarz starego wilka morskiego z gęstymi, wyrazistymi brwiami. Na głowie nosił lekko przekrzywioną czerwoną czapkę. Jego ogorzała twarz lśniła od potu.

- Przyszedłem się trochę ochłodzić - wyjaśnił głębokim basem. - A panienska jeszcze nie śpi?

- Nie - odpowiedziała Sharon życzliwie, gdyż rada była, że ktoś jeszcze chce z nią rozmawiać. - Martwię się o to, co przyniesie mi jutro. Czy wie pan, jak nazywa się owa wyspa, ku której zmierzamy? Odnoszę wrażenie, że kryje jakąś niezwykłą tajemnicę.

Za każdym razem kiedy Sharon usiłowała dowiedzieć się czegoś bliższego o celu podróży, napotykała niewidzialny mur milczenia. Także i teraz mężczyzna zapatrzył się w pluskające fale i odwrócił wzrok.

- Hm, to tylko mała wysepka, której nawet chyba nie ma na mapie. Przed kilkoma laty odkryto tu jednak bogatą żyłę miedzi. I tak powstała kopalnia.

- Czy wcześniej wyspa była nie zaludniona?

- Nie... chociaż... nie bardzo wiem. - Mężczyzna zdawał się szukać właściwych słów. - Podobno została skolonizowana przez Francuzów w szesnastym wieku, wtedy mieszkała tu grupa Indian. Ale potem... potem nie wiadomo dlaczego nagle wszyscy opuścili wyspę i odtąd nikt już na niej nie zagrał miejsca. Aż do teraz.

Sharon miała wrażenie, że jej rozmówca coś ukrywa.

- Słyszałam, że ludzie niechętnie się tu osiedlają. Czy to jest związane z jakimś zabobonem?

Atak nagłego kaszlu nie pozwolił marynarzowi odpowiedzieć. Sharon jednak nie dawała za wygraną.

- Pan na pewno wie, jak nazywa się ta wyspa? - nalegała.

Dopiero po dłuższej chwili marynarz wymamrotał pod nosem:

- Wyspa Nieszczęść,

- Wyspa Nieszczęść? - Sharon uśmiechnęła się lekko. - A dlaczego właśnie tak ją nazwano?

- Podobno pobyt na niej zawsze źle się kończył, a poza tym opowiadano, że na niej straszy. Kiedyś panował tu bogaty, wpływowy pan. Był francuskim szlachcicem. Został wygnany ze swego kraju, ponieważ... rzekomo uprawiał sztuki magiczne. Do dzisiaj krąży na wyspie legenda o czarowniku z Wyspy Nieszczęść. Wygląda na to, że nawet po śmierci nie zaznał spokoju.

- Czy dlatego wyspa wyludniła się przed laty?

- Tak mówią. Znajdują się tam ruiny starego zamku, którego kiedyś ów Francuz był właścicielem. I ponoć włada nim do dziś...

Sharon zmarszczyła brwi.

- Nie wygląda pan na osobę, która wierzy w takie bajki, ale mam wrażenie, że tej akurat opowieści daje pan wiarę. Jak to możliwe?

- To prawda! Na moją matkę przysięgam, że on tam jest! - odparł z głębokim przekonaniem marynarz. - Znany był z tego, że jego wzrok miał magiczną moc. Jego spojrzenia nie sposób zapomnieć. Ludzie nie wytrzymywali napięcia i wszyscy, jeden po drugim, się wynieśli.

- I co, został tam zupełnie sam?

- Tak. Wprawdzie zdarzało się, że ktoś zawitał na wyspę, ale zawsze uciekał przed strasznym, budzącym grozę wzrokiem pana starych ruin. Nikt nie wie, kiedy umarł, niektórzy twierdzą nawet, że nadal żyje. Teraz wyspa jest zaludniona, ale panienska pewnie mi nie

uwierzy: wielu górników zarzeka się, że widziało go w ruinach starego zamku. Niektórzy mówią też, że czasem o zmroku można dostrzec tam cień krążący pomiędzy opuszczonymi zamkowymi wieżami, ale w to raczej bym nie uwierzył. Mieszkańcy wyspy pędzą samogon, więc to jest pewnie przyczyną zwidów. W każdym razie przebywanie w pobliżu ruin nie jest bezpieczne i każdy o tym wie. Ludzi nie przeraża tak nawet sam demon o żółtych, ognistych oczach, ale paskudne rany, jakie pojawiają się na skórze śmiałków wkrótce po tym, jak porazi ich swym wzrokiem. Nawet tamtejszy lekarz nie może na nie nic zaradzić, są nieuleczalne. Sam widziałem kilku ludzi dotkniętych tą straszną chorobą. Nie, nigdy nikt mnie nie namówi, bym zbliżył się do ruin. To nie jest wytwór chorej wyobraźni, to święta prawda!

- Oczy, które wywołują chorobę i rany? - Sharon kręciła z niedowierzaniem głową. - Czy to możliwe? A jak wygląda ten zamek z bliska, w środku? - Choć opowieść tchnęła grozą, Sharon miała ochotę dowiedzieć się czegoś więcej.

- A któżby to mógł wiedzieć! Przecież strach tam chodzić! Nikomu jeszcze nie udało się przekroczyć bramy, bo zaraz tracił przytomność.

- Och, teraz mnie pan nastraszył! - uśmiechnęła się niepewnie Sharon.

- No tak. Właściwie nie wolno nam opowiadać tych historii nowo przybywającym kobietom. Proszę mnie nie zdradzić.

- Przecież to ja sama nalegałam, by ją usłyszeć. Ale wracając do codziennych spraw: proszę mi powiedzieć, kto jest administratorem na wyspie?

Mężczyzna podrapał się po głowie.

- Myślę, że oni też długo tam nie pozostaną. Mają nie tylko kłopoty z zabobonami, ale i z kradzieżą miedzi. Chociaż ten obecny administrator to rzeczywiście kawał chłopca i łatwo nie da za wygraną. Niektórzy górnicy jego samego nazywają demonem. Ale to prawda, trzeba nie lada charakteru i siły, żeby utrzymać całe to towarzystwo w ryzach. Jest Szkotem i nazywa się Gordon Saint John. Jego najbliższy współpracownik, Peter Ray, jest w przeciwieństwie do zarządcy bardzo lubiany. Nic dziwnego: to miły, pogodny młody człowiek.

- Więc na pewno jest łakomym kąskiem dla dziewcząt, które przybywają na wyspę? - zauważyła Sharon z uśmiechem.

- O tak! Ale ani jeden, ani drugi nie są chyba zainteresowani małżeństwem. Widać kandydatki im nie odpowiadają.

- Czy dużo było już takich kursów?

- Nie, ten jest dopiero trzeci. Wieziemy dwadzieścia pięć kobiet, a to największy transport jak dotychczas.

- Transport! - Na ustach Sharon pojawił się bolesny uśmiech. - Bardzo mi się to wszystko nie podoba. To okropne!

- Dlaczego panienka tak mówi? Co złego jest w tym, że ludzie próbują w ten sposób nawiązać kontakty, skoro nie mają innych możliwości? Towarzystwo kobiet jest na wyspie naprawdę pożądane, niech mnie piorun!

- Bardziej mnie przeraża kojarzenie par niż wasza opowieść o nieszczęściach i duchach.

- No, miło się z panienką rozmawiało, ale czas na mnie. Muszę wracać do swoich obowiązków - rzekł stary marynarz i odszedł.

Przez kolejne dni Sharon i Margareth spędzały czas razem, a nawet poznały kilka innych kobiet.

Aż pewnego dnia...

Na pokładzie pojawiło się kilka panien, które dotychczas trzymały się z boku, flirtując wesoło z załogą. Jedna z nich, przechodząc obok Sharon, zatrzymała się na moment i zaczęła uważnie się jej przyglądać. W końcu krzyknęła:

- Morderczyni! To ona! Widziałam, jak prowadzono ją na policję!

Na pokładzie zapadła grobowa cisza, ale Sharon najbardziej dotknęło pełne rosnącego niedowierzania i zawodu spojrzenie Margareth.

- Margareth, to nieprawda. Nie wierz tym plotkom - wyszeptwała strwożona do przyjaciółki, po czym zwróciła się do oskarżającej ją kobiety. - Rzeczywiście, pomówiono mnie o morderstwo - mówiła spokojnym głosem. - Ale ponieważ jestem niewinna, puszczone mnie wolno.

Była to tylko połowa prawdy, gdyż tylko adwokat uwierzył jej i pomógł wydostać się z kraju.

- Czytałam, że się przyznała! - odezwała się inna kobieta.

- Wcale się nie przyznałam. Wzięłam jedynie na siebie winę za kogo innego, by uchronić moją przybraną matkę: nie mogła się dowiedzieć, czego dopuściła się jej własna córka.

- Tak, tak, obwiniła Lindę Moore! - krzyknęła ta sama kobieta imieniem Doris, która rozpętała awanturę. - Ja znałam Lindę, ale ona nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego! - Mówiąca mierzyła Sharon wzrokiem pełnym pogardy. - Nie od dziś cię obserwuję i od razu coś mi się w tobie nie podobało. Ani myślę podróżować razem z morderczynią! Nie chcemy cię tu!

Sharon zapewniała z rozpaczą w głosie:

- Ja naprawdę tego nie zrobiłam, uwierzcie mi!

W tej chwili przez grupkę podekscytowanych kobiet przecisnął się jeden z oficerów.

- Co to za wrzaski? Jeśli za chwilę nie będzie tu spokoju, zamknę was wszystkie w ładowni!

Kobiety rozeszły się niechętnie. Sharon oparła się o burtę. Zauważyła, że niektóre współpasażerki odchodząc spluwały.

Teraz znowu była samotna, zdana wyłącznie na własne towarzystwo. Najbardziej bolało ją to, że nawet nowe przyjaciółki odwróciły się od niej z odrazą.

Dalsza część podróży nie przyniosła zmiany. Nikt nie zamienił z Sharon ani słowa, a wrogie zaczepki i nienawistne spojrzenia raniły ją coraz boleśniej. Wyrok został już wydany. Nie będzie od niego odwołania. „Słodką” Lindę, która została w Anglii, uznano za niewinną.

Pewnego dnia Sharon stała na pokładzie wpatrzona w fale. Nie miała już żadnej nadziei. Mieszkańcy wyspy z pewnością szybko dowiedzą się o ciężących na niej zarzutach i odwrócą od niej, jak więc będzie mogła żyć pod taką presją? Zbrodnia popełniona przez Lindę splamiła Sharon już na zawsze.

Woda wokół statku mieniła się w słońcu. A gdyby tak skończyć ze sobą? Statek popłynąłby dalej, a morze zamknęłoby się nad nią na wieki...?

Nie, tak nie można. Nie wolno się tak od razu poddawać, pomyślała Sharon i w tej chwili poczuła, że ktoś stanął obok niej. Była to Margareth.

Sharon nie powiedziała ani słowa, czekała.

- Pewnie uważasz, że stchórzyłam, nie stając po twojej stronie? - spytała wreszcie Margareth, a w jej głosie dało się wyczuć zdenerwowanie i żal.

Sharon tylko pokręciła głową.

- Tak, rzeczywiście stchórzyłam - ciągnęła tamta. - Nie wyobrażasz sobie, jakim ta wiadomość była dla mnie szokiem. Przecież tak dobrze się rozumiałyśmy, tak często zgadzałyśmy się ze sobą. Poczułam się oszukana, bo nagle okazałaś się kimś zupełnie innym niż Sharon, którą polubiłam, a ty nawet mi się nie zwierzyłaś! Myślałam, że cię znienawidzę!

- Zachowałaś się zupełnie naturalnie... - odparła cicho Sharon.

- Zachowałam się dokładnie tak, jak te przekłete babska na statku, którymi kilka minut wcześniej sama gardziłam. Dziś też nie wiem, co mam o tobie myśleć.

Na te słowa Sharon gwałtownie odwróciła się do Margareth i spytała z goryczą:

- Więc i ty także uważasz, że mogłabym zamordować człowieka?

- A cóż mi pozostaje? - spytała Margareth z żalem. - Dowody przeciw tobie są nie do

podważenia. Ale najbardziej wstydę się, że nie potrafię ci wybaczyć i pogodzić się z tym, co zrobiłaś.

- Jeśli nawet ty mi nie wierzysz, jak mogę oczekiwać, że uwierzą mi inni? - wyszeptała Sharon. - Nie mam nic więcej do dodania ponad to, że jestem niewinna.

Margareth westchnęła ciężko.

- Chciałabym z całego serca, by to była prawda, a jednocześnie nie jestem pewna. Niczym się nie różnię od reszty kobiet. Spójrz na te dwie, dzisiaj ważne i dumne, choć jeszcze niedawno zadawały się z najgorszym elementem w mieście, z każdym, kto im się nawinął. Teraz znalazły kogoś jeszcze gorszego od siebie. Przy tobie mają się za ucziwe, one przecież nigdy nikogo nie zabiły. Tamta znowu wymyślała ci wczoraj od ulicznic, a sama trudni się nierzędem.

- Margareth, daj spokój, nie mówmy już o tym. Wyświadczy mi lepiej przysługę. Widzisz tę dziewczynę w ciąży z jasnymi włosami? Wydaje mi się, że nie ma pieniędzy i jest głodna. Cały czas trzyma się z boku. Podaj jej ten kawałek chleba i suszone mięso. Ode mnie nie chciała przyjąć, od razu uciekała. Nie musisz mówić, od kogo to jedzenie, bo pewnie odmówi.

Po tych słowach Sharon wręczyła Margareth żywność, a sama odeszła w przeciwnym kierunku. Nie chciała pokazywać przyjaciółce, jak bardzo czuje się zraniona.

Kiedy zbliżyła się do grupy kobiet, tamte poczęły krzyczeć jedna przez drugą:

- Ratunku! Pomocy! Ona może nas zabić!

Sharon przystanęła, przytłoczona bólem i upokorzeniem. Panie Boże, pomóż mi wytrwać! pomyślała.

ROZDZIAŁ IV

Jeszcze tego samego wieczoru po raz pierwszy na horyzoncie ukazały się zarysy wyspy. Najpierw można było dostrzec jakieś wzniesienie, potem, gdy statek coraz bardziej zbliżał się do celu, góra nabierała wyraźniejszych kształtów: monumentalne bloki skalne ostro opadały ku morzu. Wkrótce z ciemności wyłoniła się niewielka zatoczka. Dookoła, na jej łagodnych brzegach, pobudowano wątpliwej urody domy, baraki i magazyny. Pośrodku osady stał bardzo skromny drewniany kościółek, który nie posiadał nawet dzwonnicy. W głębi zatoki znajdował się nieduży port. Już z tej odległości Sharon dojrzała stojącą na nabrzeżu gromadę ludzi.

Czekają, pomyślała. Będą się nam przyglądać i oceniać jak konie na targowisku. Nie zniosę złośliwych komentarzy i gwizdów! A potem, jak już się o wszystkim dowiedzą, stanę się dla nich parszywą owcą. Wszyscy się wtedy ode mnie odwrócą. Czy może wydarzyć się coś jeszcze gorszego?

Sharon opanowała apatia i rezygnacja. Podniecenie i gorączkowe przygotowania do zejścia na ląd zupełnie jej nie obchodziły. Nawet gdy ciężarna Anna, której Sharon przekazała przez Margareth pożywienie, podziękowała cicho, dziewczyna ledwie odwzajemniła uśmiech.

W pewnym momencie dał się słyszeć donośny głos kapitana:

- Nie wyobrażajcie sobie, że pobyt na wyspie da wam okazję do prowadzenia lekkiego trybu życia. Tutejszy pastor dopilnuje, ażeby każdy związek został zalegalizowany. Waszym zadaniem jest założyć porządną rodzinę i zapewnić wyspie rozwój. Przestrzegam przed umizgami miejscowych mężczyzn. Żadna nie opuści statku, dopóki ktoś się tu po was nie zjawi. Wówczas udacie się do tamtego dużego baraku. Zamieszkacie w nim przez kilka pierwszych dni. Wieczorem odbędzie się zebranie i tam otrzymacie dalsze informacje. Zrozumiano?

Nikt się nie odezwał, więc kapitan uznał, że jego rola dobiegła końca.

Och, tak chciałabym być silna, myślała w duchu Sharon. Gdybym tak mogła nic sobie nie robić z tych pogróżek...

Wiedziała jednak, że nie jest ani silna, ani odporna. Wręcz przeciwnie, zranić ją było bardzo łatwo.

Statek przybił do nabrzeża. Wszyscy oczekiwali w napięciu. Kilka kobiet nie mogło powstrzymać się, by nie pomachać stojącym na brzegu mężczyznom, co natychmiast wywołało serię gwizdów i swawolnych żartów. Margareth stała bez ruchu i z napięciem w

twarzą obserwowała nabrzeże. Drżące dłonie przyłożyła do rozognionych policzków. Sharon domyślała się, czego Margareth lęka się najbardziej: nie była ani ładna, ani młoda. Czy ktoś ją zechce? Sharon skierowała wzrok na oczekujących na brzegu ludzi. Stali tam mężczyźni w różnym wieku o zwyczajnych, niczym nie wyróżniających się twarzach.

Gdy statek zacumował, spośród oczekującego tłumu wysunął się mężczyzna i skierował swoje kroki na pokład. Oczy wszystkich pasażerek zwróciły się w jego stronę.

Był to wysoki blondyn o pełnych wyrazu błękitnych oczach i ogorzałej twarzy. Był młody, ale sprawiał wrażenie dojrzałego i zdecydowanego. Wysoko uniesiona głowa nadawała całej sylwetce wyraz powagi i dumy, ale spojrzenie jego jasnych oczu było przyjazne.

To mógłby być on, pomyślała Sharon rozmarzona. Jej księżę z bajki! Cóż z tego? Kiedy wreszcie spotkała tego, który się jej spodobał, okazuje się, że ona nigdy nic dla niego nie będzie znaczyć. Nie dość, że jest „materiałem na górniczą żonę” i nie zasługuje na jego uwagę, uchodzi również za morderczynię, od której wszyscy trzymają się z daleka. A byłoby tak cudownie go poznać, zdobyć jego zaufanie, spędzać razem z nim czas i pozwalać rozkwitać nowemu uczuciu, nowej miłości...

Sharon pozostały jedynie marzenia. Nie знаła przecież tego mężczyzny, który, być może, miał już żonę. Bez wątplenia nie był zwyczajnym górnikiem, wskazywał na to jego staranny sposób wystawiania się i zachowanie.

Młody człowiek wszedł na pokład i skłonił się lekko w stronę kobiet. Pasażerki stojące w tyle unosiły się na palcach, by lepiej przyrzeć się przybyłemu.

- Witam was wszystkie. Nazywam się Peter Ray - odezwał się łagodnym głosem. - Życzę wam, byście czuły się tu dobrze. Zaprowadzę was do baraku, w którym tymczasem zamieszkacie. Nie obawiajcie się mężczyzn stojących na brzegu, przyjmą was z ochotą i sympatią. Nieco później będzie okazja, byście się bliżej poznali.

Dobre sobie, pomyślała Sharon. Przecież te kobiety wcale nie wykazują najmniejszej obawy przed mieszkańcami wyspy!

Teraz mężczyzna zwrócił się do kapitana:

- Jak przebiegła wam podróż? Nie było kłopotów?

- Hm, właściwie kłopoty mieliśmy tylko z tą jedną. Nic, tylko awantury.

Ku swojemu wielkiemu przerażeniu Sharon spostrzegła, że wzrok wszystkich spoczął właśnie na niej. Zaczyna się, pomyślała. Tylko nie on, niech on się niczego nie dowie! Boże, pozwól, by zachował dla mnie szacunek!

Na twarzy Petera Raya malowało się rosnące zdumienie. Uśmiech, który do tej chwili

gościł na jego ustach, zamarł.

A cóż robi tu ta piękna i smutna panna? pomyślał zdezorientowany. Błagalne spojrzenie, strach w oczach, co za klasa! Jaką krzywdę jej wyrządzono? Czy te niewinne oczy nie proszą przypadkiem o wsparcie i pomoc?

- Jakie to były kłopoty? - zapytał ostrożnie.

- Inne kobiety nie mogą jej znieść - odparł kapitan. - Nazywają ją kryminalistką i takie tam...

- Tylko tego brakowało - mruknął Peter Ray pod nosem.

Sharon zdawało się, że mężczyzna traktował ją przyjaźnie, zebrała się więc na odwagę i wyszeptała łamiącym się głosem:

- Jeśli to tylko możliwe, zabiorę się powrotnym kursem. Nie miałam zamiaru zakładać rodziny, nie powiedziano mi nic o celu tej podróży.

Ray przyglądał się dziewczynie badawczo. Nie, nie można jej pozwolić odjechać, myślał. Trzeba się najpierw dowiedzieć, kim ona jest

- Niestety - powiedział. - To by nie było w zgodzie z przepisami. Musisz zostać tu przez trzy miesiące. Potem możesz wybierać. A teraz, moje panie, schodzimy na ląd!

Dopiero w tej chwili Sharon dostrzegła na wyspie coś jeszcze. Za kościołem, na końcu gęsto porośniętego wzgórza, majaczył poszarpany kontur ruin starego zamczyska. Ciemny i ponury, wyraźnie odznaczał się na tle wieczornego nieba. Sharon przystanąła.

To pewnie zamek czarownika, myślała. A więc jak dotąd sprawdza się opowieść starego marynarza. Nie ulegało wątpliwości, że takie mroczne miejsce mogło rodzić wiele historii. Ale przecież to tylko legendy.

Nie zauważyła nawet, że szła nieco oddalona od reszty kobiet. Niejedna zagadywała kokieteryjnie mijanych mężczyzn, ci zaś taksowali idące jedna po drugiej. Żaden nie spojrzał na Margareth, która dreptała nerwowo w kierunku baraku. Idioci, mówiła do siebie Sharon, co za durnie! Zwracali uwagę wyłącznie na głośne, ładne dziewczyny i za nimi pogwizdywali z aprobatą, te skromne nagradzali brakiem zainteresowania i milczeniem.

W końcu zobaczyli Sharon, a wówczas komentarze przybrały na sile. Zapomniano o dyscyplinie, co poniektórzy zaczęli przepychać się do przodu, by znaleźć się jak najbliżej trapu.

Sharon zatrzymała się przerażona. Nie, tylko nie to! Okręciła się na pięcie i zawróciła pędem w kierunku pokładu, trafiając prosto w ramiona Petera Raya.

- Tylko spokojnie, nie denerwuj się! - powiedział krótko. - Oni nie są niebezpieczni, chcą się z tobą jedynie przywitać, nie zrobią ci nic złego. Chodź ze mną, nic ci nie grozi.

Sharon dostrzegła w jego twarzy rozbawienie, ale i lekką irytację. Z ulgą dała się poprowadzić wzdłuż grupy przyglądających się jej mężczyźni.

Minęli szopy na łódzie, sklepik i niewielkie targowisko z nielicznymi straganami. Duży szyld wskazywał drogę do biura kopalni. Jednopiętrowy budynek raził brzydotą, nieopodal znajdowała się mała piekarenka oraz świetlica. Minęli także szpitalik. Wreszcie dotarli do baraków przeznaczonych dla kobiet. Również i te baraki nie wyglądały zachęcająco. Sharon dziwiła się, że wszystko wokół było takie brzydkie. Dopiero po chwili spostrzegła na wzgórzu kilkanaście nowych domków, niektóre jeszcze w budowie. Na tę okolicę miło było spojrzeć; widać, że właściciele starali się, by ich domy były ładne.

- To miejsce jest przyszłością wyspy - powiedział do zgromadzonych kobiet Peter Ray. - Z czasem, kiedy zdomowicie się tu na dobre, otrzymacie własny kawałek ziemi i razem z waszymi mężami także będziecie mogli budować dom dla swoich rodzin.

- Pomyśleć tylko: własny dom! - zawołała z zachwytem jedna z obecnych.

- Łatwo ci mówić! Najpierw znajdź sobie lepiej kawalera! - skomentowała inna.

- A tam dalej prowadzi droga do kopalni - ciągnął Peter, pokazując w stronę terenów górniczych, położonych w północnej części wyspy. - Tu znajdują się baraki mieszkalne, ten z lewej przeznaczamy dla kobiet. Wybierzcie sobie miejsca, łóżek nie zabraknie. Wieczorem stawicie się w świetlicy na spotkaniu.

Odszedł, a wtedy kłopoty Sharon rozpoczęły się od nowa. Kobiety w jednej chwili poczęły zajmować posłania, a kiedy Sharon zbliżała się do tego, które pozostawało wolne, była brutalnie odpychana.

- Nie chcemy tu kryminalistki - krzyknęła Doris ze złowrogim błyskiem w małych, pełnych nienawiści oczach i odrzuciła tobolek Sharon w najdalszy kąt sali. Sharon podeszła do innego łóżka, ale sytuacja się powtórzyła.

- Zajęte! - usłyszała.

I tak było wszędzie, gdziekolwiek dziewczyna się zbliżyła:

W końcu nie pozostało jej nic innego, jak zabrać swoje rzeczy i usunąć się z pola widzenia współtowarzyszek. Położyła ubrania w kącie i opuściła barak.

Jakaś starsza kobieta, która najwyraźniej przybyła na wyspę wcześniej, usiłowała dociec, dlaczego nowa dziewczyna została wyrzucona. Pozostałe jednak zakrzyczyły ją, wołając jedna przez drugą: „Kryminalistka! Morderczyni!” Na te słowa kobieta opuściła salę i skierowała się w stronę biura kopalni.

Po obiedzie, który był dla Sharon nie mniej poniżającym przeżyciem, jak samo

przybycie na wyspę, wszyscy zebrali się w świetlicy. Kobietom nakazano zająć miejsca po lewej stronie. Wkrótce do sali zaczęli nadciągać starannie ubrani i pełni nadziei górnicy. Przechodząc obok kobiet uśmiechali się i witali każdą uściskiem dłoni. Chwilę potem zagrała muzyka i rozpoczęły się tańce.

Sharon nie była pewna, kiedy zaczęła się szeptana zmowa przeciwko niej, ale szybko poczuła, że otacza ją niema aura wrogości. Za każdym razem, gdy któryś z mężczyzn chciał z nią porozmawiać czy poprosić do tańca, pojawiała się przy nim kobieta i szeptała mu coś ostrzegawczo do ucha.

Wokół Sharon powstał niewidzialny mur, a ona siedziała samotna i bardzo smutna.

Kiedy jednak któryś z obecnych mimo wszystko przysiadł się do niej, pomyślała, że to dobry znak. Spojrzała na poczerwieniałą, odpychającą twarz mężczyzny, który odezwał się w niewybredny sposób. Sharon zauważyła przy tym, że mężczyźnie brakuje wielu zębów. Całkowicie ją to zniechęciło do rozmówcy.

- A więc masz na sumieniu morderstwo? Mnie to nie przeszkadza. Może przespacerujemy się trochę? Wprawdzie to nie jest dozwolone, ale myślę, że się tym za bardzo nie przejmujesz?

Przysunął się do niej niebezpiecznie blisko. Dopiero co wypowiedziane słowa tak dotknęły dziewczynę, że odwróciła się plecami od natręta. W odpowiedzi on obrzucił ją wyzwiskami.

W tym momencie do sali wszedł Peter Ray w towarzystwie trzech mężczyzn. Tańce ustały. W sali zapadło milczenie i Ray rozpoczął przemowę.

- Zwracam się raz jeszcze do nowo przybyłych. Mam nadzieję, że będziecie się u nas dobrze czuły. My także postaramy się, by niczego wam nie brakowało. Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem tu zastępcą administratora kopalni, Gordona Saint Johna, ale jeśli macie jakieś problemy, zwracajcie się bezpośrednio do mnie.

- Żebyś wiedziała! - cicho odezwał się jeden z mężczyzn do stojącej obok kobiety. - Od Saint Johna lepiej trzymać się z daleka. Z nim nie pogadasz!

- Przedstawiam wam waszego powiernika, pastora Wardena. Możecie się zwracać do niego z wszelkimi sprawami natury duchowej, on udzieli wam ślubu i ochrzczi wasze potomstwo.

Duchowny był człowiekiem w średnim wieku i miał zyczliwe spojrzenie. Jego szczupłą sylwetkę podkreślał dodatkowo ciemny ubiór. Teraz odezwał się przyjaźnie do zgromadzonych:

- Jest was tu niemało, więc nie wiem, czy od razu będę mógł wysłuchać każdej z was,

ale się postaram. Jeśli coś was będzie trapić, przychodźcie do mnie bez wahania.

Może on mnie wysłucha i zrozumie? pomyślała z nadzieją Sharon. Wygląda na miłego człowieka, więc może uwierzy w moją niewinność?

Mężczyzna zajmujący miejsce tuż koło pastora mógł mieć około czterdziestu lat. Był otyły i brzydki, miał małe oczka osadzone w nalanej twarzy o grubych wargach, zaś nienaturalnie wielka głowa tkwiła niemal bezpośrednio na ramionach. Nazywał się William Adams i był tutejszym lekarzem. Sharon nie wyobrażała sobie, aby kiedykolwiek drobne, tłuste dłonie doktora mogły jej dotknąć podczas badania. Miała nadzieję, że nigdy nie zachoruje.

Dziewczynie nie spodobał się ani on, ani też trzeci z siedzących - sklepikarz o miękkich, kobiecych ruchach. Jego oczy przywodziły na myśl dwie błyszczące monety. Nieustannie poruszał dłońmi, jakby gotowymi do przybicia transakcji z każdą z obecnych.

- I jeszcze kilka dodatkowych uwag - Peter Ray ponownie zabrał głos. - Macie zakaz pojawiania się w kopalni i jej najbliższej okolicy bez poważnego powodu. Poza tym możecie wędrować wszędzie, oprócz...

Mówiący zawiesił na chwilę głos. To chyba niemożliwe, by miał zamiar mówić o zamku? pomyślała zaskoczona Sharon. On chyba nie wierzy w te bajdy?

Peter Ray podjął przerwany wątek:

- Po stronie południowej wyspy jest wiele pięknych zakątków, które możecie podziwiać. Przestrzegam was jednak i kategorycznie zabraniam zbliżać się do części północnej i zachodniej, gdzie znajdują się ruiny starego zamku.

- To najlepszy sposób, by rozbudzić naszą ciekawość - odezwała się jedna z kobiet. - Teraz na pewno się tam wybierzemy.

- W tej części ustawiliśmy tablice, wiadomo zatem, jakiej granicy nie wolno wam przekroczyć.

- A cóż jest takiego strasznego w tym miejscu? - zapytała inna zaczepnie.

- To jest diabelskie miejsce - odparł z powagą pastor Warden. - Naturalnie w przenośni. Ale jeśli skusicie się na wycieczkę i napotkacie przedziwną postać, zgłóście się natychmiast do doktora Adamsa.

- Mój Boże! Dlaczego nikt nam nie powiedział, że tu straszy? - wykrzyknęła ta sama ciekawska kobieta;

- Dajcie spokój - teraz głos zabrała Doris. - Nie próbujcie nam wmawiać, że na wyspie mieszkają duchy. Nie jesteśmy już dziećmi.

- Nie wiemy, co skrywają ruiny - wyjaśnił poirytowany Peter Ray. - Legenda głosi, że

kiedyś mieszkał tam francuski mag, czarownik, który parał się czarami. Znany był z tego, że jego wzrok porażał. Ci, którzy zbliżą się do zamku, nawet jeśli nie spotkają na swojej drodze tajemniczej postaci, nabawiają się paskudnych ran, które bardzo trudno wyleczyć. Andy, pozwól.

Andy, młody chłopak, podszedł do przemawiającego Petera. Sharon od razu go polubiła; chłopak właściwie nie był ładny, ale miał coś ujmującego w twarzy.

- Andy był tam rok temu. Z oddali zobaczył postać stojącą na skraju muru. Zarówno Andy, jak i inni, którzy wtedy mu towarzyszyli lub pojawili się tam kiedy indziej, twierdzą, że postać miała ognisty, przenikliwy wzrok. Andy poczuł, jakby go skóra paliła, a miał niczym nie osłonięte ramiona. Po kilku dniach na przedramieniu pojawiły się rany i wciąż się rozprzestrzeniały. Pokaż im, Andy...

Andy powoli zdjął z siebie kurtkę, podwinął rękawy koszuli i wówczas oczom wszystkich ukazały się okropnie popuchnięte ramiona pokryte niezliczonymi, nabrzmiętymi pęcherzami. Na ten widok kobiety podniosły krzyk, a Sharon aż ukryła twarz w dłoniach.

- Ratunku! Ja tu nie zostanę! Ja nie chcę mieć nic wspólnego z duchami! - wrzasnęła w panicznym strachu jedna z kobiet.

- Nie ma najmniejszego powodu do hysterii - rzekł spokojnie pastor. - Jeśli tylko będziecie trzymać się z dala od zakazanych terenów, nic wam nie grozi.

- Na dziś wystarczy - dodał Peter Ray. - Bawcie się dalej. Mam nadzieję, że będziecie zachowywać się porządnie, bo nie tolerujemy tu rozwiązłości.

Peter kierował się ku wyjściu, ale odwrócił się jeszcze raz:

- Poproszę do siebie Sharon O'Brien.

Wyrwana z zamyślenia Sharon wstała.

- Ze wszystkich stron dochodzą mnie wieści, że sprawiasz kłopoty. Chodź ze mną. Gordon Saint John chce z tobą pomówić.

ROZDZIAŁ V

Pełna trwogi i obaw Sharon podążyła za Peterem Rayem w kierunku budynku biura. Bała się ponurego Saint Johna, któremu, jak słyszała, wszyscy starali się schodzić z drogi. Jak ktoś taki mógłby jej pomóc? Najlepiej byłoby, gdyby zgodził się odprawić ją z powrotem do kraju, z drugiej jednak strony Sharon okropnie bała się tego, co czekało ją w Anglii.

Peter Ray zatrzymał się w pokoju, z którego jeszcze jedne drzwi prowadziły do gabinetu zarządcy.

- Saint John nie wrócił dotychczas z kopalni, poczekamy więc tutaj.

Usiedli. Sharon zauważyła, że Peter Ray przyglądał jej się ukradkiem z wyraźnym zainteresowaniem.

- Czy miałś przykrości ze strony kobiet? - zapytał z cieniem sympatii w głosie.

Sharon zdołała jedynie przytaknąć. Zaskoczyło ją, że ktoś wreszcie traktuje ją bez uprzedzeń. Przestraszona zapytała swojego rozmówcę:

- Czy ten Gordon Saint John jest bardzo srogi?

Szeroki uśmiech, jaki zawitał na twarzy Raya, dodał mu niezwykłego uroku.

- Nie bój się, nie jest straszny. Górnicy narzekają na niego, gdyż jest bardzo wymagający, wymaga od siebie i od innych. Często zapomina, że nie każdy jest tak wytrzymały jak on sam. Pokonał wiele trudności i uważam, że jest, jak dotąd, najlepszym administratorem. Mimo to ma jeszcze wiele do zrobienia, nadal nie odkrył głównego źródła kłopotów.

- Kłopotów? A jakie to kłopoty? - zapytała zaciekawiona Sharon, ale w tej chwili drzwi wejściowe stuknęły i w korytarzu dały się słyszeć kroki. Sharon wciągnęła powietrze do płuc i czekała w napięciu, co się dalej wydarzy.

Gordon Saint John mignął jej tylko z tyłu, śpiesząc dużymi krokami do swojego pokoju. Sharon nie spodziewała się, że ujrzy mężczyznę w górniczym kombinezonie, wyraźnie zabrudzonym po pobycie w kopalni. Saint John był słusznego wzrostu i mocnej budowy ciała, miał gęste, kruczoczarne włosy. Sharon nie zdołała jednak dojrzeć jego twarzy.

Po upływie kilku minut zawołał ich do siebie. Sharon podreptała trwożnie, kryjąc się za plecami Petera Raya. Gordon Saint John siedział przy pełnym papierów biurku i czytał gazetę, która najprawdopodobniej dotarła tu z dzisiejszą pocztą. Zdążył zrzucić z siebie kombinezon i zmyć kopalniany kurz.

Sharon przyglądała mu się uważnie. Był młodszy, niż przypuszczała, nie przekroczył

chyba trzydziestki. Zdecydowanie zasługiwał na określenie, jakie o nim krążyło: demon. Mocno zaciśnięte usta nadawały twarzy wyraz zaciętości, ciemna karnacja i wystające kości policzkowe pogłębiały wrażenie wrogości, zimne oczy kłuły niczym stal. Tak bowiem odczytała Sharon spojrzenie utkwione w siebie.

Przyglądał się jej uważnie, bez najmniejszego drgnięcia powiek, bez oznak przychylności. To właśnie najbardziej przerażało dziewczynę. Wydawało jej się, że jest to twarz człowieka całkowicie wyzutego z wszelkich uczuć.

- Rzeczywiście, nie przesadziłeś - oznajmił krótko.

- Prawda? - rzucił Peter Ray żywo.

Sharon zachodziła w głowę, w czym też Peter Ray nie przesadził, ale Saint John rzucił jej na kolana gazetę, którą przed chwilą czytał.

- Czy to o ciebie chodzi?

Spojrzała na artykuł i przerażała się:

- Mój Boże! To okropne!

Gazeta donosiła:

Prostytutka zaprzecza wszystkiemu. Dowody obciążają Sharon O'Brien.

- Nie miałam pojęcia, że wypisują na mój temat takie rzeczy. Jak oni mogą? - szeptała Sharon, kompletnie zdruzgotana.

W artykule pisano też, że Sharon nigdy nie przyznała się do winy oraz że obciążyla niejaką Lindę Moore. Cały czas zaprzeczała, iż miała jakikolwiek związek z zabójstwem, twierdziła, że nie zna i nigdy przedtem nie widziała ofiary. Wszyscy jednak doskonale znają „pannę w czerwonej pelerynie” jako kobietę lekkich obyczajów. Sharon O'Brien zaprzeczyła także, jakoby uprawiała nierząd.

Został także przesłuchany podopieczny Lindy Moore. „To cudowna dziewczyna! Niesłychane, że ktoś śmiał rzucić na nią podobne oszczerstwo!”

- No, co ty na to? Nazywasz się Sharon O'Brien?

- Tak.

- W takim razie co tutaj robisz?

- Pozwolono mi przyjechać.

Gordon Saint John poderwał się ze swojego miejsca.

- Co to ma znaczyć? Czy oni myślą, że tu jest śmietnisko dla marginesu społecznego? Przyjmowałem najróżniejszych, ale mordercy jeszcze tu nie było!

Sharon straciła panowanie nad sobą. Nie mogła słuchać dłużej tych obraźliwych słów.

- Czy na tej ziemi nie pozostał już żaden rozsądny człowiek, który nie będzie ślepo

wierzył we wszystko, co piszą gazety albo co plecie Linda Moore? Czy w ogóle nie biorą panowie pod uwagę, że ja mogę być niewinna?

Saint John spojrzał na Sharon uważniej, po czym uspokoił się.

- Może więc opowiesz nam swoją wersję?

Ton jego głosu był całkowicie pozbawiony wyrazu, jednak Sharon wyczuła w nim nutę sarkazmu i straciła chęć obrony, która przed kilkoma chwilami się w niej obudziła.

- Widzę, że to nie ma sensu - odparła zrezygnowana. - Mam już tego wszystkiego dość i jest mi wszystko jedno.

- Nie będę przejmował się twoimi humorami - skomentował zimno Saint John. - Jeśli mam pozwolić ci tu zamieszkać, mimo że siejesz ferment, natychmiast nam wszystko opowiesz. Musimy się temu przyjrzeć z każdej strony. W gazetach piszą, że wychowywałaś się w domu dziecka, twoi rodzice nie są znani, choć zawodu matki nietrudno się domyślić...

- Na Boga, czy chociaż pan mógłby pominąć osobę mojej matki, czy zawsze musicie mieszać ją w tę sprawę i jeszcze dolewać oliwy do ognia? - Sharon była bliska płaczu.

Saint John po raz kolejny popatrzył na Sharon badawczo.

- Mówisz ładnym, starannym językiem, ale nie dostrzegam u ciebie woli walki.

- Skąd mam brać wolę walki? - zapytała Sharon zmęczonym głosem - Nie widzę przed sobą żadnej przyszłości. Nie mogę wrócić do kraju, a tu wszyscy traktują mnie jak zadżumioną!

- Ja także wychowałem się w domu dziecka i wiem, co to upokorzenie. Ale to jeszcze nie powód, by się poddawać. Wręcz przeciwnie: we mnie budziło to sprzeciw i popychało do obrony. Jesteś za słaba i za łatwo dajesz za wygraną, słonko. Ja potrafiłem pokazać, że dojdę do czegoś, i dopiąłem swego.

- Ale za jaką cenę? - zapytała już spokojniej dziewczyna. - Mimo wszystko jednak cieszę się, że nie jestem do pana podobna, panie Saint John. Dla mnie ważniejsze od kariery są uczucia drugiego człowieka.

Nie wiedziała, skąd znalazła w sobie tyle odwagi. Może dzięki siedzącemu z tyłu Peterowi, który, jak się wydawało, był jej raczej przychylny.

Saint John udał, że nie dosłyszał aluzji. W jego oczach na sekundę pojawił się błysk złości, ale ani jeden mięsień jego twarzy nie drgnął.

Gordon Saint John wywoływał w Sharon strach i niepokój i dziewczyna nie mogła na to nic poradzić. Nie pojmowała, jak mógł powiedzieć do niej „słonko”. To zupełnie nie pasowało do jego surowego stylu bycia.

W końcu mężczyznom udało się nakłonić Sharon, by przedstawiła własną wersję

wydarzeń. Gdyby przesłuchiowano ją w Anglii, zapewne nie informowałaby o każdym szczególe, ale tu, z dala od kraju, było jej wszystko jedno.

Kiedy skończyła, obaj mężczyźni siedzieli chwilę w milczeniu.

- Niewykluczone, że tak właśnie było - odezwał się ostrożnie Peter Ray.

- Może...

- Czy panowie mają zamiar wysłać mnie z powrotem do kraju? - spytała z lękiem Sharon.

Saint John wstał i teraz przechadzał się po pokoju zamyślony.

- O ile rozumiem, w Anglii czeka cię wyrok śmierci?

- Może tak byłoby dla mnie najlepiej... - wyszeptała zrezygnowana Sharon.

- Dziewczyno, daj spokój! Czy ty wiecznie musisz uważać się nad sobą? Nie cierpię takich ludzi, którzy z powodu byle przeciwności zalewają się łzami!

- Więc panowie mi wierzą? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Czy ci wierzymy? Ani myślę się nad tym zastanawiać. Interesują mnie tylko sprawy istotne. To jasne, że nie możesz mieszkać w baraku, ale ja nie mogę utrzymywać więźnia. Nie zamkniemy cię, ale musimy mieć na ciebie oko. Jest tu dużo pracy, zarówno biurowej, jak i fizycznej w kopalni. Pisaliśmy do Anglii z prośbą o przysłanie nam kogoś do prowadzenia biura, ale odmówili. Może więc ty na coś się przydasz, bo widzę, że niegłupia z ciebie dziewczyna. Specjalnie przysłuchiwałem się, jak się wystawiasz. Z rachunkami nie miałas pewnie do czynienia?

- Owszem, prowadziłam księgi rachunkowe w sierocińcu. Wprawdzie to nie to samo co kopalnia, ale...

- Świetnie! - wykrzyknął Peter Ray, podchodząc do Sharon. - Tu obok znajduje się mały pokoik, który możesz zająć. Jak dotychczas wykorzystywaliśmy go na rupieciarnię. W ten sposób, będziemy mieć cię pod kontrolą, a nocą będziesz pilnować biura.

- Czy to konieczne? - zapytała Sharon.

- Oj, słonko, nie masz pojęcia, jak bardzo - wtrącił Gordon Saint John jakby nieobecny duchem.

I znowu to pieszczotliwe słowo. Jak miała je odbierać? W jego ustach brzmiało raczej ironicznie. Zaciekawilo ją także, dlaczego należało strzec biura. Ale nie zdążyła o to zapytać, bo znowu odezwał się Gordon Saint John:

- Peter pomoże ci jutro jakoś się tu zainstalować i pokaże, na czym będzie polegać twoja praca. Poza tym nie nawykliśmy do oficjalnego zwracania się do siebie, więc mów do nas po imieniu.

Były to przyjazne słowa, ale wypowiedziane zostały wyjątkowo oschle. Saint John podniósł się i skierował do wyjścia.

- Obaj mieszkamy w budynku administracyjnym, który znajduje się z tyłu. Możesz dostać się tam łączącym obie części pasażem, nie wychodząc na dwór. Jeśli wydarzyłoby się coś podejrzanego, zaraz nas zawiadamiaj.

Te słowa zaniepokoiły Sharon, więc gdy Gordon opuścił pokój, poprosiła Petera o wyjaśnienia. Ten miał wyraźnie zakłopotaną minę.

- Ktoś dostał się swego czasu do biura i grzebał w papierach - rzekł z westchnieniem. - Ale teraz, gdy dowiedzą się, że tu mieszkasz, nie ośmielą się przyjść. Poza tym zapomnieliśmy o ważnej sprawie. Musisz napisać dyktando.

Peter wręczył dziewczynie papier i pióro i podyktował jej długie, pełne podchwytliwych wyrazów zdanie. Kiedy sprawdził dzieło Sharon, pokiwał głową i pochwalił.

- Pisziesz szybko i masz ładny, wyraźny charakter pisma. Doskonale poradzisz sobie w biurze. Nie chodziłaś, zdaje się, do szkoły, masz zatem wrodzone zdolności. Chodź, pokażę ci teraz twój pokój.

Wyszli z biura. Sharon rzuciła okiem na schody prowadzące na pierwsze piętro.

- Co znajduje się na górze?

- Archiwum oraz pomieszczenie z minerałami. Jest jednak zamknięte. Poza tym kilka pustych pokoi.

Weszli do małego pokoiku z widokiem na port. Nie mieli kłopotu z usunięciem rzeczy, które tu się znajdowały, przeważnie były to kartony z gazetami i różne drobne przedmioty. Przynieśli dywan, który zwinięty w rolkę stał nie używany w pomieszczeniu biurowym. Sharon pobiegła także po zmiotkę. Peter zgodził się przynieść tobołek Sharon, który zostawiła w baraku. Ona tymczasem umyła podłogę, parapet i zaczęła szorować zaplamione ptasimi odchodami szyby. Kończyła już porządki, gdy pojawił się Peter z jej rzeczami.

- Myślę, że teraz już sobie poradzisz - powiedział uśmiechnięty, a kosmyk jasnych włosów opadł mu zawadiacko na czoło.

Sharon także uśmiechnęła się do tego miłego mężczyzny.

- Byłeś dla mnie taki dobry! Nie masz pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy w tych dniach.

Z całą świadomością powiedziała „byłeś”. Gordon nie był jej zyczliwy, mimo że nie zrobił jej żadnej krzywdy. Peter wciąż się uśmiechał:

- Nic takiego. Nigdy nie wierzyłem w tę historię o morderstwie.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Taka piękna dziewczyna nie mogłaby zrobić nic złego - dodał.

No tak, znowu pochopna ocena. Mimo to Sharon była niezmiernie rada, że to właśnie Peter uwierzył w jej niewinność.

Zaraz potem wskoczyła do łóżka. Długo leżała, rozmyślając. Nie łudziła się, że w związku z nowym zajęciem jej żywot na wyspie w cudowny sposób ulegnie poprawie. Dano jej jednak trochę czasu i własny pokój, gdzie mogła czuć się w miarę bezpiecznie, bez ciągłych obelg i oskarżeń. Czuła, że mimo wszystko trafiła lepiej niż jej współtowarzyszki.

Nie zasnęła jednak od razu. Na nowym miejscu czuła się nieswojo, wydawało jej się, że pierwsze, nie wykorzystywane piętro przygniata ją swoim ciężarem. Zewsząd nasłuchiwała kroków, przeświadczona, że ktoś na nią czyha. Gdy nagle na górze coś zaskrzypiało, serce podskoczyło dziewczynie do gardła. Na szczęście szybko zorientowała się, że to tylko wiatr uderza w ściany budynku.

Z trudem zasypiała. Realne przeżycia plątały się jej z legendami i opowieściami. Raz po raz Sharon słyszała czyjeś kroki na schodach, często wydawało jej się, że ktoś bez pukania wchodzi do jej sypialni. Nagle stanął przed nią czarownik ze starego zamczyska, który zaraz zmienił się w samego Gordona Saint Johna o żółtych, przenikliwych ślepiach... Złana potem Sharon poderwała się i usiadła na łóżku. Znowu nasłuchiwała, lecz wokół panowała niczym niezmacona cisza. Zła na siebie, odwróciła się do ściany i w końcu zasnęła.

ROZDZIAŁ VI

Sharon bardzo szybko się przekonała, że prowadzenie ksiąg w domu dziecka to zupełnie co innego niż prowadzenie rachunków dużej kopalni. Pierwszego dnia po przybyciu pracowała w pocie czoła, by jak najlepiej poznać swoje nowe obowiązki. Musiała nadążać za tokiem myśli Petera, a to wcale nie było łatwe: tyle nowych szczegółów, tyle rzeczy, o których przedtem w ogóle nie miała pojęcia. W porze obiadowej jej głowa pełna była astronomicznych liczb i zależności. Jej biurko pokrywały sterty dokumentów, a kosz wypełnił się błędnie wypełnionymi kwitami

Gordon Saint John nie pojawił się w ciągu dnia ani razu, za co Sharon była wdzięczna losowi.

Gdy nadeszła przerwa na obiad, Peter zwrócił się do Sharon:

- Wiem, że to nie jest dla ciebie przyjemne, ale musisz iść coś zjeść, nie ma innego wyjścia. Dopiero zamężne kobiety mogą gospodarzyć się na swoim.

Sharon zastanowiła się przez chwilę, po czym powiedziała:

- W moim pokoju stoi kuchenka z piekarnikiem, ale nie wygląda na sprawną. Czy nie udałoby się zamienić jej na nową? Może coś znalazłoby się w sklepie?

- Nową? - zdumiał się Peter. - Być może. Zapytamy przy okazji.

- Dziękuję, sama tam pójde po obiedzie. Zajmie mi to tylko chwilę. Czy mogłabym ją kupić na koszt biura?

- Oczywiście, nie bardzo tylko rozumiem...

Ale Sharon już nie było w pokoju. Pobiegnęła do sklepu. Sprzedawca być może zdumiał się zakupami dziewczyny, kawa, drożdże, mąka, cukier - nie dał jednak po sobie poznać i zanotował zakupy. Biuro kopalni było zaufanym klientem. Obiecał nawet, że wkrótce dostarczy artykuły na miejsce.

W jadalni Sharon przycupnęła gdzieś w kącie przy krzywym stole z zaplamionym obrusem. Nie było to przyjemne miejsce. Dyżurujące dziewczyny od niechcenia zbierały brudne naczynia, za to z lubością przyjmowały klapsy od roześmianych górników. Jedzenie nie było smaczne, właściwie bez smaku. Sharon siedziała samotnie, podczas gdy inne kobiety gawędziły w grupkach, rzucając od czasu do czasu wrogie spojrzenia w jej stronę. Któraś szepnęła jej nawet: „Teraz jesteś pewnie dumna z siebie, aleś zrobiła karierę! I za co to?” Sharon zdawała się nie słyszeć złośliwości na swój temat. Widziała Petera siedzącego nieopodal, ale za żadne skarby nie odważyłaby się przysiąść do niego.

Szybko uwinęła się z jedzeniem, gdyż miała na głowie mnóstwo spraw. Gdy wróciła do swojego pokoju, nowa kuchenka już stała na miejscu i nieźle się prezentowała. Sprzedawca już w niej nawet rozpałił, by sprawdzić ciąg. W mgnieniu oka Sharon zagniotła drożdżowe ciasto i odstawiła je do wyrośnięcia. Stara kuchenka stała smutnie na korytarzu. Ze zdwojoną energią dziewczyna ponownie zabrała się do obowiązków biurowych.

Przez kilka kolejnych godzin pracowała sama. Peter udał się do kopalni, by pomóc Gordonowi. Dzięki temu Sharon czuła się dużo swobodniej. Teraz próbowała wykorzystać informacje zdobyte przed południem. Dwa razy zrobiła sobie krótką przerwę, by rozwałkować ciasto i uformować apetyczne bułeczki z rodzynkami. Na stole rozłożyła nową serwetkę, postawiła dwa nowe kubki i już tylko ciasto czekało na wyjęcie z piekarnika.

Była nieco zaskoczona, gdy Peter wrócił z kopalni w towarzystwie Gordona. Sharon zdążyła jeszcze dostawić trzeci kubek i z powrotem zasiadła przy biurku nad kolejnym dokumentem.

Kiedy obaj weszli do pokoju i poczuli miłe zapachy, na chwilę przestali rozmawiać.

- Kawa? - zapytał zdumiony Peter. - I ten aromat. Czyżby to była zapowiedź świeżego chleba? Czegoś podobnego jeszcze na tej wyspie nie przeżyłem. Sharon, co to znaczy?

- Pomyślałam, że z przyjemnością wypijecie kubek kawy po ciężkiej pracy w kopalni - rzekła niepewnie. - Jedną chwileczkę.

Gordon Saint John stał bez ruchu. Drżącymi dłońmi Sharon wniosła tacę z kawą i świeżo upieczonymi, jeszcze ciepłymi bułeczkami.

- Chciałam wam zrobić przyjemność. Ale nie zjedzcie zbyt wiele, bo rozbolą was brzuchy; bułeczki dopiero co wyjęłam z piekarnika..

- A więc dlatego potrzebowałaś kuchenki? - spytał zdumiony Peter.

- Między innymi - odparła wesoło Sharon. - Jeśli mam być szczerą, to boję się jadać w stołówce.

- No tak, nie ma się czemu dziwić - burknął pod nosem Peter.

Po umyciu rąk mężczyźni z niepewnymi minami zasiedli do stołu. Ale gdy Sharon tylko napełniła kubki kawą, obaj poczuli się swobodniej i z apetytem sięgnęli po bułeczki. Przez długą chwilę nie zamienili między sobą ani słowa. Po wypiciu trzech kaw Gordon odsunął się nieco od stołu i wy dobył z szuflady popielniczkę.

- Dawno nie jadłem takich pyszności - rzekł i zwracając się do Sharon, zagadnął - Czy mogę zapalić?

Sharon była tak zaskoczona, że ledwie zdołała skinąć głową. Nikt przedtem nie zadawał sobie trudu, by ją o coś takiego zapytać.

- Niewątpliwie daje się zauważyć, że w biurze pojawiła się kobieta - zaśmiał się Peter.
- Rzeczywiście. Ale chciałbym cię jednak ostrzec, Sharon. Nie staraj się nam matkować. Jeśli tylko zobaczę kwiatki wazonie i ozdóbki na parapecie, wyrzucę cię.

Sharon schyliła głowę;

- Może pozwolilibyście mi chociaż przygotowywać w południe kawę? - spytała niepewnie.

Gordon milczał przez chwilę, uderzając palcami o blat stołu.

- Niech będzie - zdecydował. - Ale żeby nie odbywało się to kosztem twojej pracy.

- Z pewnością nie! - zawołała uradowana Sharon.

- Peter mówi, że dobrze sobie radzisz - pochwalił Gordon. - Ale nie musisz być taka spięta, rozluźnij się, a wtedy przyswajanie wiadomości przyjdzie ci łatwiej. Na początku każdy popełnia błędy i nie ma się czego wstydzić.

- Dziękuję - wykrztusiła dziewczyna i ukradkiem spojrzała na kosz na śmieci, który dzisiaj był zapełniony po brzegi...

Sharon szybko przywykła do swoich obowiązków. Peter obarczał ją coraz to nowymi zadaniami, a dziewczyna była dumna z siebie, gdyż z każdym dniem lepiej dawała sobie radę. Nie upłynęło wiele czasu, kiedy przeglądając rachunki, Sharon wykrzyknęła:

- Ależ Peter! Przecież to się nie zgadza!

- Co ci się tam znowu nie zgadza? - spytał Peter obojętnym głosem, nie podnosząc wzroku znad swoich papierów.

- Całkowita ilość miedzi wydobytej oraz tej zaksięgowanej pod koniec miesiąca!

- Ach, tak, więc wreszcie i ty to odkryłaś? - stwierdził z pozornym spokojem. - Od pewnego czasu jest to właśnie główny problem kopalni.

- Czy to znaczy, że ktoś kradnie?

Peter westchnął:

- Ba, żebyśmy to wiedzieli! Każdy z górników notuje codziennie ilość, jaką wydobył. Ale kiedy przeprowadzamy kontrolę ilości rudy ładowanej na statek, nigdy się ona nie zgadza i zawsze trochę brakuje. To wywołuje złą atmosferę wśród załogi. Ludzie czują, że posądza się ich o kradzież. Mimo to nie ulega wątpliwości, że cenny chalkopiryt znika gdzieś między wydobyciem i załadunkiem. A zdarza się przecież, że w kawałku skały znajdują się inne minerały, czasem nawet złoto.

- Ale czy nie macie kontroli przy zliczaniu?

- Mamy, i to bardzo ścisłą. Mimo to nie udało nam się natrafić na żaden ślad.

- Nie bardzo pojmuję, jak to możliwe, żeby ruda ot tak zniknęła. Znajdujemy się przecież na wyspie!

- Właśnie, i my nie możemy się nadziwić. Mamy tu tylko jeden port, poza tym mnóstwo stromych, niedostępnych skał. A mimo to ruda gdzieś ginie.

- Czy wszystkie transporty kierujecie do Anglii?

- Nie, płyną do Kanady, tam jest dużo bliżej. Chalkopiryt jest raczej kruchym minerałem i trudno transportować go na dalsze odległości. Dlatego, zgodnie z pomysłem Gordona, rozpoczęliśmy tu budowę huty miedzi.

Sharon była dumna jak paw. Peter wtajemniczał ją w problemy kopalni. Tak się z nim przyjemnie gawędziło. W dodatku Peter miał śliczne błękitne oczy, w które Sharon ogromnie lubiła zaglądać...

Nagle oderwała się od marzeń i, by ukryć zmieszanie, poczęła nerwowo przekładać plik papierów na biurku.

- A dlaczego sprowadzacie ludzi aż z Anglii? Czy to z powodu tej legendy?

- Tak. Mieszkańcy wybrzeży Kanady doskonale ją znają i za żadne skarby nie daliby się tu zaciągnąć.

- Teraz rozumiem kłopoty Gordona - powiedziała zamyślona Sharon. - Nic dziwnego, że zawsze jest taki pochmurny i nieprzystępny.

Peter wzruszył ramionami.

- Właściwie sam nie wiem, dlaczego taki jest. Chyba po prostu ma taki charakter.

- Czy trudno się z nim współpracuje?

- Skądże znowu, na pewno nie w sprawach kopalni. Tylko czasami zapomina, że ludzie to nie maszyny i nie są w stanie podołać wszystkim wymaganiom, jakie im stawia.

Sharon zamyśliła się. Chyba coraz lepiej rozumiała Gordona. Podobne dzieciństwo obojga sprawiało, że potrafiła wytłumaczyć sobie jego sposób bycia. Rozumiała też, jak bardzo dręczyły go problemy kopalni, której usprawnienie było jego ambicją. Zdawała sobie również sprawę, że okazywanie mu współczucia nie ma sensu. Gordon nigdy nie będzie się z nią dzielił nurtującymi go problemami.

Może to i lepiej. Gordon jest zbyt skomplikowaną osobowością, by się z nim zaprzyjaźniać. Za to Peter...

Oczy Sharon zabłyśły radośnie, po czym dziewczyna ponownie zagłębiła się w rachunkach.

Przerwy na kawę stały się miłym zwyczajem. Obaj panowie zjawiali się punktualnie w

biurze i rzeczywiście wypoczywali chwilę. Czwartego dnia na poczęstunek wprosił się doktor Adams.

- Słyszałem, słyszałem, i chciałbym się przyłączyć, jeśli pozwolicie?

I tym samym przybyło tematów do dyskusji.

- Jak tam twoi pacjenci? - zagadnął Peter.

- Dziękuję, nie odnotowałem nowych przypadków. Większość z nich wkrótce wypiszę. Przydałaby mi się natomiast pielęgniarka... - Tu wzrok doktora spoczął na Sharon.

Na to odezwał się Gordon:

- Doktorze, masz na wyspie ponad sześćdziesiąt kobiet, a usiłujesz zastawić sieci na Sharon. Jest tu niezbędna, więc od razu wybij to sobie z głowy.

Sharon zdumiała się taką oceną, ale zaraz posmutniała, bo Gordon dodał:

- Sharon pracuje bez zarzutu: jest efektywna i szybka i tylko to się dla mnie liczy.

- Uhm - mruknął Adams z krzywym uśmiechem na ustach. - Chyba nie znam maszyny, która przyrządzałaby taką wyborną kawę i piekła tak znakomite bułeczki. Jakież to pyszności! No jak tam, Sharon, znasz się trochę na pielęgniarstwie?

- William! - warknął ostro Gordon.

- Nie za wiele - odpowiedziała uprzejmie dziewczyna. - Choć bywało, że opiekowałam się chorymi dziećmi.

Peter nachylił się w jej stronę.

- Powiedz, czy ty może sama prowadziłaś tamten dom?

Dziewczyna uśmiechnęła się:

- Byłam najstarsza, zaś kierowniczką miała już swoje lata, więc po prostu przejmowałam niektóre jej obowiązki.

- Nie ma mowy o tym, żeby Sharon poszła do szpitala - uciął dyskusję Gordon. - Włożyliśmy mnóstwo wysiłku, żeby ją przyuczyć.

- My? - zawołał oburzony Peter. - O ile pamiętam, pojawiaasz się tylko w przerwie na kawę!

- Dobrze, dobrze, nie zabiorę jej wam - wtrącił doktor Adams. - Sharon, powiedz mi tylko, czy wiesz coś o porodach?

- Owszem - odparła niepewnie. - Zdarzało się, że młode kobiety rodziły, a potem zostawiały u nas nowo narodzone dzieci.

- Doskonale! - wykrzyknął Adams. - Wkrótce nadejdzie termin dla kilku kobiet. Chciałbym, żebyś mi wtedy pomogła.

Gordon obserwował Sharon z rosnącym zdumieniem,

- Zaczynasz mnie przerażać, dziewczyno. Czy jest coś, czego nie potrafisz zrobić?

Sharon nie mogła się opanować.

- Owszem - odrzekła, schylając głowę. - Nie potrafiłabym zabić ani człowieka, ani zwierzęcia.

Przy stole w jednej chwili zapanowało kłopotliwe milczenie i Sharon zaraz pożałowała swoich słów. Byli jej przyjaciółmi, nie należało więc przypominać o tym tragicznym wydarzeniu.

Pierwszy odezwał się Gordon:

- Wręcz przeciwnie. Powiedziałbym, że tak wyrachowana osoba...

- Zamilcz! - krzyknął poczerwieniały ze złości Peter. - Co ty możesz o niej wiedzieć? Widzisz w niej tylko maszynę, a nie zauważasz, jak bardzo się angażuje, by spełnić wszystkie stawiane jej wymagania! Czy nie pojmujesz, że w ten sposób stara się odwdziżyć za opiekę, jaką jej zapewniłszy?

Twarz Gordona nawet nie drgnęła. Peter wstał zdenerwowany.

- Przepraszam, niepotrzebnie się uniosłem. Ale nie mogę ścierpieć, że i ty ją oskarżasz, jakby nie dość było problemów z całą resztą durni. Dziewczyna boi się nawet wychodzić na ulicę!

Choć Sharon ucieszyła się, że Peter stanął w jej obronie, było jej jednak przykro, że niepotrzebnie zakłóciła miłą atmosferę spotkania.

- Jeśli będzie pan mnie potrzebował, panie doktorze, proszę powiedzieć - zwróciła się do Adamsa. - Znam też świetną kandydatkę do pracy w pańskim szpitalu. Ma na imię Margareth.

- Ach, tak, wiem, która to - rzekł nieszczerze zadowolony. - Pomyślę o tym.

Następnego dnia przy kawie pojawił się kolejny gość: był nim pastor Warden. Powoli przy niewielkim stoliku robiło się tłoczno.

Oprócz kawy i ciasta Sharon przygotowywała także obiady dla siebie, gdyż wciąż obawiała się szykan ze strony innych kobiet. Bywało, że musiała jadać w stołówce, ale zawsze było to ciężkie przeżycie. A jednak wyglądało na to, że niektóre kobiety zaczęły traktować ją przychylniej, jakby pogodziły się z jej istnieniem. Tylko nieliczne nadal obrzucały ją obelżywymi słowami i odnosiły się do niej wrogo. Należała do nich nieprzejednana Doris. Sharon spotykała też Margareth. Przyjaciółka wdzięczna jej była za wstawiennictwo u doktora Adamsa.

- Tak się cieszę z tego zajęcia! Nareszcie nie myślę już tylko o tym, by znaleźć sobie kawalera - mówiła Margareth, a Sharon pojęła, że nikt się jeszcze nie starał o jej rękę.

Ale już po tygodniu pastor pobłogosławił kilku parom. Sharon nie mogła się nadziwić, jak można było decydować o tak ważnych sprawach w ciągu zaledwie kilku dni, dla niej pozostawało to całkiem niezrozumiałe.

Wieczorami, po skończonej pracy Sharon wychodziła na spacer, by odetchnąć nieco świeżym powietrzem. Początkowo nie oddalała się poza teren portu, z czasem jednak, gdy nadal spotykała się z nieprzyjawnymi reakcjami mieszkańców osady, zaczęła wypuszczać się coraz dalej. Z radością obserwowała pulsującą życiem przyrodę, wąchała kwiaty na łąkach, wdychała zapachy lasu. Oddalała się bardziej i bardziej, niejednokrotnie umykając przed mężczyznami, którzy widzieli w niej łatwą zdobycz. Aż kiedyś całkowicie straciła orientację...

ROZDZIAŁ VII

Miało to miejsce pewnego pogodnego popołudnia, gdy Sharon powędrowała w stronę kopalni. Dotarła do najdalej wysuniętej części ogrodzenia i przez dłuższą chwilę przyglądała się magazynom, stalowym konstrukcjom szybów, dźwigom. Wznoszono tu również halę do przetapiania i oczyszczania rudy. Duma Gordona - huta miedzi, była prawie na ukończeniu. Z czasem na pewno wszystko się wokół zmieni, myślała Sharon.

Pracujący tu górnicy, mieszkańcy wyspy, nie stanowili już dla Sharon jednolitej grupy, dziewczyna powoli zaczynała ich rozpoznawać. Jednych lubiła, innych starała się unikać. To wśród nich większość swojego czasu spędzał Gordon, niekiedy pojawiał się tu także Peter. Był to świat dla niej, dziewczyny, zupełnie nieznanymi.

Sharon ruszyła wzdłuż ogrodzenia i w końcu dotarła na skraj lasu. Spacerowała między drzewami, zbierała kwiaty, przyglądała się nieznanym roślinom i rozmyślała o najróżniejszych sprawach.

Myśląc o Peterze mimowolnie uśmiechała się do siebie. Wprawdzie on właściwie nie rozmawiał z nią po pracy, ale czasem zatrzymywał na niej rozmarzony wzrok i wtedy jego twarz od razu się ożywiała. Sharon zawsze się w takich chwilach rumieniła i zaczynała mówić o czymś zupełnie nieistotnym. Gdyby kiedykolwiek udało jej się uwolnić od oskarżenia, jakie na niej ciążyło, z pewnością mogłaby okazać Peterowi przychylność, rozbudzić uczucie, które w sobie nosiła.

Gordon Saint John w przeciwieństwie do Petera wciąż budził niepokój dziewczyny. Ilekroć pojawiał się w biurze, Sharon odczuwała narastające napięcie. On zawsze traktował ją jak bezbłędnie działającą maszynę, która nie ma prawa się pomylić. W najmniejszym stopniu nie interesowało go, czy Sharon była winna zabójstwa, czy też nie. Nigdy nie wykazywał zainteresowania nią samą i Sharon czuła się tym dotknięta.

Z Peterem rzecz się miała zupełnie inaczej: był sympatyczny i życzliwy...

Tak rozmyślając, wędrowała dalej i dalej, aż wreszcie natknęła się na dużą ostrzegawczą tablicę:

„UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO! WSTĘP WZBRONIONY!”

Podniosła wzrok: na wprost niej, po drugiej stronie niewielkiej, z rzadka porośniętej krzakami łąki, wznosiły się ruiny zamku. W zapadającym zmroku wyglądały ponuro i groźnie. Wysokie wieże wyciągały się ku niebu niby pokiereszowane dłonie. Gdy Sharon wyobraziła sobie je w blasku księżyca, otulone wieczorną mgłą, ciarki przeszły jej po

plecach. Prawdziwe królestwo złych mocy!

Nie, to przecież dziecinada. To tylko fantazje i legendy! Poza tym Sharon nigdy nie ośmieliłaby się zlekceważyć zakazu zabraniającego zbliżania się do zamku. Nie wierzyła w niesamowite opowieści o czarowniku, ale z drugiej strony rany na skórze Andy'ego nie pojawiły się bez przyczyny. Sharon każdego dnia z daleka rzucała okiem na zamkowe wieże i zawsze widok ten budził w niej bliżej nieokreślony strach. Tymczasem teraz była w lesie zupełnie sama, a ruiny ponurego zamku znajdowały się właściwie niedaleko. Uznała, że najlepiej oddalić się z tego miejsca, ale nie poszła do domu, tylko w kierunku północno-zachodnim, pozostawiając stare zamczysko po swojej prawej stronie.

Sharon korciło, by dotrzeć do tej części wyspy, której jeszcze nie znała. Nie chciała się jednak zbyt oddalać od ruin, gdyż mimo wszystko stanowiły dla niej punkt orientacyjny. Starła się nie tracić z oczu murów, które teraz spowijała delikatna mgiełka.

Tutejszy las nie należał do wymarzonych na samotne spaceru. Rosło w nim mnóstwo dzikich, nieznanych roślin, a wyboiste kamienne podłoże sprawiało, że dziewczyna co chwila się potykała. Zmęczona, z trudem pokonywała niewysokie, lecz strome wzniesienia. Stopniowo krajobraz się zmieniał, aż w końcu Sharon znalazła się na gołych, niczym nie porośniętych skałkach. Stąd znowu poczuła zapach morza.

Nagle zatrzymała się w pół drogi. Skałka kończyła się urwiskiem, które opadało raptownie prosto we wzburzoną toń. Las za plecami Sharon powoli pograżał się w ciemnościach, ale tu, blisko otwartego morza, było dużo jaśniej. Dziewczyna zdumiała się, widząc w oddali nieliczne wysepki, ale przypomniała sobie, że właśnie od tej strony leży wybrzeże Kanady. Wydawało jej się nawet, że na horyzoncie dostrzega cieniutki paseczek lądu.

Odwróciła się i ponownie ujrzała ruiny zamku, tym razem już z zupełnie innej perspektywy: budowla górowała teraz na jednym z najwyższych wzniesień. Choć znajdowała się dość daleko, ponura aura nawet stamtąd oddziaływała na Sharon. Dziewczyna zauważyła, że od zachodniej strony mury zamku schodziły prawie do samego morza. Ostatni ich fragment został prawdopodobnie podmyty przez fale i teraz przypominał otwartą ranę.

Więc to miejsce wybrał sobie ów osławiony francuski możnowładca, o którym mówiono, że zaprzedał duszę diabłu! Ile było w tej legendzie prawdy, nie wiedziała. Czy on nadal panuje nad swoimi włościami, czy nadal nikogo do swej siedziby nie dopuszcza? Żaden z mieszkańców wyspy, nawet Peter, nie miał odwagi zbliżyć się do zamku. Gordon wprawdzie nigdy nie wspominał słowem o tej historii, ale skąd brałyby się te okropne rany, których nabawili się ciekawscy, gdyby choć w części nie była ona prawdziwa?

Sharon otrząsnęła się z dręczących ją myśli i ruszyła w drogę powrotną. Nie chciała pamiętać o bogatym Francuzie, którego wygnano z własnej ojczyzny. Nie chciała myśleć o jego samotnym życiu na zamku, gdzie w braku innych zajęć poświęcał się czarom i zgłębiał tajniki magii, aż wreszcie zmarł w zapomnieniu, a nikt nie zadbał o jego pochówek. Nikt nie wie, kiedy i dlaczego zmarł. A może nigdy nie miało to miejsca?

Nie, znowu te bajki. To wszystko wina niezwykłej atmosfery, jaką wywołują ruiny. Teraz trzeba skupić się na drodze do domu.

Odszukanie ścieżki, którą tu przyszła, wcale nie okazało się łatwe. Wszystkie wzniesienia i doliny wydawały się Sharon niemal jednakowe. Po jakimś czasie dziewczyna przestraszyła się nie na żarty, zupełnie nie wiedziała, gdzie się znajduje, gdyż w pewnej chwili straciła zamek z oczu. Odetchnęła jednak z ulgą, gdy po wyjściu z lasu na otwartą przestrzeń dostrzegła znowu ruiny, tym razem w znacznej odległości.

Udało się, udało! pomyślała uradowana.

Ponownie weszła do lasu. Było już prawie ciemno, więc przyśpieszyła kroku. Z minuty na minutę czuła coraz większe zmęczenie i wciąż narastający strach. Szła teraz szybko, mijając kolejne dolinki i wzniesienia. Gdy była już pewna, że za moment wydostanie się spomiędzy drzew i ujrzy znaną ścieżkę do domu, przystanąła na chwilę zdyszana.

Poczuła, że serce wali jej niczym młot i że zaraz zemdleje.

Co to jest, czemu jestem taka zmęczona? Przecież powinnam iść dalej!

Ale chwilę później Sharon musiała ponownie przystanąć i oprzeć się o drzewo. Było jej niedobrze, w głowie dudniło i pulsowało z niezwykłą siłą. W końcu zachwiała się i upadła.

Boże, jestem chora! Serce mi pęka! pomyślała przerażona. Wszystko wokół wirowało. Sharon nie wiedziała, kiedy się podniosła, w jakim kierunku szła, a raczej zataczała się, kalecząc stopy. Pchana instynktem samozachowawczym, uparcie podążała naprzód.

A Gordon posądzał mnie o brak siły woli! Gdyby mnie teraz widział! pomyślała.

W pewnej chwili zorientowała się, że znowu upadła. Resztką sił dźwignęła się na kolana. Wydawało się jej, że za chwilę całkiem straci przytomność. Przecież nie mogę tu zostać, muszę wracać do domu! powtarzała sobie w duchu. Zrobiło się całkiem ciemno i nawet gdyby ktoś mnie szukał, nigdy mnie tu nie odnajdzie!

Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Nigdy przedtem nie chorowała. Czyżby tak silne przemęczenie? Nie, było to coś gorszego: duszności, które nie pozwalały oddychać. Musi pokonać to uczucie!

Byle tylko nie poddać się i nie zasnąć. W pewnej chwili zamroczenie i ucisk w płucach jakby zelżały. Sharon dokuczał przejmujący ból głowy, ale powoli wracała do siebie.

Cały czas znajdowała się w lesie, ale teraz pod stopami wyczuła dróżkę i już z niej nie zbaczała. Nie była pewna kierunku, ale miała nadzieję, że posuwa się we właściwą stronę.

Niespodziewany atak słabości jeszcze nie do końca minął, Sharon musiała co chwila przystawać, aż w końcu przysiadła na kępce mchu. Oddychała głęboko, a przed oczami migały jej tysiące maleńkich ogników.

Nagle...

Najpierw sądziła, że to przywidzenie. Ujrzała przed sobą jakąś postać, wynurzającą się z ciemności pośród kępy drzew po drugiej stronie dolinki, w której odpoczywała.

Sharon szeroko otworzyła oczy, żeby lepiej widzieć. Nabrała powietrza do płuc. Tam ktoś był!

Ktoś lub coś, co zlewało się z okalającymi ową postać drzewami. Gdy tak siedziała, sparaliżowana strachem, wyraźniej dostrzegła kontury na tle gałęzi i krzaków.

Była to istota przypominająca wyjątkowo zdeformowanego człowieka. Rysy twarzy przeraziły dziewczynę w sposób nieopisany, nikogo o tak okropnej powierzchowności nigdy przedtem nie widziała. Ujrzała też błysk w ogromnych ślepiach, a poza tym wydawało się jej, że postać w ogromnych dłoniach trzyma coś, co do złudzenia przypomina węża!

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie, skoczyła na równe nogi i pognąła na oślep przed siebie. Odnosiła wrażenie, że cały czas za plecami słyszy ciężkie, powolne stąpanie.

Niewiele widziała w ciemnościach, ale uciekała, potykając się i upadając. Była przekonana, że ktoś ją ściga, ale stopniowo kroki stawały się coraz wolniejsze, aż w końcu ucichły.

Teraz nogi niosły ją same. Z głośnym łkaniem Sharon biegła dalej, nie zważając na to, że zaczepia suknią o gałęzie drzew i krzaki.

W końcu las się przerzedził i pojaśniało. Dziewczyna zorientowała się, że jest na dróżce, która bez wątplenia prowadziła od zamku ku portowi. Miała pewność, iż nie zbłądzi. Dostrzegła nawet dalekie światła baraków w osadzie.

Rynek był pusty. Sharon dotarła do targowiska i skierowała się do biura, ale nie do swojego pokoju. Ledwo żywa, bez wahania ruszyła korytarzem łączącym biuro z tą częścią budynku, w której mieszkali Peter i Gordon. Była tu po raz pierwszy.

W jednym z pomieszczeń paliło się światło. Sharon podeszła bliżej. Wchodząc do pokoju, w którym obaj pracodawcy grali w szachy, potknęła się o próg.

- Sharon, na miłość boską! Jak ty wyglądasz! - zawołali jednocześnie.

Peter doskoczył do dziewczyny i posadził ją na kanapie.

- Co się stało? - zapytał przerażony.
- Mów wreszcie, co się wydarzyło? - krzyknął zniecierpliwiony Gordon.
- Poczekaj, nie widzisz, że ona nie może wydobyć z siebie głosu? - przerwał mu Peter.
- No, już dobrze. Uspokój się i oddychaj głęboko. Spokojnie! Jesteś bezpieczna.

- Peter, przynieś szklankę wina! - polecił Gordon, siadając na brzegu kanapy.

Nagle schwycił dziewczynę za przeguby rąk i zawołał:

- Sharon, chyba nie byłaś w pobliżu zaniku?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Bogu dzięki - powiedział z wyraźną ulgą w głosie. Po raz pierwszy Sharon usłyszała, że Gordon mówi coś na temat zamku. Przekonała się, że i on wierzy, iż ponura budowla kryje jakąś tajemnicę.

Tymczasem w drzwiach pojawił się Peter ze szklanką wina, nakłonił Sharon, by je wypiała, a potem zapytał cicho:

- Czy ktoś wyrządził ci krzywdę... wiesz, co mam na myśli?

Sharon znowu pokręciła przecząco głową.

- Może nie miałyby nic... - zaczął Gordon, ale ugryzł się w język. - Sharon, przepraszam, naprawdę nie chciałem.

A więc w ten sposób o niej myślał! Tak ją to zabolalo, że się rozplakała. Opanowała się jednak szybko. Nie chciała, by Gordon widział ją w takim stanie.

- Czy inne kobiety znowu ci dokuczały? - dopytywał się Peter.

Wreszcie Sharon udało się zebrać trochę sił i wyjaśniła:

- Nie, nic takiego. Ale widziałam coś przerażającego.

Dopiła wina, po czym zaczęła opowiadać. Najpierw w jej głosie wyczuwało się wyraźne zdenerwowanie, potem jednak mówiła już dużo spokojniej. Nie przerywali jej, patrzyli tylko na nią z coraz większym zdumieniem.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał oszołomiony Peter.

- Czy jesteś pewna, że to wszystko naprawdę się wydarzyło? - dodał Gordon.

Peter obruszył się:

- Widzisz przecież, że dziewczyna jest w szoku. Czy na pewno nie byłaś w pobliżu zamku?

- Daję słowo. Znajdowałam się raczej z drugiej strony, niedaleko ogrodzenia kopalni. W każdym razie zamek znajdował się daleko na północny zachód.

- Rzadko kto pojawia się w tamtych rejonach. Czyżby i tam zawitał?

- W opowieści Sharon nic nie wskazuje na to, że widziała czarownika - skonstatował

Gordon. - On powinien być ubrany w luźny płaszcz z kimonowymi rękawami, tak by trochę przypominał nietoperza. Poza tym musiałyby mieć żółte oczy. Kogo mogła zatem widzieć Sharon?

- A to dziwne zamroczenie? - pytał w zadumie Peter. - Zgadza się co do joty z opowieściami robotników, którzy znaleźli się w pobliżu zamku.

- Przysięgam, że nie byłam koło zamku! - upierała się Sharon. - Zawróciłam przy tablicy i dalej już nie podchodziłam.

- W każdym razie proszę cię, żebyś nigdy więcej nie wybierała się na takie samotne wędrówki - rzekł kategorycznym tonem Gordon.

- Z pewnością nie! - zapewniała Sharon.

- Wygląda na to, że warto byłoby kiedyś udać się w tę stronę. Mogłabyś nam wtedy towarzyszyć - ciągnął Gordon. - Oczywiście tylko za dnia. Może zdołalibyśmy cokolwiek wyjaśnić. Sam żałuję, że nigdy nie mam dość czasu, by skupić się na tajemnicy tych ruin. Jestem tu od niedawna i zawsze byłem zdania, że to brednie. Nie wierzę w żadne demony. Ale wygląda na to, że muszę zmienić zdanie. Któregoś dnia wybierzemy się do owej doliny, Sharon.

- To może nie być łatwe - powiedziała i bezwiednie podrapała się po nodze. - Jest tam tyle małych podobnych do siebie dolinek. Nie wiem, czy potrafię odnaleźć tę właściwą.

- Ale wiesz chyba, w którym miejscu wyszłaś na drogę? - Przenikliwy wzrok Gordona wciąż wprawiał dziewczynę w zakłopotanie.

- Wydaje mi się, że wiem - zmieszana spuściła oczy. - Ale nie mam pewności. Och, tak mnie swędzi skóra, co za okropne komary!

- Nie drap się, bo będzie jeszcze gorzej. A poza tym jak się teraz czujesz? - zapytał Peter.

- Strasznie boli mnie głowa. Chyba jeszcze nigdy tak mnie nie bolała, ale poza tym wszystko dobrze. Przepraszam, że tak się drapię w waszej obecności, ale naprawdę strasznie mnie swędzi i piecze.

- Trzeba przyłożyć octu, powinien pomóc - poradził Peter.

- Nie mam octu u siebie.

- Myślę, że uda nam się jeszcze kupić w sklepie. Sklepiarz często ma dłużej otwarte, a jeśli nie, to najwyżej przerwiemy mu kolację.

- Tak, tak, on sprzedałby towar nawet w środku nocy. Zdaje się, że ceni pieniądze - dodał Gordon.

Sharon nie uczestniczyła już w dalszej rozmowie. Ból i pieczenie w nodze tak

dotkliwie dawały jej się we znaki, że aż jęknęła:

- Nie wytrzymam tego dłużej.

- Czy mogę zobaczyć? - spytał Peter, nachylając się nad nią.

Sharon zawahała się.

- Najbardziej boli mnie pod kolanem.

- No, dość tej fałszywej skromności. Chcemy ci pomóc, a nie wysłuchiwać pojękiwań
- powiedział ze złością Gordon.

Sharon podciągnęła ostrożnie porwaną spódnicę.

W tej chwili usłyszała dwa wyrażające niepokój okrzyki, tak że aż zaniemówiła
przestraszona.

- Na miłość boską! - jęknął Peter. - Więc jednak czarownik!

ROZDZIAŁ VIII

- Poślij natychmiast po Williama! - polecił Gordon.

Gdy Peter zniknął za drzwiami, Gordon ujął Sharon za ramiona i rzekł stanowczo:

- Słuchaj, nie ma najmniejszych powodów do paniki! Williamowi nie raz udawało się wyleczyć te rany w krótkim czasie. Wszystko zależy od tego, jak bardzo zostałaś poszkodowana. Czy bolą cię ręce albo ramiona?

- Nie, tylko noga.

Gordon przyglądał się uważnie dłoniom i ramionom Sharon. Kiedy jej dotykał, czuła dziwne, a zarazem przyjemne mrowienie. Tak ją to spieszyło, że czym prędzej przyciągnęła dłonie do siebie. Nadal nie opuszczał jej nieznany strach i nieufność wobec tego mężczyzny. Czemu był wobec niej taki oschły? Rozmawiał z nią tylko na temat pracy, i na dodatek takim oficjalnym tonem. Sharon było z tego powodu przykro, wydawało się jej, że przy odrobinie dobrej woli z jego strony mogliby zostać przyjaciółmi. Ale Gordonowi nie zależało na jej przyjaźni...

- Na ogół pierwsze rany pojawiają się na dłoniach i ramionach - rzucił obojętnie. - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby kogoś trafił w nogę.

Słowo „trafił” utwierdziło dziewczynę w przekonaniu, że Gordon istotnie ma na myśli przenikliwy wzrok demona.

- Może tym razem bardziej zainteresowały go damskie kolana? - dodała żartem, ale Gordona wcale to nie rozbawiło.

- Może i tak - wymruczał pod nosem. Dokładnie obejrzał ręce Sharon, skręcając je tak, jakby to były kawałki drewna.

- Wierzysz w tego czarownika? - spytała.

- Nie - odparł bez chwili zastanowienia.

Sharon miała teraz okazję z bliska przyrzeć się Gordonowi. Jego proste, ciemne brwi ściągnęły się w głębokiej koncentracji, a mocno wystające kości policzkowe w świetle żarówki uwydatniły się jeszcze bardziej, nadając twarzy surowy wyraz.

- Ręce wyglądają całkiem dobrze. Jak na razie - dodał.

- Jeśli nie wierzysz w duchy, to jak wytłumaczysz te rany?

- Nie wiem, Sharon.

Podoba mi się sposób, w jaki wypowiada moje imię, pomyślała. Ale to chyba jedyna rzecz, jaka mi się w nim podoba.

Tymczasem pojawił się Peter w towarzystwie doktora Adamsa. Doktor był niepokieszony.

- Sharon, dziecinko, dlaczego musiało się to przytrafić właśnie tobie? Jesteś taka śliczna!

Tym razem jej imię nie zostało wypowiedziane w równie romantyczny sposób, tak przynajmniej odebrała to Sharon. Doktor Adams, który wiele lat spędził w Ameryce Południowej, mówił dziwnym angielskim, co drażniło Sharon.

Jego dłonie zdrząły lekko, gdy dotykał nimi łydki dziewczyny. Wprawdzie na skórze nie pojawiły się jeszcze pęcherze, ale noga była wyraźnie zaczerwieniona i obrzmiała.

- Niestety, nie mam wątpliwości: to te same objawy. Pęcherze pojawią się za cztery do pięciu dni. Ale jak to się mogło stać?

Peter zrelacjonował w kilku zdaniach przygodę Sharon. William Adams nie mógł wyjść ze zdumienia,

- Tam? Znam wyspę wzdłuż i wszerz, ale takiej doliny zupełnie sobie nie przypominam. Poza tym czego on, na miłość boską, szukał w lesie? Wydawało mi się, że jesteśmy bezpieczni, o ile nie zbliżamy się do zamku, ale teraz?

- Odnoszę wrażenie, że tym razem nie mieliśmy do czynienia z duchem Francuza - rzekł spokojnie Gordon.

- A kto mógłby to być? Opis zupełnie nie odpowiada postaci z zamku, ale cała reszta...?

Gordon stanął za plecami Sharon i położył dłonie na jej ramionach. Dziewczynę znowu przeniknął błogi dreszcz.

- Naturalnie miało to jakiś związek z czarownikiem - stwierdził zdecydowanie. - Myślę jednak, że mamy do rozwikłania dużo większą zagadkę, niż się spodziewaliśmy. Prawdopodobnie Sharon była bliska jej rozwiązania i dlatego ktoś ją zaatakował. Nikomu przedtem się to nie zdarzyło.

Doktor Adams nasmarował maścią i owinął opuchniętą nogę Sharon.

- Mam nadzieję, że to szybko przejdzie - powiedział zduszonym głosem. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Zajrzyj do mnie jutro przed południem, maleńka.

Obiecała, że przyjdzie, mimo że od początku czuła się w jego obecności nieswojo. Raziło ją, że bezustannie się w nią wpatrywał, czy to przy obiedzie, czy też w przerwie na kawę. Nawet Peter zwrócił na to uwagę i od czasu do czasu żartował sobie z Sharon.

Dziewczyna nie chciała, żeby doktor Adams się w niej zadurzył. Wprawdzie potrzebowała teraz przyjaciół, lecz tym bardziej nie chciała znaleźć się w sytuacji, gdy będzie

zmuszona odrzucić doktora. Był z pewnością sympatyczny, dlaczego więc miałby cierpieć z powodu miłosnej porażki? Pani Moore rzeczywiście miała rację: niełatwo odmawiać niechcianym zalotnikom.

Doktor odprowadził ją do drzwi i Sharon szybko się pożegnała. Była bardzo zmęczona i chciała się jak najprędzej położyć. Teraz najbardziej brakowało jej firanek w oknie, za którym w ciemnościach mogło kryć się nieznane zagrożenie. Z postanowieniem, iż nazajutrz kupi zasłony do pokoju, naciągnęła kołdrę na głowę i zapadła w sen.

Następnego dnia podczas wizyty u lekarza okazało się, że z nogą Sharon nie jest tak źle, jak można by się spodziewać. Obrzęk i zaczerwienienie nie powiększyły się.

- Masz wielkie szczęście, Sharon - powiedział doktor Adams i spojrzał dziewczynie głęboko w oczy. - Musisz być przygotowana na wystąpienie pęcherzy i zapalenia, ale wydaje mi się, że twój organizm da sobie z tym radę.

Zaproponował, żeby mówiła mu po imieniu, ale nie zgodziła się na to. Dla niej był wciąż doktorem Adamsem i nie chciała tego zmieniać. Obiecała, że odwiedzi go następnego dnia. Doktor Adams chyba się ucieszył.

Gdy wychodziła, zawołał ją jeszcze raz. Położył swoje pulchne dłonie na jej ramionach i rzekł ciepło:

- Sharon, pamiętaj, że do mnie możesz zwrócić się w każdej sprawie i o każdej porze. Wiem, że czujesz się odrzucona i samotna. U mnie będziesz bezpieczna i... kochana - dodał po chwili wahania.

Sharon poczuła narastającą niechęć. Miała ochotę wyrwać się z objęć doktora i uciec na kraj świata. Przypomniała sobie jednak słowa pani Moore i opanowała wzburzenie.

Tymczasem doktor Adams ciągnął:

- Zaproponowano mi dobrze płatną posadę w Ameryce Środkowej. Pomyśl tylko: moglibyśmy oboje opuścić tę okropną wyspę. Nie wiesz nawet, jak bardzo byś mnie uszczęśliwiła!

Sharon spuściła głowę i wybąkała:

- Dziękuję, doktorze, będę o tym pamiętać. Wciąż jednak jestem posądzana o zabójstwo i nie mam prawa od nikogo przyjmować miłości.

Sharon nawet się nie spodziewała, że ten straszny zarzut, jaki na niej ciążył, okaże się teraz pomocny. Na te słowa doktor ożywił się i schwycił ją silniej:

- Sharon, dla mnie nie ma to najmniejszego znaczenia, słyszysz?

- Ale dla mnie ma znaczenie zasadnicze - odparła, uznając rozmowę za zakończoną, i wysunęła się z ramion niefortunnego adoratora.

Wyszła od Adamsa dużo wcześniej, niż się spodziewała, miała zatem trochę czasu dla siebie. Postanowiła pójść do kościoła, by porozmawiać z pastorem.

Przed kościołem natknęła się na Doris w towarzystwie poślubionego właśnie męża. Przystanęła i rzekła z uśmiechem:

- Chciałabym wam pogratulować.

- Dziękujemy - zaczął mężczyzna, ale Doris zaraz mu przerwała:

- A co, zazdrościsz? - rzuciła ostro. - Jakoś nie widzę twojego narzeczonego! Czyżbyś nikogo jeszcze nie złapała w swoje sieci? Czyżby nikt cię nie chciał?

- Ależ, kochanie - obruszył się młody małżonek. - Sharon jest miłą i życzliwą osobą, dlaczego tak brzydko się do niej odzywasz?

- Żebyś mi się więcej nie ważył rozmawiać z tą morderczynią! - wrzasnęła Doris, popychając męża. - Czuję, że odtąd to my, żony, będziemy odbierać w biurze pensje. Już ja się o to postaram!

Tom, sympatyczny młody górnik, wyglądał na mocno zdenerwowanego całą tą nieprzyjemną sceną. Doris odwróciła się jeszcze i krzyknęła na odchodnym:

- A w ogóle czego taka szuka w kościele! To hańba! A może sumienie cię ruszyło?

Sharon patrzyła za nimi, przygnębiona.

Znalazła pastora w zakrystii niewielkiego, skromnego kościółka.

- Sharon, drogie dziecko! Spodziewałem się ciebie.

- Naprawdę? - spytała zdumiona dziewczyna. - Czy mogłabym z pastorem porozmawiać?

- Naturalnie, siadaj. Co chciałabyś mi powiedzieć? - zapytał po przyjacielsku.

- Och, jest tak wiele spraw, że właściwie nie wiem, od czego zacząć. - Sharon mocno zacisnęła dłonie na oparciu fotela.

- Może jednak mógłbym ci w czymś pomóc?

- Tak, chyba tak. Czy mogę rozmawiać otwarcie?

- Oczywiście. Powinnaś jak najszybciej zrzucić ciężar z serca.

Sharon spojrzała na szczupłą, pełną dobroci twarz duchownego i wzięła głęboki oddech.

- Próbowалам z całych sił postępować uczciwie, być dobrym człowiekiem. Ale jest mi coraz trudniej. Wieczorami przed snem przychodzą mi do głowy różne złe myśli. Czuję w sobie narastającą nienawiść, a jednocześnie jest mi z tym ciężko. Przeraza mnie to. Ja nie chcę stać się zła.

- Kogo tak nienawidzisz?

- Wszystkich, którzy prześladują mnie i obrażają, nie wierząc w moją niewinność. Ale najbardziej nie mogę znieść Lindy Moore. Gdy tylko o niej pomyślę, ogarnia mnie straszliwa złość i chęć zemsty. Czy sądzi pastor, że Bóg mi to wybaczy?

Duchowny popatrzył poważnie na Sharon.

- Oczywiście, że tak, ale nie możesz nadal żywić w sercu nienawiści.

- To prawda. Co mam robić? Chciałabym o wszystkich móc dobrze myśleć, chciałabym, żeby mnie oczyszczono z zarzutów, zwłaszcza że...

- Tak? - Warden uśmiechnął się, dodając dziewczynie odwagi.

- Ja... - Sharon znowu wzięła głębszy oddech - zakochałam się w pewnym mężczyźnie. Ale jak mogę zdobyć jego przychylność, skoro ciąży na mnie takie oskarżenie?

- Powinnaś postępować tak, jak to dotychczas czyniłaś, okazując innym życzliwość i pomoc. Myślę, że ludzie w końcu zapomną. Wielu mieszkańców tej wyspy bardzo cię lubi...

Sharon pokręciła głową:

- To oskarżenie będzie się za mną ciągnęło do końca moich dni! Gdybym odtąd była niczym święta albo anioł, zawsze znajdą się ludzie, którzy mi dokuczają. Nigdy nie uwierzą w moją niewinność, chyba że zostałamby oficjalnie uwolniona od zarzutów!

- Obawiam się, że masz dużo racji, moje dziecko. W dzisiejszych czasach ludzie wolą szukać źdźbła w oku bliźniego, niż dostrzec belkę we własnym.

- Mówił pastor, że jestem lubiana. Kogo pastor miał na myśli?

Warden uśmiechnął się:

- Na przykład siebie. Muszę wyznać, że ostatnio z ogromną przyjemnością wstępuję do biura. Jest jakaś radosna aura wokół ciebie, która sprawia, że przyciągasz ludzi.

Sharon westchnęła uszczęśliwiona, po chwili jednak spoważniała:

- Czy pastor myśli, że jestem winna?

- Nigdy nie zastanawiałem się nad tym - rzekł spokojnie. - Muszę ci natomiast powiedzieć, że odbyliśmy poważną rozmowę na twój temat.

- Naprawdę? Nic nie wiedziałam.

- Tak. Była to bardzo burzliwa dyskusja. Zdajesz sobie pewnie sprawę, że nie tolerowalibyśmy mordercy na wyspie i nie raz padał pomysł, by cię odesłać. Wiadomo jednak, że nie zostałam skazana, lecz tylko podejrzana o ten czyn, dlatego postanowiliśmy dać ci trochę czasu. Istnieje prawdopodobieństwo, że jesteś niewinna, więc nie chcieliśmy sami osądzać, gdyż moglibyśmy popełnić niewybaczalny błąd. Sam muszę przyznać, że staram się nie myśleć o tej sprawie. Wiem tylko, że tutaj na wyspie okazałaś się dobrą i wrażliwą młodą osobą. Inni też są tego zdania.

- Kto?

Warden uśmiechnął się, rozbawiony niepohamowaną, dziecięcą ciekawością Sharon.

- Nasz doktor zawsze mówi o tobie ciepło. Poza tym Margareth...

- Margareth, naprawdę? - wykrzyknęła uradowana.

- To bardzo dobra kobieta. Na szczęście trafiła tam, gdzie jest najbardziej potrzebna.

Często ją spotykam, kiedy odwiedzam chorych. Ogromnie ją cenię. Znam też wielu innych, którzy nie mogą uwierzyć, że byłabyś zdolna zabić kogokolwiek. Naturalnie lubi cię też Peter Ray...

- Och! - Sharon odetchnęła z ulgą.

- Mogłem się domyślać, że chodzi właśnie o niego - zaśmiał się duchowny.

- Ach, gdyby nie to oskarżenie! - szeptała Sharon. - A co myśli Gordon Saint John?

- O, tego zupełnie nie da się odgadnąć. Dotyczy to zresztą nie tylko twojej sprawy, ale też każdej innej.

Warden położył swoją dłoń na dłoni Sharon.

- Szczerze mówiąc, Sharon, martwię się, że na co dzień obcuje z tym człowiekiem. Chwilami mam wrażenie, że on gardzi ludźmi, robiąc tym samym krzywdę tobie. A ty jesteś taka wrażliwa...

- Niech się pastor o mnie nie martwi. Ja go rozumiem: bo oboje mieliśmy tak samo nieszczęśliwe dzieciństwo. Ja też nie raz miałam ochotę wykrzyknąć swój żal do całego świata. Nie sądzi pastor, że jesteśmy w tym trochę do siebie podobni?

Duchowny spojrzał na Sharon smutnym wzrokiem.

- Chyba się mylisz, moje dziecko. Jego reakcje naprawdę trudno przewidzieć. Nagromadził w sobie tak wiele nienawiści, że to mnie przeraża. Bądź ostrożna, bo nie wiadomo, co mu może przyjść do głowy. Ani się obejrzyysz, jak złamie cię i pognębi, tak że już nigdy nie zdołasz się podźwignąć. Trzymaj się raczej Petera, jest prostolinijny, dobroduszny i wyrozumiały. A do tego zawsze wierzył w twoją niewinność.

- Dobrze, ale dość już na mój temat. Proszę teraz o radę. Słyszał pastor zapewne, że wczoraj nabawiłam się tych dziwnych ran.

- Owszem. Wie już o tym cała wyspa.

- Czy, zdaniem pastora, ten rzekomy duch naprawdę istnieje?

Warden wstał i ujął Sharon za ramię.

- Chętnie odpowiem ci na to pytanie, dziecko, ale wyjdźmy na zewnątrz. O takich rzeczach nie rozmawia się w świątyni. Przejdziemy się w kierunku targowiska.

Po długim siedzeniu w mrocznej i chłodnej zakrystii promienie słoneczne osłępiły ich

oboje. Demony i czarownice wydawały się teraz czymś absolutnie nierealnym.

- Mieliśmy piękne lato - powiedział pastor. - Ale ma się ono już ku końcowi, a znaczy to, że nadchodzą burze i sztormy.

- Czy to możliwe, że jestem tu już miesiąc? - zawołała zaskoczona Sharon. - Jak ten czas szybko leci!

- Pracowałeś. Ale wracając do twojego sympatycznego ducha...

- Ufff! - wzdrygnęła się dziewczyna.

- Cóż, to rzeczywiście dziwna sprawa.

- Czy pastor wierzy w czarownika?

- Nie wierzę w błakające się po świecie duchy zmarłych. Nie wątpię jednak, że wszyscy widzieliście coś dziwnego i że to coś wiąże się z historią zamku. Ale nie potrafię powiedzieć, co to może być.

- Czy nikt nie może udzielić wam pomocy?

- Prosiłiśmy o to, ale odpisano nam, że naszym zadaniem jest wydobywanie rudy, a nie zajmowanie się duchami - odrzekł pastor, wzdychając głęboko.

- Ale czy nie dałoby się zbadać ruin zamku?

- Zrozum, że nie możemy narażać życia i zdrowia ludzi. Sama się przekonałaś, jakie są tego skutki. Podobnie jak Gordon nie dopatruję się tu działania sił nadprzyrodzonych. Peter nie jest pewien. Twoja przygoda wszystkich bardzo przerażała: po raz pierwszy ktoś został poraniony poza obrębem zamku. Dzisiaj rano niektóre kobiety były bliskie paniki, ale jakoś udało nam się je uspokoić.

- Jeśli uważacie, że jest jakieś realne wytłumaczenie tego zjawiska, na czym ono może polegać? - zapytała Sharon, gdy dotarli właśnie do rozgrzanego słońcem targowiska.

- Zagadką nie jest sama historia czarownika, ale właśnie twoja przygoda.

- Czyżby ktoś próbował mnie nastraszyć?

- Hm, w takim razie musiałyby to zostać zaplanowane dużo wcześniej. Historia czarownika ma blisko trzysta lat.

- A przedtem?

Długa sutanna pastora wlokła się po błotnistej ziemi.

- Przedtem mieszkali tu spokojni Indianie, którzy trudnili się rybołówstwem i łowiectwem. Strach zagościł tu dopiero wraz z pojawieniem się francuskiego pana zamku.

Pastor i Sharon mijali właśnie świetlicę, przed którą, opalając się w słońcu, siedziały usługujące tu kobiety. O tej porze nie miały dużo zajęć, gdyż większość klientów pracowała. Skłoniły się pastorowi, musiały też pozdrowić Sharon.

Duchowny odpowiedział im skinieniem głowy. Sharon, wciąż podekscytowana, mówiła:

- Och! Żeby tak się dowiedzieć, jakiego rodzaju czarną magię uprawiał i co sprawiło, że aż wygnali go z kraju!

- Sądysz, że to możliwe? Przecież nawet nie znamy prawdziwego imienia i nazwiska tego człowieka.

Powoli zbliżali się do budynku biura.

- Wejść z tobą - powiedział Warden. - I spróbuj, droga Sharon, być nieco bardziej wyrozumiała dla tych, którzy cię zbyt szybko osądzają i gardzą tobą. To typowa ludzka reakcja. Twoja słabość pozwala im czuć się pewniej.

- No tak, ich zdaniem, jestem przecież od nich gorsza - stwierdziła z goryczą w głosie.

- Nie wolno ci tak mówić. Proszę, wchodź do środka - Duchowny przepuścił Sharon przed sobą.

Ku ich wielkiemu zdumieniu biuro pełne było mężczyzn.

- Ach, więc jesteś wreszcie! - zawołał Peter. - Czekaliśmy na ciebie. Witamy, pastorze, może i pastora to zainteresuje. Jak tam twoja rana, Sharon?

- Dziękuję, nie najgorzej - uśmiechnęła się dziewczyna. - Chyba będzie się goić.

- Czy mogłabyś usiąść tutaj, przy stole, razem z innymi? - Gordon raczej wydał polecenie niż zapytał. - Sprowadziłem wszystkich siedmiu ludzi, którzy widzieli czarownika. Poza nimi także inni nabawili się ran, ale nie mieli okazji zobaczyć naszego „ducha”. Tu leżą ołówki i papier, chcę, żebyście spróbowali narysować postać, którą ujrzeliście w lesie. Potem porównamy wasze rysunki

- Ale ja nie umiem rysować - zachnęła się Sharon.

- Nic nie szkodzi, nie oczekuję od ciebie arcydzieła - rzucił Gordon niecierpliwie. - Spróbuj skupić się na najważniejszych szczegółach.

Wszyscy usiedli nad kartkami papieru i zabrali się do roboty.

Sharon знаła z widzenia kilku mężczyzn, w tym Andy'ego. Niektórzy mieli na dłoniach wciąż jątrzące się rany.

- Czy wy wszyscy byliście w pobliżu zamku? - spytała.

- Owszem, nawet po kilka razy. Za poprzedniego szefa urządziliśmy nawet całą ekspedycję z zamiarem rozwiązania zagadki.

Sharon zwróciła się do Gordona:

- A was nigdy tam nie ciągnęło?

- Owszem. Któregoś dnia wybraliśmy się w tamtym kierunku, ale nie doszliśmy do

końca. Mam wkrótce zamiar ponowić tę próbę.

- Ja odradzam, koledzy także. Uważam, że to bezsensowne. Wtedy doszliśmy do schodów wykutych w skale u stóp ruin. I na tym koniec. Skóra zaczęła nas piec, szczypały oczy. Ale czterech z nas nie poddało się i dotarło do niewielkiej polanki tuż przed bramą - opowiadał jeden z mężczyzn. - Trzech z miejsca zamroczyło i upadli na ziemię. Czwarty, Percy, ujrzał postać z przerażająco jasnymi ślepiami, stojącą pod łukiem bramy. Cudem udało mu się odciągnąć zemdlnych kolegów ze schodów. Gdy obejrzał się znowu, postać stała już niżej.

- Czy kiedykolwiek widziałeś tego kogoś stojącego na murze obronnym?

- Tak, ale najczęściej ukazuje się właśnie w pobliżu schodów.

- Ja go dostrzegłem pomiędzy drzewami - odezwał się inny mężczyzna. - Strzeliłem, ale kula przeszła przez ciało jak przez powietrze.

- Słuchajcie, nie mamy czasu na takie brednie - zauważył sucho Gordon. - Zabierajcie się za rysowanie. Tylko jak najdokładniej.

W pokoju zapadła cisza, od czasu do czasu przerywana mozolnym postępowaniem.

Trzej „egzaminatorzy” stali z tyłu, obserwując wysiłki rysujących. Sharon podniosła wzrok i napotkała zamyślane spojrzenie Gordona. Może nie wierzył w jej przygodę w lesie? Może dlatego zorganizował ten popis?

Nachyliła się nad kartką papieru, by jeszcze coś poprawić, ale nie szło jej to łatwo. Sharon miała przed oczyma obraz postaci, jednak ołówek nie bardzo był jej posłuszny.

W końcu ostatni z mężczyzn oddał swoją pracę Gordonowi Saint Johnowi. Ten rozłożył wszystkie rysunki na drugim stole. Spośród ośmiu dzieł rysunek Percy’ego był wyraźnie lepszy od innych. Percy nie odmówił sobie przyjemności złożenia gigantycznego podpisu, dużo większego od samej postaci.

Teraz wszyscy nachylili się nad stołem. Siedem „portretów” było w miarę do siebie podobnych. Przedstawiały mężczyznę nienaturalnie dużego wzrostu z długimi włosami i brodą, odzianego w obszerny płaszcz. Postać miała ludzką twarz, ale za to płonące, żółte oczy. Tylko rysunek Sharon był zupełnie inny...

Rzeczywiście rysowanie nie było jej mocną stroną, ale jej postać bez wątpienia odróżniała się od pozostałych.

Andy parsknął śmiechem:

- Wygląda mi na mrówkojada! A do tego trzyma jakieś flaki?

- To jest wąż, a nie żadne flaki - powiedziała obruszona Sharon. - On naprawdę miał taki długi nos!

- To chyba jakiś kot w butach - dodał Peter wesoło. - Poza tym nagryzmoliłaś tyle krzaków w tle, że nie wiadomo, co jest co.

- Gordon polecił rysować możliwie jak najdokładniej - broniła się Sharon.

- To dopiero biedne stworzenie, o ile rzeczywiście takie właśnie spotkałaś! - skomentował Andy.

- Cisza! Dajcie już spokój - uciął krótko Gordon, ale Sharon zorientowała się, że z trudem utrzymuje powagę. Sharon nie widziała jeszcze Gordona rozbawionego do tego stopnia. W końcu sama zaczęła się śmiać.

- Wiesz co, Sharon? Wreszcie odkryłem, że jest coś, czego naprawdę nie potrafisz robić! - dodał Gordon rozbawiony.

Sharon już chciała mu odpowiedzieć, gdy wtrącił się pastor.

- Zwróćcie uwagę, że Sharon widziała coś innego, niż pozostali. Nie można porównać nieźle prezentującego się ducha z tą pokrzywioną, dziwaczną istotą z wybałuszonymi oczami i długim nosem. To zupełnie coś innego!

- Tak. Poza tym ten, którego spotkałam, miał zupełnie normalny wzrost, a nawet powiedziałabym, że był dość niski.

Gordon polecił wszystkim wracać do pracy. Z westchnieniem opuściła pokój także Sharon; poszła do swoich liczb i tabel. Udział w tym spotkaniu nawet ją odprężył. Choć na chwilę zapomniała o własnej dramatycznej sytuacji i kłątwie, jaka spoczęła na wyspie.

Ale ciemne chmury nadal zbierały się nad horyzontem...

ROZDZIAŁ IX

Trzy dni później Sharon zauważyła u siebie pęcherze. Były bardzo bolesne i wywołały lekką gorączkę, więc dziewczynie nakazano leżeć w łóżku. Gordon był niezadowolony, bo teraz musiał więcej czasu spędzać w biurze. Im dłużej Gordon pracował, tym częściej tracił cierpliwość. Kradzieże chalkopirytu nie ustawały, ale na razie nie było na nie rady. Teraz należało skupić się na jak najszybszym uruchomieniu pieców hutniczych. Tak więc kłopoty z „duchem” zeszyły na dalszy plan.

Doktor Adams nakłonił Gordona, by Sharon posłać na jeden dzień na obserwację do szpitalika. Dziewczyna, choć niechętnie, musiała się na to zgodzić. Adams spędzał przy niej nieprzyzwoicie dużo czasu, podczas gdy Sharon udawała wycieńczoną, by tym sposobem uniknąć rozmowy ze swoim adoratorem. Na szczęście pęcherze przyschły i choć kilka z nich pozostawiło niewielkie ranki, nawet i one zaczynały się już goić. Wieczorem Sharon oznajmiła, że wraca do domu.

W szpitaliku Sharon spotkała Margareth. Początkowo się unikały, ale w końcu pokonały niepewność i nawiązały rozmowę.

Sharon pytała zaciekawiona:

- No i jak ci się pracuje dla doktora Adamsa?

- Och, on jest tak często poza szpitalem - odparła. - Przeważnie pracuję tu sama, znam już swoje obowiązki i staram się je wykonywać jak najlepiej. Wydaje mi się, że nie jestem złą pielęgniarką.

Sharon pokiwała głową.

- Z pewnością. Pastor bardzo cię chwalił.

- Taaak? - zawołała Margareth poruszona. - A co mówił?

- Dokładnie nie pamiętam. „Wspaniała kobieta”, między innymi tak się wyraził.

Radosny uśmiech Margareth nagle zgasł.

- Powinam być dumna jak paw, a tymczasem wcale nie jestem rada, że darzy mnie aż takim szacunkiem.

Sharon położyła na ramieniu Margareth swoją dłoń.

- Uważam, że przemilczał to, co dla ciebie najważniejsze. Może się mylę, ale odniosłam wrażenie, że nie jesteś mu obojętna.

- Mam nadzieję, że to prawda - wyszeptwała.

- Ale przecież on jest duchownym? - zapytała naiwnie Sharon.

- Tak, ale przecież pastor może się ożenić - wykrzyknęła przyjaciółka i zaraz poczerwieniała; zdała sobie bowiem sprawę, że się zdradziła.

- Oby tylko nie przegapił tej szansy. Musisz go trochę rozruszać, Margareth - zdecydowanie rzekła Sharon.

- Co ty mówisz, Sharon! Nigdy bym nie śmiała!

Panikę, która wybuchła po leśnej przygodzie Sharon, szczęśliwie udało się załagodzić. Tematem dnia stawały się inne wydarzenia: najczęściej komentowano, kto się z kim zaręczył lub ożenił, kto zdobył nową pracę.

Od dnia, w którym Doris wyszła za mąż i wyprowadziła się z baraku, zmienił się także stosunek pozostałych kobiet do Sharon. Wprawdzie nie od razu przestały ją szykanować, ale nie atakowały jej już bezpośrednio. Niektóre zaczęły nawet z Sharon rozmawiać, choć za jej plecami nierzadko wymieniały kąśliwe uwagi na jej temat. Dziewczyna wierzyła, że z czasem wszystko się unormuje i załagodzi, choć jednocześnie miała świadomość, że mieszkanki wyspy nigdy nie przestaną o niej myśleć jako o morderczynie.

Nie powiedziała nic Peterowi ani Gordonowi o kamieniu, który pewnego wieczoru wpadł do jej pokoju, wybijając szybę. Mimo to obaj odkryli wkrótce, co się stało, i bez powodzenia usiłowali dociec przyczyny.

- Na szczęście od czasu, kiedy zamieszkała u nas Sharon, nie miewamy już nocnych gości - skomentował Gordon.

- Boże uchowaj! - wykrzyknęła Sharon. - Jeszcze by tego brakowało! A co słyhać w kopalni, czy kradzieże ustały?

- Raczej na to nie wygląda - odpowiedział zmartwiony Gordon. - W przyszłym tygodniu przyplywa statek, więc znowu przeprowadzimy kontrolę. Ale obawiam się, że ilość surowca znów się nie będzie zgadzać.

Sharon posłała Gordonowi współczujące spojrzenie, ale on jak zwykle zareagował na to wzruszeniem ramion.

Któregoś dnia Gordon Saint John w drodze do kopalni wstąpił do biura i, nie bawiąc się w żadne uprzejmości, zagadnął wprost:

- Słuchaj, czy ty znalazłaś już sobie jakiegoś kawalera?

Sharon w jednej chwili zaczerwieniła się po uszy. Ze wstydu nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Pokręciła więc tylko przecząco głową.

- Czas najwyższy, żebyś się za kims rozejrzała. Pozostał ci tylko miesiąc -

przypomniał tonem, w którym zabrzmiała groźba.

Sharon nagle ujrzała siebie samą powracającą do Anglii: Proces, potem wyrok i... koniec, koniec wszystkiego!

Och, Peter!

- Wydaje mi się, że w mojej sytuacji nie ma żadnego wyjścia... - wyszeptała z rozpaczą.

Gordon przez chwilę przypatrywał się dziewczynie.

- Chcesz wracać?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Dobrze się tu czuję, choć jeszcze nie do końca udało mi się pokonać niechęć ludzi. Mimo to mam kilku przyjaciół i... i tak bardzo nie chcę umierać!

Twarz Gordona była niezgłębiona.

- Więc znajdź sobie kandydata na męża! Kogokolwiek, kto się zgodzi. Nie możemy sobie pozwolić na to, by cię utracić. Wyobrażasz sobie, co by się stało z biurem? Istny chaos. Przejęłaś całą papierkową robotę, której tak nie cierpię. Dzięki tobie mogę dużo więcej czasu poświęcać sprawom kopalni. Rozpuściłaś nas...

Zamilkł i zamyślił się. Sharon usiłowała ukryć uśmiech. Gordon nigdy by się nie przyznał, jak wiele znaczyły dla niego przerwy na kawę ze świeżym ciastem Sharon. Dziewczyna wyobrażała sobie jego dzieciństwo i wczesną młodość w domu dziecka: gołe, smutne ściany sierocińca, drewniana podłoga, którą dzieci musiały regularnie szorować, brud, bieda wyzierająca z każdego kąta, a przede wszystkim brak miłości i rodzinnego ciepła.

- Nie, Sharon. Twój wyjazd byłby dla nas wielką stratą. Gdybyśmy nawet przyuczyli do pracy przy rachunkach kogoś innego, zawsze myślelibyśmy to samo: „Żeby tak Sharon tu była i ogarnęła sprawy swoim jasnym, sprawnym umysłem”.

Gordon Saint John nieczęsto pozwalał sobie na tego typu pochwały, toteż Sharon bardzo wzruszyły jego słowa.

- Niestety sądzę, że nikt mnie nie zechce...

- Głupstwa pleciesz. Tutejsi mężczyźni nie są aż tak wymagający.

Sharon przymknęła powieki i odpowiedziała:

- Spróbuję się nad tym zastanowić.

Rozmowa z Gordonem wprowadziła ją w minorowy nastrój. Czasu rzeczywiście pozostało niewiele. Przez kilka następnych nocy dziewczyna przewracała się z boku na bok i długo nie mogła zasnąć, rano zaś wstawała zmęczona.

Ale niedługo potem wydarzyło się coś, co dodało życiu Sharon prawdziwych kolorów.

Pewnego dnia Sharon stała pochylona nad biurkiem. Nie zauważyła wejścia Petera i dopiero gdy wyszeptał kilka słów do jej ucha, ocknęła się.

- Sharon, masz takie zachwycające włosy...

Ażeby ukryć zmieszanie, zapytała szybko:

- Co robi Gordon, czy jeszcze jest w kopalni? W ogóle go dziś nie widziałam.

- W kopalni był dzisiaj wypadek. Przysypało jednego z górników, ale na szczęście jest cały, tak przynajmniej twierdzi. Tylko że bardzo trudno go wydostać. Na miejscu jest doktor Adams i Margareth, no i oczywiście Gordon, który zawsze w takich sytuacjach pojawia się w kopalni jako pierwszy. Odpowiedzialny w najwyższym stopniu. Czy wiesz, że twoje włosy lśnią w blasku słońca wszystkimi kolorami tęczy? Nigdy u żadnej dziewczyny nie widziałem tak pięknych włosów. Nawet mi się nie śniło, że będę mógł je kiedyś głaskać...

Sharon nie była w stanie wypowiedzieć słowa.

- Takie błyszczące, takie miękkie - Peter objął głowę Sharon i zatopił ręce w jej lokach. Lekko przyciągnął dziewczynę do siebie i przytulił. - Sharon, jesteś zachwycająca, delikatna i pełna gracji jak lilia. Sharon...? - Delikatnie zwrócił twarz Sharon ku swojej twarzy, tak że patrzyli sobie głęboko w oczy. W końcu Peter leciutko pocałował dziewczynę w usta. - Wybacz mi, ale nie mogłem się powstrzymać.

- Nic się nie stało - ledwo wyszeptała Sharon. - Jaa... mnie jeszcze nikt przedtem nigdy nie całował, a ty...

Peter roześmiał się zaskoczony.

- No, teraz to chyba żartujesz! Nikt cię przedtem nie pocałował? W to nie uwierzę.

Sharon odsunęła się, boleśnie dotknięta jego słowami.

- Dlaczego tak mówisz? Czy ty naprawdę myślisz, że ja...

Westchnął i znowu przytulił jej głowę do swojego ramienia. Sharon opierała się, ale w końcu dała za wygraną.

- Dobrze wiesz, że nigdy nie wierzyłem w to morderstwo. Ale całowanie to zupełnie inna sprawa. Poza tym nie możesz się aż tak przejmować oskarżeniem. Mnie ono nie interesuje, więc najlepiej zapomnijmy o tym.

Tym razem pocałunek Petera był bardziej namiętny.

Sharon poczuła, że ogarnia ją dziwna niemoc. Co się teraz stanie? pomyślała.

Nagle jednak Peter oprzytomniał.

- Idzie Gordon. Lepiej, żeby nas nie widział w takiej sytuacji.

Oboje wrócili do swoich obowiązków, Sharon przygładziła tylko potargane włosy. Kiedy Gordon wszedł do biura, pochylali się pilnie nad swoimi papierami.

- Peter, zastąp mnie na chwilę w kopalni. Od rana nic nie miałem w ustach, jestem głodny jak wilk.

Sharon poderwała się momentalnie:

- Ja ci zaraz coś przygotuję.

Kiedy Sharon po dłuższej chwili weszła do pokoju z parującym talerzem zupy, Gordon siedział skulony z głową ukrytą w dłoniach, starając się pokonać senność.

- Jesteś okropnie zmęczony, powinieneś odpocząć.

- Dam sobie radę - odburknął. - Zjem coś niecoś i muszę wracać.

- To niemożliwe. Kopalnia nie zawali się bez ciebie, a przecież wysłałeś tam Petera.

Jak miło wypowiadać jego imię, jakie to szczęście kochać i czuć się kochaną, pomyślała Sharon, po czym dodała stanowczym tonem:

- Zjedz obiad, a potem pójdziesz przespać się chwilę. Obudzę cię niedługo.

Chyba tylko świadomość, że Peter darzy ją uczuciem, pozwoliła Sharon wydawać Gordonowi takie dyspozycje. Czuła w sobie teraz jakąś niezwykłą siłę.

Gordon w pierwszej chwili otworzył usta, by zaprotestować, w końcu jednak się poddał.

- Może masz rację? Niewielki teraz ze mnie pożytek.

I zasnął.

Późnym wieczorem ktoś niespodziewanie zastukał do drzwi. Przez kilka sekund Sharon zastanawiała się, kto też mógłby ją odwiedzać o tej porze, Andy'ego i Anny jednak zupełnie się nie spodziewała. Młodzi sprawiali wrażenie podenerwowanych.

- Proszę - Sharon zaprosiła ich do środka. - Czy coś się stało?

Weszli do przedpokoju, a Sharon wskazała im drogę do jej pokoiku.

- Sharon, musisz mi pomóc - poprosiła urywanym głosem Anna. - Nie chcę, żeby te okropne kobiety ze szpitalika wytrząsały się nade mną, a Margareth i doktor są w kopalni i....

- Pobraliśmy się - przerwał jej Andy, jakby ta nowina miała wszystko wytłumaczyć. - Anna jest wspaniałą dziewczyną, a ja przecież mogę się zająć dzieciakiem. Ona się wcale nie przejmuje moją egzemą, więc powiedziałem jej, że tylko ty możesz nam pomóc.

- Tak, a ja się wcale ciebie nie boję, bo wiem, jaka jesteś dobra. Ty jedna okazałaś mi serce na statku. Doktor mówił, że to dla ciebie nie pierwszozna. Co ja mam zrobić, to cały miesiąc za wcześnie, a ja tak się boję...

Resztę zdania pochłonał szloch dziewczyny.

Sharon dopiero teraz zorientowała się, o co chodzi.

- Anno, chyba nie chcesz powiedzieć, że właśnie nadszedł czas rozwiązania...?

- Tak... - zdołała tylko wyszeptać.

- Przed chwilą znowu miała bóle i jest taka blada - dodał zdenerwowany Andy. - To chyba już pora. A ja z powodu wypadku muszę stawić się w kopalni!

- Mój Boże, ale ja tylko asystowałam przy porodzie! Nigdy nie przyjmowałam dziecka sama! Andy, musisz tu zostać i mi pomóc! - wykrzyknęła przerażona Sharon.

Andy cofnął się o kilka kroków.

- Kazano mi przyjść na nocną zmianę, bo mamy za mało ludzi przy wydobywaniu. Większość pomaga przy zawałisku.

Podczas gdy Sharon zbierała myśli, twarz Anny znowu wykrzywiła się boleśnie.

- W takim razie powiedz koniecznie doktorowi, żeby jak najszybciej tu się zjawiał - poleciła Andy'emu. - Mogę sobie nie poradzić, bo to wcześniejszy poród, a więc i większe ryzyko.

Sharon podbiegła do łóżka i szybko zaczęła zmieniać pościel, po czym pomogła Annie zdjąć suknię. W chwilę później Anna już leżała na pościeli.

Dopiero teraz rodząca nieco się uspokoiła i rozejrzała po pokoju.

- Więc tu mieszkasz? Jak tu miło, nawet ładniej niż w nowych domach.

- Przedtem był tu składzik - odpowiedziała zadowolona z pochwały Sharon. - Mam też piecyk, ale zasłoniłam go szafką, więc nie jest aż tak widoczny. Jestem dumna z tego pokoiku, choć dotychczas nie miałam go komu pokazać, nikt mnie tu nie odwiedza. Jesteś moim pierwszym gościem. No, a teraz leż spokojnie, bo muszę się przygotować - Sharon mówiła dużo w nadziei, że Anna nie usłyszy, jak głośno szcękają jej ze strachu zęby.

Co robić? myślała w popłochu. Nożyczki, balia, gorąca woda, czyste ręczniki, bandaże...

Przeszywający powietrze krzyk rodzącej sprawił, że Sharon zastygła z przerażenia.

Nie było chwili do namysłu, nadchodziło rozwiązanie. Jak sobie poradzi? Przecież nawet nie zdążyła wszystkiego przygotować. Gdyby choć ktoś mógł jej pomóc...

- Sharon, wzięłam ubranka dla maleństwa - odezwała się Anna między jednym a drugim bólem.

- To świetnie. Poczekaj teraz chwileczkę, zaraz wracam. Nic się nie bój!

Zanim Anna zdołała cokolwiek odpowiedzieć, Sharon biegła już w kierunku części mieszkalnej.

Co ja zrobię? myślała w popłochu. Przecież powinien się wyspać, ale nie mam wyjścia. Może się nie zdenerwuje. Boże, dopomóż mi!

Gordon rzeczywiście spał głęboko na kanapie, nie zdjął nawet butów. Sharon odczekała chwilę, zanim odważyła się szarpnąć go za ramię i potrząsnąć mocno. Gordon obudził się i uniósł na posłaniu.

- Co, kopalnia? - zapytał wystraszony.

- Nie, nie kopalnia. Zwykła ludzka sprawa. Potrzebuję twojej pomocy. Chodź szybko!

Gordon oprzytomniał w okamgnieniu. Bez słowa podążył za Sharon w kierunku jej pokoju. Kiedy na łóżku Sharon ujrzał bliską rozwiązania Annę, na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

- Nie musisz mi towarzyszyć, ale przynieś natychmiast gumowe prześcieradło i gorącą wodę. Tu stoją wiadra. I jeszcze parę rzeczy ze sklepu, zapisałam ci na kartce. Pamiętaj, żeby dali jak najdelikatniejszą tkaninę. Wodę zagrzejesz na piecu, a drewno znajdziesz pod szafką. I napal solidnie, bo to wcześniak. Musi mieć ciepłutko!

Gordon tylko kiwał głową, nie protestując przeciwko temu, że tym razem Sharon wydaje polecenia.

- Posłałaś po doktora? - zapytał niepewnie.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że zjawi się szybko. Jeszcze nigdy nie odbierałam porodu sama.

- Poradzisz sobie?

- Spróbuję, z twoją pomocą, ma się rozumieć.

- W porządku, już biegnę.

Kiedy wyszedł, Sharon ustawiła z krzeseł prowizoryczny parawan i przykryła go zasłonami.

Anna uśmiechnęła się przez łzy.

- Że też masz odwagę tak się zwracać do samego dyrektora!

- Są chwile, kiedy to kobiety decydują o wszystkim - odparła Sharon. - No, jak się czujesz?

- To trwa tak długo... - jęknęła Anna.

Sharon otarła krople potu z czoła rodzącej.

- Wręcz przeciwnie, wygląda na to, że pójdzie całkiem sprawnie.

Aż za sprawnie, dodała w myśli zaniepokojona Sharon. Żeby choć Margareth tu była!

- Sharon, jesteś taka miła. Nie rozumiem, jak mogłabyś kogoś zabić - wyszeptła Anna.

- Nie mogłabym nikogo zabić. Ale opowiedz mi lepiej o sobie. Czy w Anglii było ci ciężko?

Anna pokiwała głową, a jej wargi lekko zadrżały.

Sharon miała nadzieję, że w ten sposób odwróci uwagę dziewczyny od bólu związanego z porodem. Historia Anny była jedną z tysięcy opowieści o tej jedynej miłości, o wyśnionym mężczyźnie, który odszedł, i rodzicach, którzy odwrócili się od zhańbionej córki.

Po twarzy Anny spływały łzy.

- Mówił, że nie uwierzy w moją miłość, jeśli mu nie ulegnę. To miał być dowód mojej miłości...

- No tak, to częsty sposób przekonywania dziewcząt. I na ogół kończy się to podobnie. Mam nadzieję, że inaczej życie ułoży ci się z Andym.

- Bardzo go lubię - potwierdziła Anna.

Dziewczyna nie mogła mówić dalej, gdyż bóle znowu się nasiliły.

Tymczasem wrócił Gordon.

- Przyniosłem ci nieprzemakalne prześcieradło. Chyba się nada?

- Tak, dziękuję ci.

Anna mamrotała teraz coś pod nosem.

- Sharon, nie zabijesz maleństwa? Nie zrobisz tego, prawda?

Sharon zbladła i spojrzała na Gordona. Ten poklepał ją uspokajająco po ramieniu i odezwał się zdecydowanym głosem:

- Anno, co to za głupstwa przyszły ci do głowy? Sharon próbuje ci tylko pomóc!

- A czy ja coś mówiłam? - spytała dziewczyna półprzymkniętymi oczami.

Sharon wyprosiła Gordona i posłała go do kuchni, by rozpałił ogień i zagrzał wodę.

W nadzwyczajnie krótkim czasie Sharon i Gordon przygotowali wszystko, co mogło być potrzebne. Wreszcie nadszedł decydujący moment.

Sharon starała się nie myśleć o niczym, tylko skoncentrować na porodzie. Polecenia, które wydawała Gordonowi, brzmiały niczym pojedyncze wystrzały z karabinu:

- Wlej wodę! Za gorąca! Wygotuj nożyczki!

Zza zasłony słyszała tylko szybkie kroki Gordona.

Nagle przesywające krzyki rodzącej zupełnie umilkły, zapanowała niezmacona cisza. Gordon stanął bez ruchu w oczekiwaniu na to, co jeszcze się wydarzy. Po chwili usłyszał słaby płacz noworodka.

W pokoju były teraz cztery osoby.

Gordon odetchnął z ulgą.

- Masz synka, Anno - zakomunikowała wzruszona Sharon. - Gordon, weź chłopca i ostrożnie go wykup.

Gordon stał niepewnie z zakasnymi rękawami i przyglądał się Sharon ze zdumieniem.

- Ja?

Sharon zrobiła nieznaczny gest głową w kierunku Anny. Gordon zrozumiał, że ze względu na spokój matki jemu chciała teraz powierzyć maleństwo.

Anna leżała z przymkniętymi oczami i była nadal bardzo blada. Martwiło to Sharon, która modliła się, by doktor Adams zjawił się jak najprędzej. Zmieniła Annie pościel i podeszła do Gordona.

Gordon poradził sobie całkiem nieźle z kąpielą i maleństwo leżało teraz spokojnie, starannie opatulone w ręczniki.

- Widzę, że świetnie ci poszło - pochwaliła Sharon.

- Oj, nie jestem taki pewien. Cały czas wydawało mi się, że mały tonie w moich rękach. To taka kruszyna!

- Możesz już odetchnąć. Ale broń Boże, żebyś zapalił fajkę.

Gordon usiadł w fotelu i otarł pot z czoła. Jego wzrok spoczął na Sharon, wyrażał podziw i niedowierzanie. Sharon zmieszała się i zaczęła nerwowo poprawiać włosy.

- To był pewnie trudny poród?

- Nie, raczej nadspodziewanie szybki. Niekiedy poród trwa kilkadziesiąt godzin.

Gordon westchnął:

- Dla mnie to było przerażające, krzyki, krew! Chyba nigdy się nie ożenię.

- A to dlaczego? - zapytała Sharon.

- Czegoś podobnego nie przeżyłbym po raz drugi. Nie dopuszczę, by kobieta musiała tak dla mnie cierpieć.

Sharon rzekła w zamyśleniu:

- A gdyby tego pragnęła?

- To niemożliwe. Czy sądzisz, że Anna zdecydowałaby się przeżyć coś podobnego jeszcze raz?

Sharon uśmiechnęła się.

- Dziś jej o to nie pytaj, ale za tydzień zobaczysz, co ci odpowie.

Gordon pokręcił głową:

- To przechodzi wszelkie pojęcie.

W korytarzu dały się słyszeć czyjeś kroki, zaraz potem do pokoju wbiegli doktor Adams i Margareth. William zwrócił się do Sharon:

- Ależ tu parówka! No, jak tam, Sharon, czy dziś wieczór ktoś przyjdzie na świat?

Sharon uśmiechnęła się i wskazała na stół, gdzie leżał niemowlak. William i Margareth stanęli jak wryci.

Doktor obejrzał dokładnie dziecko, po czym wszedł za kotarę, by ocenić stan matki.

- Czy miałaś kłopoty z udrożnieniem płuc? - spytała Margareth.

- Nawet nie jak na tak wczesny poród.

Gordon wracał myślami do trudnych chwil w trakcie porodu, które, jak mu się zdawało, trwały wieczność. Nabrał szacunku dla Sharon, cały czas tak niezwykle opanowanej. Dopiero teraz dostrzegł, że dziewczyna drży jak osika.

William wyszedł zza kotary z uśmiechem na twarzy.

- Z matką wszystko w porządku. Jest wycieńczona, to zrozumiałe, ale nic jej nie będzie. Sharon, spisałaś się na medal!

- Nic dziwnego: z takim pomocnikiem? - roześmiał się wesoło Gordon.

Sharon napotkała jego wzrok. Kto by pomyślał, że jest taki dowcipny? Szkoda tylko, że tak rzadko żartuje, pomyślała.

William pogłaskał Sharon po głowie.

- Jesteś bardzo zmęczona, zasłużyłaś na odpoczynek, przyjaciółko.

- Sharon da sobie radę - odparł na to Gordon, - To kobieta ze stali.

Słyszając te słowa William zdenerwował się naprawdę i podniesionym głosem powiedział:

- Nie, mój drogi, ona nie jest ze stali, jak ci się wydaje. To ty traktujesz ją jak urządzenie. Zupełnie nie rozumiem, jak ona jeszcze to wytrzymuje. Usługuje ci we wszystkim!

- Ha, dobre sobie! Szkoda, że nie było cię tu przed godziną, a zobaczyłbyś, kto tu komu usługiwał! Biegałem w tę i z powrotem jak w ukropie. I nawet... nawet dobrze się czułem w tej roli!

- Rzeczywiście, chciałbym to zobaczyć... - zamruczał zaskoczony William.

Kiedy już wszyscy opuścili pokój - młodą mamę wraz z niemowlakiem wyniesiono na noszach - Gordon zmarszczył czoło w zadumie.

- O czym tak myślisz, Gordonie? - zapytała Sharon.

Gordon ocknął się z zamyślenia.

- Siadaj, przyniosę ci herbaty.

Sharon zaskoczyła ta niespodziewana uprzejmość. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest wyczerpana. Oparła głowę o ścianę i obserwowała krzątającego się Gordona, z trudem unosząc ciężkie powieki.

Gordon postawił na stoliku kubki z gorącym napojem i usiadł naprzeciwko dziewczyny.

- Nie będzie mnie tu William pouczał. Sam zauważyłem, że jesteś zmęczona. No, a teraz pij!

Sharon podniosła kubek do ust. Gorąca herbata szybko ją rozgrzała, tak że aż policzki jej poróżwiały.

- Dziękuję ci za herbatę, i nie tylko. Bez twojej pomocy nie dałabym sobie rady przy porodzie.

Gordon wiercił się na krześle, mile polectany pochwałą.

- Całkiem tu u ciebie przyjemnie - rzucił, rozglądając się po pokoju

- Mógłbyś mnie od czasu do czasu odwiedzić po pracy. Dotychczas nie miałam tu gości - odparła zawstydzona. - Czuję się trochę osamotniona. Moglibyśmy pogawędzić na różne tematy, napić się herbaty.

Zamruczał coś niewyraźnie pod nosem, nie wiedząc, jak zareagować na tę propozycję.

- No, na mnie już czas - powiedział i wstał niechętnie. Zatrzymał się jednak przy drzwiach.

- Pamiętaj, co ci radziłem ostatnio? Jak tam, znalazłaś już sobie kogoś?

- Ja... ja mam nadzieję, że mi się uda...

- Doskonale. Sama widzisz, że stajesz się tu coraz bardziej niezastąpiona.

Kiedy wyszedł, Sharon opadła bez sił na łóżko. Wydarzenia ostatnich godzin sprawiły, że zapomniała o czymś ogromnie miłym: Peter dziś ją pocałował!

Kto wie, może uda jej się jednak pozostać na wyspie? I do tego u boku Petera!

Ale następnego dnia wszystkie jej nadzieje legły w gruzach.

Poranek nie zapowiadał niczego złego, przeciwnie: Gordon był w niezłym humorze, gdyż Andy poprosił go, by został ojcem chrzestnym jego synka. Gdy Gordon wyszedł, w biurze pozostali tylko Sharon i Peter, który, nie zwlekając, wziął dziewczynę w ramiona i pocałował czule.

- Muszę już iść, Sharon. O której będziesz dziś wolna?

- Myślę, że jak zwykle około piątej.

- Dobrze, więc wybierzemy się na spacer. Mamy tyle spraw do omówienia, prawda, kochanie?

Serce Sharon zabiło żywiej.

- Bardzo chętnie.

- Och, Sharon, musisz dzisiaj się chyba zabarykadować. - Peter przytulił dziewczynę do siebie. - Wieczorem przypląwa statek, jest wypłata i mężczyźni pewnie pójdą na piwo. Wiedzą, że mieszkasz tu sama, więc musisz bardzo uważać.

- Statek? I znowu z kobietami na pokładzie?

- No tak. A potem zacznie się zabawa. Ale my tam chyba nie pójdziemy.

- Dla mnie spacer byłby dużo przyjemniejszy.

Sharon była tego dnia inna: podekscytowana i uśmiechnięta. Gordon obserwował ją ukradkiem znad filiżanki kawy, Peter zaś porozumiewawczo puszczał do niej oko, ale się nie odzywał.

Po południu grupy mężczyzn pociągnęły na nabrzeże. Peter także tam poszedł, gdyż jak zwykle miał przywitać nowo przybyłe kobiety. Sharon obserwowała wszystko z okna biura, wzdychając od czasu do czasu.

Gordon także podszedł do okna i stanął obok Sharon.

- Znowu ten cyrk! Mam już tego dosyć. Ta maskarada zabiera zbyt dużo czasu - rzekł sucho.

Minęła dłuższa chwila, zanim kobiety zeszły na ląd. Potem wszyscy powoli ruszyli w kierunku osady.

Sharon z łatwością odróżniała wysoką postać Petera wśród tłumu.

- Teraz Peter z kimś rozmawia - zauważyła.

- To jakaś kobieta - dodał Gordon. - Ale się rozgadała!

Była to młoda, żywo gestykująca osoba. Im mniejsza dzieliła ją i Petera odległość od biura, tym więcej szczegółów sylwetki dostrzegała Sharon: ciemne, lśniące włosy, wielkie, niewinne oczy wpatrzone w Petera i jego z sekundy na sekundę zmieniającą się w chmurę gradową twarz.

Sharon skuliła się nagle, instynktownie odwróciła się do Gordona i przytuliła do niego.

Gordon przytrzymał ją za ramiona i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Co się stało, Sharon?

Jej wzrok wyrażał najgłębsze przerażenie.

- O, Gordon, to niemożliwe!

- Co takiego?

- Ta dziewczyna koło Petera to... Linda Moore!

ROZDZIAŁ X

- Idzie tu z nią. Nie rozumiem, po co? - powiedział poirytowany.

Sharon wróciła na swoje miejsce za biurkiem. Myśli jak szalone wirowały jej w głowie. Miała ochotę uciec na koniec świata, ale jednocześnie wiedziała, że nadejdzie taki dzień, kiedy będzie musiała stanąć oko w oko z Lindą.

Peter wszedł do biura, za nim kroczyła Linda. Ubrana na czarno, skromnie, stanęła pośrodku pokoju z miną skrzywdzonej dziewczynki.

Dygnęła przed Gordonem i zaczęła:

- Dzień dobry. Nazywam się Linda Moore. Zwierzchnik pana był tak miły i pozwolił mi tu przyjść. Obiecał także mi pomóc. Bo, widzi pan, ja jestem taka wrażliwa i nie mogę mieszkać pod jednym dachem z całą tą podejrzaną hołotą, więc może mogłabym zatrzymać się tutaj albo przy szpitaliku? Chętnie pomogę, gdyż zajmowałam się pielęgniarstwem...

Peter, trochę zmieszany, mrugnął porozumiewawczo do Gordona.

- Lindo, to nie ja jestem zwierzchnikiem pana Gordona Saint Johna, lecz on jest moim.

Niewinne oczy Lindy skierowały się ponownie na Gordona. Dziewczyna przypatrywała mu się badawczo, wyraźnie starała się wyczuć jego nastawienie.

- Och, najmocniej przepraszam! Czy zatem sądzi pan, że będzie to możliwe?

Po raz pierwszy Sharon miała się przekonać, jak oschły w stosunku do innych kobiet jest zwykle Gordon.

- Nie możemy robić wyjątków tylko dlatego, że uważasz się za wrażliwą. Jeśli przybyłaś na tę wyspę, o wrażliwości musisz zapomnieć. Poza tym czas, byś przywitała się z twoją dawną znajomą. To ona zajmuje jedyne w tej części budynku pomieszczenie.

Gordon wskazał na Sharon.

Zdumiona Linda odwróciła się z wahaniem. Dopiero teraz dostrzegła Sharon. Na ułamek sekundy z jej twarzy zniknął udawany wyraz niewinności, brwi ściągnęły się, a oczy zapłonęły nienawiścią. Ale już w chwilę potem uśmiechnęła się promiennie i wydała z siebie okrzyk radości, obejmując czule Sharon.

- Sharon, kochanie! Jak się cieszę z tego spotkania! Krążyły pogłoski, że nie żyjesz, i tak rozpaczalam po tobie...

- Co cię tu sprowadza? - zapytała sucho Sharon, wyzwalając się z nieoczekiwanych objęć.

Linda ponownie odwróciła się do obu panów, głównie zaś do Gordona, który przecież

był tu najważniejszy, i powiedziała słodkim głosem:

- Sharon i ja byliśmy jak siostry. Rozdzieliło nas bardzo przykre wydarzenie. Ale nie chcę o tym mówić. Tak się cieszę, że znów ją widzę, i nie noszę w sercu żadnej urazy. Nigdy zresztą tak nie było.

Gordon, którego wysoka sylwetka dominowała w pokoju, rzekł oschle:

- My jednak nie możemy tak po prostu przejść nad tym do porządku dziennego. Sharon przybyła na wyspę oskarżona o morderstwo. Ponieważ była jedynie podejrzana, a nie skazana, postanowiliśmy jej nie aresztować. Okazała się tu osobą niezastąpioną, pełną serdeczności i dobroci, mimo że mieszkańcy nie okazali jej przychylności. Teraz wszystko uległo zmianie. Jesteś drugą podejrzaną w tej sprawie osobą. Jedną z was jest winna i nie pozwolę, by przestępczyni uniknęła zasłużonej kary. Czas, abyśmy wreszcie rozwiązali tę ponurą zagadkę i doszli, która z was popełniła ten straszny czyn.

- Ja nie mam najmniejszych wątpliwości - odezwał się Peter chłodno.

- Ale ja mam - odparł Gordon. - Znam tylko Sharon i muszę mieć czas, by się przekonać, która z was kłamie.

- Jestem do pana dyspozycji, panie Saint John - uśmiechnęła się przymilnie Linda. - Gdybym tylko mogła się na coś panu przydać, z pewnością miałby pan możliwość poznać mnie bliżej. Proszę mnie pytać o wszystko.

- Później. Teraz nie mam na to czasu. Pamiętajcie tylko, że nie chcę tu żadnych awantur. Jedną z was odjedzie stąd za miesiąc, ale jeśli będziecie się źle sprawować, obie odprawię z powrotem. I to pod strażą!

Nakazał Lindzie powrót do baraku, co przyjęła bez szemrania, choć z miną skrzywdzonego niewiniątka.

- Sharon! - zawołał wzburzony Peter. - Jak mogłaś?!

- Jak mogłam co? - zapytała zdumiona.

Peter pobałdł ze złości.

- Wodźć nas w taki sposób za nos! Nawet dziecko może zaświadczyć, że Linda jest czysta! Taka niewinna buzia!

Sharon pochyliła głowę.

- Gdy się tu zjawiłam, mówiłeś mi, zdaje się, to samo?

- Bo byłem głupi i zaślepiiony! - zawołał ze złością. - Omamiłaś wszystkich swoją bezradnością i urodą. Ale z tym koniec! Teraz przejrzałem cię na wylot! Nie spocznię, dopóki nie wsadzę cię za kratki! Nie będziesz już więcej rzucała oszczerstw na Lindę! Szkoda, żeście tego nie słyszeli! - głos Petera niemal łamał się ze współczucia. - Aż mi się serce krajało, gdy

opowiadała o swoim nieszczęśliwym dzieciństwie i młodości, o tym, jak nie miała z czego żyć. Nakłoniono ją do opuszczenia kraju, bo odmówiła wyjścia na ulicę. Biedna dziewczyna! A ty, Sharon, zawsze dajesz sobie radę! Przyjrzyj się jej uważnie, Gordon! Która z nich wygląda na dziewczynę lekkich obyczajów? Tylko Sharon. Te rude, wyzywające włosy, te śmiałe zielone oczy i kusząca reszta! Pomyśleć, że to biedne dziecko, Linda... Nie, to niesłychane!

Poderwał się i wypadł z pokoju, trzaskając drzwiami. Sharon, kompletnie zdruzgotana, opadła ciężko na krzesło.

- Gordon, wyjdź stąd, wyjdź, bardzo cię proszę! Nie chcę, żebyś był świadkiem mojej klęski.

Gordon stał chwilę bez ruchu, po czym powiedział sam do siebie:

- Dzisiaj wypłata i pijaństwo, w kopalni nowe przypadki kradzieży. A jeszcze do tego te babskie awantury. I wszystko na mojej głowie. Co za życie!

Po tych słowach zamknął za sobą drzwi.

Po kilku dniach Sharon zauważyła, że większość mieszkańców wyspy znów odnosi się do niej nieprzychylnie. Bez wątplenia było to „zasługą” Lindy, która na domiar złego zapalała wielką sympatią do Doris, szczególnie wrogo usposobionej do Sharon. Peter także nie zamienił z nią ani słowa. Przez pierwsze dni nie pojawiał się w ogóle na kawie, ale Gordon przemówił mu do rozumu. Sharon zrozumiała, że Peter spotyka się teraz z Lindą, a to bardziej ją raniło, niż gdyby zwyczajnie ją rzucił dla jakiegokolwiek innej dziewczyny. Sharon mogła teraz policzyć swoich przyjaciół na palcach jednej ręki: Andy, Anna, Margareth, pastor, no i doktor Adams. Gordona nie brała pod uwagę, bo oceniał Sharon wyłącznie po wynikach jej pracy. Nie odnosił się do niej ani przyjaźnie, ani też wrogo; był po prostu taki jak zwykle.

Po czterech dniach od przybycia Lindy do Sharon zapukała Margareth. W oczach miała łzy.

- Margareth, co się stało? - zawołała Sharon, podsuwając przyjaciółce krzesło.

Margareth westchnęła ciężko i odpowiedziała drżącym głosem:

- Straciłam pracę przy chorych. I do tego jestem już wpisana na listę powracających.

- Jak to, straciłaś pracę? Przecież wszyscy cię dotychczas chwalili? Czy zrobiłaś coś nie tak?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale Peter chciał widzieć tam kogo innego, William zaś się nie sprzeciwiał. Ona jest dużo młodsza i ładniejsza.

Sharon zrobiła wielkie oczy.

- Linda?

Margareth przytaknęła.

- Ma lepsze przygotowanie, więc pewnie dlatego. Tylko że...

Sharon z trudem powstrzymała się, by nie powiedzieć czegoś brzydkiego.

- W tej sytuacji nic nie możemy zrobić. Z Lindą trudno wygrać. Ale spróbuję porozmawiać z Gordonem. Jest niewątpliwie sprawiedliwy.

- Nie, Sharon, nie rób tego. Nie zniosę, jeśli przyjmą mnie z powrotem z litości, a tak naprawdę woleliby widzieć tam Lindę.

- Jak chcesz. Ale mówiłaś też o jakiejś liście?

- Jeszcze jej nie zauważyłaś? Zawsze wywieszana jest przed świetlicą na jakiś czas przed odprawieniem statku. Widnieją tam nazwiska wszystkich kobiet, które zostaną wysłane z powrotem do Anglii. Chodzi oczywiście o kobiety niezamężne.

- To potworne. Przypuszczam zatem, że i moje nazwisko tam się znajduje?

Margareth pokiwała twierdząco głową.

- Zatem Linda triumfuje. Zwłaszcza po tym, jak odebrała mi Petera. Margareth, powiedz mi, czy chciałabyś tu zostać?

- O niczym innym nie marzę. Jak dotąd bardzo się tu dobrze czułam. Ale od kiedy zjawiała się Linda, wszystko się zmieniło. Atmosfera stała się nie do zniesienia. Niezła z niej intrygantka, a do tego potrafi się doskonale maskować.

- To właśnie jej sposób na życie. Każdy się na to nabiera.

- Ale ja teraz już wiem, jak ona pracuje, jak odnosi się do innych! Nie mam już żadnych wątpliwości co do tego, że jesteś niewinna! Ty pewnie też nie masz ochoty wracać?

- A jak myślisz? Tam czeka mnie tylko śmierć. Poza tym przekonanie, że tu naprawdę do czegoś się przydaję. To cudowne uczucie. Jedyne, co mnie pociesza, to fakt, że Linda nie jest w stanie odebrać mi pracy w biurze. Stale coś knuje, ale tylko na to ją stać. Nie nadaje się do prowadzenia rachunków. Boję się, co jeszcze może wymyślić...

Nazajutrz była niedziela, więc Sharon wybrała się do kościoła. W ławkach po jednej stronie zasiedli mężczyźni, po drugiej kobiety, jak było w zwyczaju. Sharon zorientowała się, że znowu toczy się kolejna kampania przeciw niej: wrogie szeptki, niemiłe zaczepki. Tym razem nikt nie chciał koło niej usiąść. Na nieszczęście Margareth miała ostatni dyżur, Anna była jeszcze zbyt słaba, by wychodzić na dwór. Tego dnia w kościele Sharon nie spotkała żadnej przyjaznej duszy.

Czuła, że wiele osób ją obserwuje. Wiedziała, że wśród nich jest Peter. Kiedy

napotkała jego wzrok, aż zadrżała pod lodowatym, oskarżycielskim spojrzeniem. Inne wiele się nie różniły. Wszyscy traktowali ją jak zadżumioną.

William był chyba jedynym człowiekiem, który nadal podziwiał Sharon. Ale i w jego spojrzeniu dziewczyna dostrzegła wahanie i niedowierzenie. Poza tym William cenił raczej jej urodę. Widocznie miał słabość do ładnych kobiet, skoro pozbył się Margareth i zatrudnił Lindę, myślała z żalem Sharon.

Napotkała też wzrok Gordona, który pojawiał się w kościele bardziej dla świętego spokoju niż z potrzeby serca. Przyglądał jej się uważnie i długo, po czym skierował wzrok na Lindę. Obserwował zachowanie obu dziewcząt. Chłodno i bez emocji.

Ciekawe, co też on sobie myśli? zastanawiała się Sharon. Pocieszała ją świadomość, że Gordon zawsze był wyjątkowo sprawiedliwy w swoich ocenach. Nie daje się zwieść zewnętrznemu urokowi, niewinnej buzi czy zdolnościom. Może popełnić błąd, ale wydając wyrok zrobi wszystko, by był jak najbardziej obiektywny. Nie tak jak Peter, którego łatwo omamić.

Gdy po nabożeństwie wszyscy wierni opuścili kościół, Sharon podeszła do kapłana.

- Sharon, moje dziecko. Słyszę, że znowu popadłaś w niełaskę. Wczoraj była tu ta Linda Moore. Muszę przyznać, że miła z niej dziewczyna. Była u komunii i modliła się za ciebie.

A więc aż tak daleko się posunęła! Sharon poczuła, że wszystko się w niej burzy z nienawiści. Zatem wszyscy przeszli już na stronę Lindy, nawet pastor...

- Cóż, nie chciałabym podejmować tego tematu. Chodzi o Margareth. Musi wracać do Anglii najbliższym kursem.

Duchowny Warden zdumiał się niezmiernie.

- Jak to? Przecież Margareth zajmuje się chorymi?

- Nawet gdyby zatrzymała pracę, nic by to nie pomogło. Jej nazwisko wpisano już na listę, a to oznacza wyjazd. Żadna z nas nie może pozostać tu na dłużej, jeśli nie znajdzie towarzysza życia. A co do chorych, to właśnie opiekę nad nimi przejęła Linda.

Warden był tak poruszony, że aż przystanął.

- Ale dlaczego? Przecież nie było lepszej pielęgniarki od Margareth.

- Linda zdobędzie wszystko, co chce - odparła Sharon nie zważając na to, że jej głos brzmiał gorzko i wrogo.

- Margareth nie może stąd wyjechać! Myślałem, że... miałem nadzieję, że my...

- Że się pobierzecie? Ona też miała taką nadzieję, choć nigdy nie odważyłaby się o tym wspomnieć. Niech pastor poprosi ją o rękę, ona na to czeka,

- Ale tak nie można! Znamy się niecałe trzy miesiące! Muszę mieć więcej czasu...

Sharon zebrała się w sobie i rzekła:

- Pastorze, proszę pomyśleć chwilę: każdego dnia błogosławi pastor parom, które znają się jeszcze krócej! Czy wtedy nie ma pastor wyrzutów sumienia, czy wtedy można? Dlaczego pastor tak postępuje, jakby był lepszy od innych? Gdzie pastora skromność?

Warden zamrugnął nerwowo.

- Sharon, co ty mówisz? Ja... A może ty rzeczywiście masz rację? Nie raz mówiłem, że to nie powinno odbywać się w ten sposób. Błogosławiłem parom, o których wiedziałem, że nie będą razem szczęśliwe. I przymykałem na to oko. Tylko dlatego, że nie chcieliśmy zgodzić się na rozwiążność. Ale z Margareth byłbym chyba szczęśliwy...

- I ja tak myślę - dodała ciepło Sharon i w tej chwili już nie pamiętała o nienawiści, jaką żywiła do Lindy. - Tylko że trzeba się pośpieszyć. Niech ona nie cierpi dłużej.

Warden wstał i wyprostował się. W jego oczach pojawił się nowy blask.

- A kto nam udzieli ślubu?

- Może Gordon? To on zarządza całą wyspą.

- O, nie. Gordon się nie nadaje.

- Przecież uczęszcza na niedzielną mszę?

- Owszem, ale bez przekonania. Gordon nie ma dość wiary.

- To może kapitan statku?

- Kapitan, owszem. Zatem, Sharon, czy możesz być moim świadkiem?

Sharon nie spodziewała się takiej propozycji i szczerze się wzruszyła.

- Bardzo chętnie. Dziękuję za zaufanie. Ale potrzebujemy jeszcze jednego świadka.

- Peter?

- Nie - odparła Sharon bez wahania. - Wolę już niewrażliwego Gordona.

- Niech ci będzie. Dziękuję, Sharon. Tym samym zrobiłaś jeszcze jeden dobry uczynek dla twoich bliskich.

Uczuciowy chaos sprawił, że Sharon całkiem zapomniała o zamku i wiążących się z nim tajemnicach. Przedtem myślała o nim w każdej wolnej chwili. Gdy wychodziła na spacer i kierowała wzrok w tę stronę, drżała na widok masywnych, ponurych ruin.

W dniu, w którym Margareth po ślubie z pastorem Wardenem, radosna i szczęśliwa, przeprowadziła się do niego, Sharon udała się przed snem na krótki spacer. Nikt na szczęście nie dowiedział się o rozmowie, jaką kilka dni wcześniej przeprowadziła na osobności z duchownym. I pastor Warden, i Sharon byli zdania, że nie należy o niej nikomu wspominać.

Nieoczekiwanie wiatr przybrał na sile, wprawiając w drżenie okienne ramy i drewniane framugi. Mimo to powietrze było bardzo przejrzyste.

Sharon wracała pamięcią do poprzedniej niespokojnej nocy, kiedy to również silne podmuchy wiatru wywoływały na strychu skrzypienie i inne niemiłe szmery. Sharon leżała czujnie, nasłuchując, czy to tylko wiatr, czy może ktoś obcy skrada się na górze. Nigdy nie lubiła tego dużego pomieszczenia nad swoim pokojem, ale nie miała odwagi wstać i sprawdzić, co też ono kryje.

Rozejrzała się dookoła. Wyraźnie nadchodziła jesień, bo zmrok zapadał już dużo wcześniej, a drzewa powoli traciły liście.

Zatrzymała się na niewielkim wzgórzu, skąd roztaczał się widok na nowo wznoszone zabudowania. Tu chciałaby mieć własny dom. Tylko co jej po marzeniach, które i tak nigdy się nie spełnią? Niedługo będzie musiała wracać do Anglii, Peter już jest nie dla niej, wybrał inną.

Zamyślona odwróciła się, by wracać, i zamarła, a serce podskoczyło jej do gardła. Wprawdzie z oddali, lecz bardzo wyraźnie rysowała się sylwetka zamkowej wieży. Wyglądała teraz niczym złowroźny cień padający na wyspę. Ale w tej chwili coś wyraźnie oświetlało ją od wewnątrz delikatnym, zielonkawym światłem. Światło żyło, unosząc się i opadając na przemian, potem znikało na moment i zaraz znowu się zapalało. Przypominało zorzę polarną, ale wydawało się bardziej mistyczne i złowieszcze.

ROZDZIAŁ XI

Sharon stała jak zahipnotyzowana. Nie była w stanie ruszyć się z miejsca, krzyżeć, uciekać, wzywać pomocy.

Zaraz potem ujrzała jakąś postać zmierzającą dokładnie w jej kierunku. W pierwszej chwili pomyślała, że to sam diabeł, ale nagle postać odezwała się znajomym głosem. Był to Gordon.

- Ach, więc i ty zauważyłaś migające światełko na zamku?

- Tak. Co to takiego?

- Nie widziałaś go wcześniej? Ruiny rozświetlają się czasem, ale nie umiemy tego wyjaśnić.

- Co za przerażający blask, Gordonie...

Sharon zapragnęła nagle wziąć Gordona za rękę, jak dziecko, które przytula się do dorosłego, gdy się czegoś przestraszy. Ale on na pewno by ją wyśmiał.

- Nie raz już chciałem to zbadać - powiedział spokojnie Gordon.

Sharon, pokonując strach, zaproponowała:

- Więc zróbmy to teraz!

Gordon przyjrzał się jej uważnie.

- Teraz? A nie boisz się?

- Boję się - przyznała cicho. - Ale jeśli ty pójdziesz, pójde z tobą.

Na te słowa Gordon roześmiał się szczerze.

- Oj, Sharon, Sharon! Chyba zawsze pozostaniesz dla mnie zagadką! Zapada już zmrok, więc nie ma sensu tam iść. Powinniśmy zbadać i zamek, i miejsce w lesie, w którym spotkałaś tę dziwną postać. Ale to należałoby zrobić za dnia, a wtedy ja nigdy nie mam czasu.

- Czy nie sądzisz, że jest to na tyle ważne, że warto byłoby poświęcić temu zjawisku kilka godzin?

- Owszem, ale... Nie wiem, a może wyrwałbym się jakoś jutro z rana?

- No właśnie. Ja też chętnie bym poszła.

- Chętnie? Do zamku? Zabawne. No, wracajmy.

Sharon podążyła za Gordonem, szczęśliwa, że ktoś jej towarzyszy. Przypomniała sobie, co mówił jej pastor Warden w dniu swojego ślubu: „Wiesz, Sharon, uważam, że Gordon od pewnego czasu bardzo się zmienił i złagodniał. Wszyscy jesteśmy zdania, że to twoja zasługa. Nie myśl oczywiście, że on żywi dla ciebie jakieś szczególne uczucia, to

sprzeczne z jego naturą. Ale nie ulega wątpliwości, że ogólna atmosfera stała się dużo przyjemniejsza”.

Sharon zerkała ukradkiem na ogorzałą, wyrazistą twarz Gordona. Jej wprawdzie Gordon wciąż wydawał się wymagający i chłodny, ale jednak zdołała zauważyć, że nie jest już taki wybuchowy i agresywny. Może nadejdzie kiedyś dzień, gdy zostaną naprawdę dobrymi i serdecznymi przyjaciółmi?

- Aha, prawda, jutro rano nie mogę. Chciałam prosić cię o kilka godzin wolnego.

- Po co?

- Jutro - zaczęła uradowana - mam złożyć pierwszą wizytę Margareth w jej nowym domu. Nikt przedtem nie zapraszał mnie do siebie na herbatę.

- W czasie pracy?

- Noo, nie. Jeśli nie można, w takim razie pójdę innym razem - powiedziała z żalem Sharon.

Gordon milczał dłuższą chwilę.

- Czujesz się tu bardzo osamotniona? - zapytał w końcu.

- Nie, skądże! Da się jakoś z tym żyć - odparła wymijająco.

- Nie jestem tego pewien. Pamiętam, co działo się wczoraj w kościele.

Wspomnienie było tak przykre, że Sharon musiała przyznać:

- Rzeczywiście. Wczoraj było mi okropnie smutno. Wydawało mi się, że dłużej tego nie zniosę.

- Bzdury! Trzeba się na to uodpornić.

Kiedy nie odpowiadała, dodał:

- Myślę, że jakoś poradzimy sobie bez ciebie tych kilka godzin.

- Och, Gordon, dziękuję!

Zaśmiał się.

- Cieszysz się tak, jakbyś dostała gwiazdkę z nieba!

Mijali teraz w milczeniu baraki. No tak, z tej przyjaźni chyba nic nie będzie, pomyślała Sharon. On wcale nie ma na to ochoty. Ale cóż mi szkodzi z nim porozmawiać?

- Wiesz, Gordonie, nie mogę zrozumieć, w jaki sposób dokonywane są te kradzieże w kopalni?

No tak, teraz okaże zainteresowanie, pomyślała nieco rozbawiona Sharon.

- I ja tego nie odkryłem. Problem przedstawia się tak: każdy z górników po zakończeniu swojej szychty waży dokładnie tę ilość rudy, którą sam wydobył, i wpisuje do książki. Przy wadze kontrolują wszystko dwaj mężczyźni. Pod koniec dnia całe dzienne

wydobycie transportowane jest na górę i składane w magazynie na terenie kopalni. Jedna osoba nie zdołałaby otworzyć magazynu, gdyż używamy trzech różnych kluczy. Jeden z nich mam ja. Magazyn jest dodatkowo strzeżony dzień i noc. Kiedy przy pływa statek, cały zapas przewożony jest na nabrzeże i ponownie ważony.

- I tu ilość się nie zgadza.

- Tak. Tu brakuje rudy.

- Czy są to duże różnice?

- Wiele ton! Zupełnie tego nie pojmuję.

- A czy robotnicy nie wynoszą czasem po trochu w kieszeniach?

- Nie, bo po wyjściu z windy także są kontrolowani.

- A jakie mają przeznaczenie te stare magazyny przy porcie?

Oczy Gordona zabłysły w ciemności.

- Kiedyś przechowywano w nich chalkopiryt. Ale od czasu, gdy zdarzają się przypadki kradzieży, już z nich nie korzystamy.

- Zaglądałeś tam ostatnio?

- Oczywiście. W większości są puste. Jeden z nich wykorzystuje sklepikarz na swój magazyn. Przeszukaliśmy chyba wszystkie możliwe miejsca. Bez rezultatu. Nie ma możliwości, żeby ta ruda opuściła wyspę, a tu jej nigdzie nie ma!

- Może ktoś się pomylił przy ważeniu?

- Tyle razy? Nie, to zupełnie niemożliwe.

Przez chwilę szli bez słowa, a potem Gordon spytał:

- Wracając do twojej osoby, kiedy masz zamiar wyjść za mąż? Widziałem na liście twoje nazwisko.

- Niestety, nic z tego nie będzie - odpowiedziała Sharon ledwo słyszalnym szeptem.

Gordon przyglądał się jej badawczo.

- Czy to Peter? - zapytał.

Sharon pokiwała głową.

- Może to i dobrze - rzekł spokojnie. - On jest zbyt lekkomyślny, by się tobą zaopiekować. Poza tym wydaje mi się, że niepoważnie podchodzi do tych miłości. Podnieca go chyba samo tylko zdobywanie kobiet.

Gordon pewnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo te słowa dotknęły Sharon. Zawsze był i pozostanie nietaktowny.

- Czy przyjaźniliście się, zanim przybyliście tu, na wyspę?

- Peter pojawił się tu długo przede mną. Właściwie nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, co

najwyżej kolegami po fachu. Ja nie marnuję czasu na znajomości i przyjaźnie. Ludzie się zmieniają, najpierw są tacy, potem już ich nie poznajesz. Przyjaźń to niepotrzebne uczucie.

Sharon zamyśliła się,

- Tobie zawsze zależało na osiągnięciu wytyczonego celu, prawda, Gordonie? Najpierw przewyciężyłeś gorzkie wspomnienia z dzieciństwa. Potem pochłonęła cię kopalnia i zostałeś jej zarządcą. Teraz chcesz znaleźć złodzieja rudy. Czy nie korci cię, by odkryć tajemnicę zamku?

- Tak, tylko nie wszystko naraz.

- A jeśli te dwie sprawy mają ze sobą ścisły związek?

- Jak sobie to wyobrażasz?

- Przecież przeszukaliście całą wyspę. Jedynym nie zbadanym przez was miejscem jest zamek. Może tam ukryto brakujący zapas chalkopirytu?

Sharon zauważyła, że Gordon się uśmiechnął.

- Też się nad tym zastanawiałem. Ale nie ma sposobu, by niepostrzeżenie przetransportować tony rudy z terenu kopalni do zamku. W jaki sposób złodzieje pokonaliby choćby same schody, nie mówiąc już o tej diabelskiej postaci, która broni dostępu do ruin? Poza tym ruda nie może leżeć tu całą wieczność, muszą ją kiedyś wywieźć.

- No tak, to prawda - przyznała Sharon. - Gordon, czy mogę cię o coś prosić, skoro już jesteśmy na miejscu?

- O co takiego?

Wyjaśniła, że chodzi o nocne hałasy na strychu.

W budynku biura od razu poszli na piętro. Sharon nigdy przedtem tu nie była. Gordon zapalił lampę i podał ją Sharon. Pomieszczenie sprawiało ponure wrażenie. Gordon sprawdził dokładnie wszystkie futryny i po chwili stwierdził:

- Wszystko jasne! Musiał tu dostać się włamywacz. To okno jest naruszone.

Gordon dokładnie zamknął okno, a potem spytał Sharon:

- Byłaś kiedyś w magazynie minerałów?

- Nie, nigdy.

Gdy Gordon otwierał kolejne drzwi, Sharon przytrzymała lampę. Znaleźli się teraz w niewielkim pomieszczeniu, w którym stały szafy z półkami. Na półkach leżały przeróżnej wielkości i rodzaju kamienie, były uporządkowane i ponumerowane.

- Jak tu pięknie! - zawołała zachwycona Sharon.

- To są próbki minerałów - wyjaśnił i zaczął po kolei wskazywać: - Piryt, bizmutyn, malachit, azuryt, chalkozyn, granat. A spójrz na ten!

Wziął do ręki mieniący się w promieniach lampy okaz.

- To bardzo rzadki egzemplarz chalkopirytu, minerału, który codziennie wydobywamy.

Położył go na dłoni Sharon, a dziewczyna zaczęła mu się uważnie przyglądać.

Na podstawie wykutej ze zwykłego kwarcu umocowany był nieregularny, mosiężnożółty odłamek chalkopirytu o zachwycającym, diamentowym połysku. Nieregularne przełamany minerału zdobiła sieć cieniutkich rys kryształu górskiego, mieniących się w słabym świetle lampy naftowej.

- Prześliczny! - wyszeptała Sharon. - Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego!

Chciała zwrócić Gordonowi minerał, ale go nie przyjął.

- Zatrzymaj to. Nie wiem, co będzie z tobą dalej, jak potoczy się cała ta przykra sprawa z morderstwem. To, co zrobiłaś dla nas, jak bardzo pomogłaś mi w pracy, jest nieocenione. Niech będzie to podziękowanie za twój trud od mężczyzny, który nie potrafi wyrażać uczuć słowami.

Jego dłoń była ciepła i przyjemna.

- Dziękuję - powiedziała wzruszona Sharon, spoglądając Gordonowi prosto w oczy. - Potrafię docenić wartość takiego prezentu, bez względu na to, ile kosztuje.

- Nie kosztuje wiele - uśmiechnął się i cofnął rękę. - Ale to najpiękniejszy okaz, jaki kiedykolwiek znalazłem.

Po czym odwrócił się szybko i poszedł w kierunku drzwi.

- Mam nadzieję, że dziś będziesz spała spokojnie. Wszystkie okna posprawdzałem i zabezpieczyłem. Nie myśl o zamku, jego magiczna moc tutaj nie sięga.

Sharon nie było do śmiechu. Słowa Gordona miały wprowadzić ją uspokoić, ale brzmiały ponuro. Pożegnali się i Sharon wróciła do siebie pełna trosk.

Sharon przygotowała się starannie do wizyty u Margareth. Mozolnie upinała długie włosy w skomplikowany, stylowy kok. Suknia przeszła gruntowną reperację i prasowanie, gdyż zniszczyła się bardzo w czasie ostatniej wyprawy do lasu. Sharon uszyła sobie także małą torebkę z tego samego materiału, co sukienka, i włożyła do niej skromny prezencik dla Margareth.

Zanim wyszła, zajrzała jeszcze do biura. Sama przed sobą musiała przyznać, że chciała spotkać tam Petera. Niestety, w biurze siedział jedynie Gordon. Była trochę zawiedziona, ale zagadnęła:

- Czy wyglądam dostatecznie elegancko, by udać się z wizytą na plebanię?

Gordon podniósł głowę znad stołu i zmarszczył czoło.

- Sądziłem, że oszczędzisz mi tego typu pytań.

Skuliła się zawstydzona.

- Wybacz, ale naprawdę nie mam się kogo poradzić. Będę mijać wiele domów, a kobiety przesiadują w oknach i oceniają krytycznie każdego przechodzącego.

Rzeczywiście, Sharon była teraz jeszcze bardziej samotna, Williama natomiast unikała jak ognia. Andy ożenił się z Anną, Margareth miała swojego pastora, Peter przyjaźnił się z Lindą. Jej pozostał tylko Gordon, ale cóż to za pociecha? Powściągliwy, surowy i pozbawiony wrażliwości dyrektor kopalni nie był tym, kogo Sharon potrzebowałaby w trudnych chwilach.

Podniósł się z krzesła i rzekł:

- No dobrze, pokaż się.

Sharon okręciła się wolniutko. Twarz Gordona wydawała się zupełnie pozbawiona wyrazu, mimo że suknia Sharon ładnie podkreślała jej smukłą sylwetkę.

- Czy widać po niej, że była podarta? - zapytała ze strachem.

- Nie, nie widać.

Przyglądał się dalej jej drobnej postaci, ślicznemu profilowi, pięknie upiętym włosom.

- A co sądzisz o mojej fryzurze?

- Chyba w porządku, chociaż wolę, jak włosy nosisz rozpuszczone. Ale może być.

- Dziękuję ci. Teraz mogę już iść z wizytą. Niedługo wrócę.

Sharon nie spodziewała się nawet, jak szybko będzie z powrotem w domu. A Gordon wkrótce musiał zapomnieć, że tego dnia spieszył się do kopami.

Linda Moore sobie tylko znanymi sposobami dowiedziała się wcześniej, że Sharon wybiera się z wizytą na plebanię. Orientowała się też, kiedy dziewczyna będzie mijać baraki, gdzie zazwyczaj gromadziły się kobiety. Linda siedziała tam teraz w towarzystwie Doris i kilkunastu jej koleżanek. Wprawdzie owinęła sobie Petera wokół małego palca, ale to była zaledwie połowa sukcesu. Nie mogła znieść myśli, że Gordon tak bardzo ceni doświadczenie i pracowitość Sharon. Czas zrobić z tym porządek! Zniszczyć Sharon - to był jej główny cel. Linda pocieszała się, że nazwisko Sharon wciąż widnieje na liście. Mimo to obawiała się, że Gordon w jakiś sposób uzyska zgodę na pozostanie swej pracownicy na wyspie. Wciąż także musiała podsycać nienawiść otoczenia do Sharon, przypominając o popełnionym przez nią morderstwie i niemoralnym prowadzeniu się.

W Anglii Linda nie była już tak bezpieczna jak dawniej. Wprawdzie okoliczności

zbrodni zostały wyjaśnione, a Sharon uznano za zmarłą, jednak styl życia, jaki prowadziła Linda, mógł w przyszłości wzbudzić podejrzenia policji. Wtedy z pewnością powróciłaby sprawa zabójstwa.

Dlatego zbrodniarka zdecydowała się uciec na wyspę. Skradzione pieniądze rozplynęły się w okamgnieniu i teraz trzeba było szukać nowych źródeł dochodu. Spotkanie z Sharon i świadomość, jaką pozycję osiągnęła, zatruty Lindzie życie. Niebezpieczny był także Gordon Saint John, on potrafił myśleć i oceniać logicznie. Peter niczym nie różnił się od innych mężczyzn, bez wysiłku zawróciła mu w głowie. Gdyby tylko Linda mogła udowodnić Gordonowi, że ona sama jest zdolniejsza niż Sharon... Ale na to nie miała wielkiej nadziei.

Dlatego musiała sięgnąć do innej broni.

Siedziała teraz w jesiennym słońcu, gawędząc z kobietami o tym i owym. Sprytnie skierowała rozmowę na Sharon.

- Ta to ma szczęście - powiedziała na pozór obojętnie. - Na wyspie nie ma żadnej policji, a Saint Johna nie obchodzi praworządność. Gwiżdże na to, że wśród nas znajduje się morderczyni. Ona ciągle mnie prześladowuje i chce skrzywdzić. Nie wiem doprawdy, jak długo to wytrzymam.

Kobiety wyraziły swoje współczucie.

- Kiedyś ludzie sami wymierzali sprawiedliwość, nie czekając na wyroki. Takie zbrodniarki po prostu kamienowano - mówiła jakby do siebie Linda. - Wystarczyło zebrać się tam, gdzie taka mogła przechodzić, okrążyć i...

Linda z premedytacją zawiesiła głos akurat w tym momencie. Słuchające jej kobiety były z natury proste i bez trudu można było im zasugerować sposób postępowania. Spojrzała dyskretnie na drogę; Sharon właśnie się zbliżała. Poza tym na drodze było pusto. A zatem teraz albo nigdy!

- Tyle mi zawdzięcza - podjęła znowu Linda, tym razem ze łzami w oczach. - I tak mi za wszystko dziękuje! To zwyczajna czarownica!

- To prawda! - krzyknęła podniecona Doris. - Zasługuje na śmierć! Zawsze to mówiłam!

Linda kontynuowała rozpoczętą myśl:

- Wyjdziemy za mąż, urodzimy dzieci, ale jak uchronimy je przed tą bestią? A Saint John z pewnością zechce ją zatrzymać. Ciągłe powtarza, że stała się niezastąpiona.

- Przecież nie może zostać dłużej niż trzy miesiące! - zauważyła jedna z kobiet.

- Ha! Czy uważasz, że ona nie potrafi przekabacić tego czy innego nieszczęśnika? - spytała Doris. - Choćby mój Tom: zawsze staje w jej obronie!

Linda kuła żelazo póki gorące:

- Nawet widziałam, jak wczoraj flirtowali.

- Co? - wykrzyknęła na dobre rozwścieczona Doris. - Tego już za wiele! Ruszajcie się, teraz nasza kolej!

- Nie, Doris, jeszcze was ktoś zobaczy! - Linda udała przerażenie.

- Żartujesz. Tu, o tej porze? Chodźcie, czas, żebyśmy wreszcie zrobiły coś dla Lindy, dla nas i naszych dzieci!

Świetnie, myślała uradowana Linda. Ja nie zamierzam się wtrącać, niech inne później odpowiadają za to, co się stanie. Ja nie mam z tym nic wspólnego!

Niektóre kobiety wahały się, ale to tylko wzmacniało nienawiść innych i wkrótce już wszystkie stały gotowe do zaczepki.

- Oszałałyście! - Linda nadal doskonale odgrywała swoją rolę, udając zatrwożoną. - Wystarczy ją trochę nastraszyć. Niech stąd wyjedzie!

- Pewnie, tylko trochę ją nastraszymy!

Sharon ujrzała kobiety z daleka. Od razu wyczuła, że coś się święci. Zatrzymała się na moment, po czym ruszyła z sercem w gardle. Zauważyła, jak Linda zaczyna się niepostrzeżenie wycofywać.

- Stój! - krzyknęła groźnie Doris do Sharon. - Dla kogo się tym razem wystroiłaś?

- Idę z wizytą do Margareth - dziewczyna z trudem opanowała drżenie głosu.

- Ach, tak, już sobie ostrzysz pazury na pastora? Co za bezczelność!

Kobiety powoli zaczęły zacieśniać krąg wokół Sharon.

- Mam ci powiedzieć, jak traktowano kiedyś takie łachudry jak ty? Chcesz się przekonać, co myślimy o morderczynie, która oskarża naszą przyjaciółkę? Poczekaj no, a zaraz zobaczysz!

Doris schyliła się i podniosła z ziemi niewielki kamień. Zanim Sharon zrozumiała, na co się zanosí, zaświszczało jej koło ucha. W następnej sekundzie inny kamień trafił Sharon w plecy. Odwróciła się i wtedy poczuła palący ból nad uchem.

- Na pomoc! Co robicie? - krzyczała przerażona.

Próbowała uciekać, ale pierścień wokół niej jeszcze bardziej się zacieśnił.

Linda stała kilkadziesiąt metrów dalej, za drzewami, i obserwowała całe zajście z jadowitym uśmiechem na ustach. Widziała dobrze, że kobiety są coraz bardziej rozwścieczone i groźne. Sharon opadła na kolana...

Nagle Linda zmartwiała.

Od strony zabudowań ktoś się zbliżał! Był to sam Gordon Saint John. Jakim sposobem znalazł się tu o tej porze? Od dawna powinien być w kopalni!

Linda zagryzła zęby. Co robić? Była tak blisko osiągnięcia celu...

Nagle puściła się pędem w jego kierunku i padła mu prosto w ramiona.

- Rzucają w nią kamieniami! - krzyknęła z udawaną rozpaczą. - Zabij ją, zabij ją! Nie chcę, żeby jej się coś stało!

Gordon wyrwał się Lindzie.

- O czym ty mówisz? Co? W kogo rzucają? Mój Boże, to może być tylko Sharon!

- Biegłam co siłą, żeby pana sprowadzić! - mówiła zdyszana. - Chciałam je zatrzymać, ale...

Mówiła na darmo. Po Gordonie już nie było śladu.

Sharon starała się zakryć głowę, potem, zszokowana, powoli osunęła się na kolana. Kamienie świszczały jej nad głową i uderzały boleśnie. Czuła, że między palcami spływa jej po twarzy krew. Zaczęła się modlić, z minuty na minutę słabła coraz bardziej.

Straciła już całą nadzieję, gdy nagle napastniczki się rozproszyły. Sharon usłyszała jak przez mgłę głos, który wydał się jej znajomy, ale nie była pewna, do kogo należy. Mówiący był nieopisanie wzburzony.

Zapadła grobowa cisza. Dopiero po dłuższej chwili któraś z kobiet odezwała się niepewnie:

- Chciałyśmy ją tylko nastraszyć...

- Nastraszyć?! - wrzasnął z wściekłością Gordon.

- Ona jest morderczynią! - dodała Doris.

- A kimże wy jesteście? Macie się teraz za coś lepszego? Przyjrzyj się dobrze temu kamieniowi, który trzymasz w dłoni! Co by się stało, gdyby trafił celu?

Doris upuściła kamień na ziemię, tak jakby nagle ją sparzył.

- Zasługuje na to - odparła inna. - Nie jesteśmy bezpieczne, dopóki ona tu przebywa.

Gordon przyklęknął koło Sharon i delikatnie ją podniósł.

- Co ona wam takiego zrobiła? Czy była dla was choć raz niemiła?

Znowu przez moment panowała cisza, w końcu odpowiedziała Doris:

- Zrzuciła całą winę na Boga ducha winną Lindę.

- O tym, kto jest czemu winien, nie wy będziecie decydować - odparł ostro Gordon i podniósł ranną z ziemi. - Bądźcie pewne jednego: za to, co zrobiliście, zostaniecie surowo ukarane.

Teraz już żadna z kobiet nie śmiała się odezwać.

Gordon poniósł Sharon w kierunku szpitalika. Po kilku minutach dziewczyna zaczęła dochodzić do siebie. Zrzuciła Gordonowi ręce na szyję, wtuliła się w niego i gorzko zapłakała. W pewnym momencie szepnęła przez łzy:

- Moja torebka, zgubiłam torebkę...

- Nie martw się, znajdziemy ją potem - uspokajał Gordon.

Patrzył na posklejane i zakrwawione włosy, które Sharon jeszcze niedawno tak starannie upinała, na popuchnięte wargi i zniszczoną sukienkę, którą mozolnie zszywała i prasowała. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że jest kompletnie bezradny. Gdyby mógł, ukręciłby zaraz głowy wszystkim kobietom, które tak ją skrzywdziły.

- Tak dalej być nie może - powiedział zgnębiony. - Muszę tu wreszcie zaprowadzić porządek.

Sharon nie przestawała szlochać.

- Nie przypuszczałem, że potrafisz płakać - dodał. - Wypłaczesz się teraz za wszystkie czasy. Nie żałuj sobie, to ci przyniesie ulgę.

- Och, Gordon, dlaczego one mnie tak nienawidzą? - zapytała i zaraz dodała: - Tobie jest na pewno ciężko. Mogę już chyba iść sama.

- Nie ma mowy, zaraz będziemy u doktora.

- Nie, proszę! Ja nie chcę. Zanieś mnie do domu. Nie zniosę, by William się mną zajmował! - krzyknęła przestraszona.

- Ale on powinien cię obejrzeć.

- Naprawdę nic mi nie jest.

- A jak twoje żebra?

- Moje żebra sam możesz obejrzeć. Tobie nie robi to różnicy. Poza tym Margareth mnie oczekuje.

Gordon uśmiechnął się pod nosem.

- Powiadomię Margareth, co się stało. O, widzę jakąś dziewczynę, pošlę ją z wiadomością.

Gordon wytłumaczył dziewczynie, co ma powiedzieć na plebanii.

Wreszcie Sharon znalazła się w swoim pokoju. Gordon przyniósł miskę z ciepłą wodą i zaczął przemywać pokaleczoną twarz i szyję dziewczyny. Sharon wciąż nie potrafiła powstrzymać łez, płynęły i płynęły bez końca.

Nagle do pokoju wpadła Linda.

- Gordonie, czy mogłabym panu w czymś pomóc?

Sposób, w jaki wypowiedziała jego imię, doprowadził Sharon do wściekłości. Uniósł się na łokciu i zawołała:

- Wyjdź stąd! Wynoś się z mojego pokoju!

- Ależ Sharon! To właśnie Linda biegła, żeby mnie sprowadzić na pomoc!

- To nieprawda, ona kłamie! - krzyczała Sharon. - Nie chcę jej tu widzieć!

Linda uśmiechnęła się porozumiewawczo do Gordona, wyrażając tym samym pobłażanie dla humorów Sharon. Rozejrzała się ciekawie po pokoju i zawołała:

- Och, jaki piękny kamień!

Na te słowa Sharon zerwała się, w okamgnieniu chwyciła minerał, który dostała od Gordona, i przycisnęła go mocno do piersi.

- Tego mi nie odbierzesz! Zabrałaś mi wszystko: życie, godność, Petera! To prezent od Gordona! Niech tylko spróbuje dać ci podobny!

- Nie ma podobnego w moich zbiorach, więc się opanuj. A ty, Lindo, idź już. Sharon jest zdenerwowana, przeżyła wielki szok, więc trzeba wybaczyć jej takie zachowanie. Dziękujemy ci za pomoc.

- Mogłabym zastąpić Sharon w biurze choćby dzisiaj. Zajmowałam się już pracą tego rodzaju.

Ciekawe gdzie? pomyślała Sharon, ale nie miała już siły protestować. Załamała się kompletnie. Bierz moją pracę, bierz wszystko, możesz nawet zabrać jego samego. Może wtedy trafią mi się resztki Petera...

Stało się według słów Lindy: jeszcze tego samego dnia zasiadła w biurze na miejscu Sharon. Sharon pozostała w łóżku i nie słyszała wszystkich rozmów, które toczyły się w pokoju obok. Od czasu do czasu do jej uszu docierał chichot Petera, bezradny głosik Lindy i coraz bardziej zniecierpliwiony głos Gordona. Gordon śpieszył się najwyraźniej do kopalni, ale Linda ciągle go zatrzymywała, prosząc o kolejne wyjaśnienia w kwestiach, które jej wydawały się skomplikowane. Peter dotrzymywał Lindzie towarzystwa z własnej woli.

W końcu Gordon zaczął wypytywać Lindę o morderstwo.

Sharon skuliła się w sobie, słysząc wersję wydarzeń z ust Lindy, udającej niewiniątko. Najbardziej dotknęło ją to, co Linda opowiadała o jej rzekomo rozwiązłym życiu, i komentarz Petera:

- No tak, tak przypuszczałem. Z powodu małego flirtu nie miałbym żadnych wyrzutów sumienia.

Sharon chciała zapłakać, ale brakło jej już łez.

W końcu jednak wzięła się w garść. Nie mogę się tak mazać, pomyślała. Wyobraziła sobie Petera siedzącego dumnie w fotelu z wypiętą piersią, udekorowaną wielkim medalem za zasługi w podboju dam.

Po raz pierwszy tego dnia Sharon uśmiechnęła się do siebie. To pomogło i przyniosło wyraźną ulgę.

Niemalże w tej samej chwili do biura wszedł mężczyzna i poprosił, by Peter udał się do kopalni. Gordon chciał pójść razem z nim, ale zatrzymał go szczebiot Lindy.

- Och, Gordonie, czy przed wyjściem mógłby mi pan coś wyjaśnić? To wyliczenie wydaje mi się takie skomplikowane!

- Które wyliczenie?

- Tu, na dole strony...

- Niech no zerknę... Posuńże się trochę, bo nie widzę!

Oho! pomyślała Sharon. Już do tego doszło? No tak, gdzieżby Linda przepuściła taką okazję!

- Przecież to całkiem proste! - stwierdził poirytowany Gordon. - Jeśli tego nie rozumiesz, to nie masz po co zajmować się rachunkami. Sharon jest dużo bardziej...

- Ach, już mi się przypomniało - powiedziała szybko Linda. - Dziękuję za pomoc.

- Przecież nic ci nie wyjaśniłem.

- Wie pan co? Peter to taki miły chłopak - Linda momentalnie zmieniła temat.

- Co? Peter? Ach, tak. Owszem.

- Chce się ze mną ożenić. Ale ja nie jego kocham.

Coś takiego! Sharon z rosnącą uwagą przysłuchiwała się zwierzeniom Lindy.

- Dlaczego więc ciągle z nim przebywasz? Czy nie wodzisz go czasem za nos?

- Nie. Po prostu nigdy nie dostanę tego, którego kocham, gdyż on gardzi kobietami.

Sharon była coraz bardziej rozbawiona.

- Jeśli twój obiekt westchnień znajduje się na wyspie, to za wcześnie chyba, by mówić o miłości? Jesteś tu przecież od niedawna - głos Gordona był bardzo oschły. - Trzymasz więc Petera przy sobie na wszelki wypadek?

Sharon widziała w wyobraźni Lindę. Z pewnością jej usta wykrzywają się właśnie w podkówkę.

- Dlaczego jest pan dla mnie taki okrutny, Gordonie? Czy pan nic nie rozumie?

- A co mam rozumieć? - zapytał zniecierpliwiony. - Jeśli nie masz innych spraw, to pozwól, że pójdę wreszcie do kopalni. I nie zawracaj mi już głowy twoimi wydumanyimi historiami miłosnymi.

Cały Gordon! Są jednak sytuacje w życiu, kiedy jego obcesowość i gruboskórność na coś się przydadzą! Sharon zacierała ręce z zadowolenia. Linda zupełnie nie potrafiła wyczuć Gordona i stosowała wobec niego jak najgorszą taktykę.

Nagle zaniepokoiła się nie na żarty. Jeśli Gordon wyszedł do kopalni, w biurze została jedynie Linda...

Sharon nie miała odwagi zawołać Gordona i prosić go o pomoc. I tak był dostatecznie poirytowany rozmową z Lindą.

Leżała z sercem w gardle, nasłuchując, co dzieje się obok. Mijały długie minuty...

Po chwili drzwi biura otworzono cicho i równie cicho przymknięto. Sharon słyszała zbliżające się do jej pokoju ostrożne kroki.

Zdrętwiała ze strachu. Na myśl o tym, że Linda może podjąć jeszcze jedną próbę pozbawienia jej życia, była bliska utraty zmysłów. Leżała tu przecież solidnie poturbowana i pewnie nikt by się specjalnie nie dziwił, gdyby teraz umarła...

Ale nagle, jak wybawienie, z głębi korytarza dały się słyszeć ciężkie męskie kroki i zaraz potem Sharon usłyszała głos Petera. Linda pospiesznie wróciła do biura. O czym oboje rozmawiali, tego już Sharon nie słyszała.

Dzień miał się ku końcowi.

Peter i Linda opuścili już razem biuro i w całym budynku zapadła głucha cisza.

Po upływie godziny lub dwóch do drzwi Sharon ktoś cicho zapukał.

- Sharon, śpisz? - rozległ się głos Gordona.

- Nie, wejdź, proszę.

Jego dzień pracy już się zakończył, ale Gordon nie zdążył jeszcze się przebrać; przyszedł w górniczym kombinezonie. Sharon zorientowała się, że ma jej coś ważnego do powiedzenia.

Zmęczony i zatroskany przysiadł na krawędzi łóżka.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Nie najgorzej, choć wciąż boli mnie głowa i pieką rany. Poza tym trochę mi tu samej smutno, więc się cieszę, że mnie odwiedziłeś.

- To był okropny dzień, dawno nie czułem się taki wykończony - zaśmiał się z przymusem. - Patrzę na ciebie i nie mogę uwierzyć, że to ty: całą twarz masz opuchniętą i poranioną. Siniak pod okiem zaczyna nabierać wrzosowego koloru. Czy coś już jadłaś?

- Nie jestem głodna. Chciałam cię natomiast przeprosić za moje historie przed południem. Po prostu nie mogę znieść obecności Lindy. Ona... nie, nie chcę o niej w ogóle

rozmawiać.

Nie odpowiedział. Siedział głęboko zamyślony i przyglądał się Sharon jakoś dziwnie.

- Czy coś się stało? - zapytała zaniepokojona.

- Dzisiejszy dzień był dla mnie koszmarem. Nie tylko z powodu napaści na ciebie. To, co potem musiałem znieść w biurze, kompletnie mnie rozstroiło. Ta głupia gęś jest nie do zniesienia! Dopiero teraz, gdy cię zabrakło przez kilka godzin, zdałem sobie sprawę, co dla nas znaczysz. W południe nie dostałem nawet... kawy. Wciąż myślałem o twojej przyszłości, a przecież tak rzadko poświęcam swą uwagę sprawom nie związanym z kopalnią. Dzisiaj ujrzałem cię w powrotnej drodze do Anglii, potem przed sądem, w końcu usłyszałem skazujący wyrok i...

Sharon czekała na dalszy ciąg zdania.

- Sharon, wiem, że jesteś rozsądną dziewczyną...

- Nie jestem tego pewna, choć staram się jak mogę. Ale o co ci chodzi?

- Gdybym ci coś zaproponował, czy umiałabyś spojrzeć na to moimi oczami?

- Nie wiem, ale mogę spróbować.

Gordon urwał i przyglądał się badawczo Sharon, która pod jego wzrokiem jak zwykle poczuła się niepewnie. Po raz kolejny też uznała, że Gordon ma coś pociągającego w twarzy, ale z oczu wyziera mu chłód i obojętność...

- Chciałbym, żebyśmy zawarli pewien układ.

- O czym ty mówisz, jaki układ?

Wypowiedzenie kolejnych słów przyszło mu z wyraźną trudnością. Nerwowo zagryzał wargi i dopiero po dłuższej chwili wykrztusił:

- Myślałem nad tym cały dzisiejszy dzień i nie znalazłem innego wyjścia: ty i ja musimy się pobrać.

ROZDZIAŁ XII

- Co takiego??? To niemożliwe! - krzyknęła zaskoczona Sharon. - Żartujesz sobie ze mnie!

- Mówię całkiem poważnie. Jeśli wyjedziesz stąd i wrócisz do Anglii, ja stracę niezastąpionego pracownika, a ty życie.

- Ale przecież my się nie Kochamy!

- Tym lepiej. Będziemy mogli traktować nasz układ bez zbędnych emocji.

Sharon kręciła z niedowierzaniem głową.

- To nie może być! Przecież tak bardzo się różnimy! Nawet nie umiemy razem pracować!

- Czyżby? - zdziwił się Gordon. - Uważam cię za jedyną rozsądną osobę na tej wyspie!

- Och, nie wiesz nawet, jak wiele mnie kosztuje wykonywanie twoich przeróżnych poleceń - powiedziała cicho Sharon. - A poza tym jak można porównywać pracę z małżeństwem?

- Jeśli się zgodzisz, zabiorę cię do siebie. Zapewnię ci oddzielny pokój i nigdy nie zakłócę ci spokoju.

W tej chwili Sharon stanął przed oczami mężczyzna jej snów: młody, przystojny, wysoki blondyn o wesołych oczach i gorącym sercu. Zaśmiała się gorzko do tych myśli. Nie znalazłby się nikt, kto mniej niż Gordon przypominałby jej księcia z marzeń.

- Poza tym nie będziemy musieli martwić się o potomstwo. Wspominałem już o tym, że nie chcę mieć dzieci.

Sharon była bliska płaczu.

- A jeśli jedno z nas z czasem pożałuje tej decyzji? - zapytała cicho Sharon.

- To także wziąłem pod uwagę - odparł bez chwili namysłu.

- Ale ja wciąż jestem oskarżona o zabójstwo. Czy to ci nie przeszkadza?

- Posłuchaj mnie: zdecydowałem, że nie będę odgrzebywał przeszłości. Znam cię taką, jaką okazałaś się tu na wyspie, przedtem nie istniałaś dla mnie w ogóle. Uznaję to wydarzenie, jak i twój wcześniejszy swobodny styl bycia, jako niebyłe. Jeśli sprawa zabójstwa powróci w jakichkolwiek okolicznościach, wtedy się nią zajmiemy. Teraz nie będę tym sobie zaprzętał głowy. Oczywiście zachowasz prawo do miłości: jeśli kiedyś spotkasz mężczyznę, bez którego nie będziesz mogła żyć, obiecuję, że zwrócę ci wolność.

- Sądzisz, że uzyskasz rozwód jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

- Jakoś sobie z tym poradzimy. Ale najpierw i tak musimy uprzedzić pastora Wardena.

- Mam nadzieję, że w tym szczególnym związku oszczędzimy sobie romantycznych scen i uniesień?

- Ma się rozumieć. Poza tym upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu: nie będę się już musiał opędzać od natrętnych panien.

Miał na myśli Lindę! Te słowa podniosły Sharon odrobinę na duchu i nastawiły serdeczniej do Gordona. Sharon nadal nie potrafiła pozbyć się nienawiści dla Lindy.

- No, słonko, co o tym sądzisz?

Gordon na pewno nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo ten ciepły zwrot Sharon rozczulał. Zwłaszcza w takiej chwili.

Wzięła głęboki oddech. Och, Peter, myślała z żalem. Dlaczego odszedłeś? Czy kiedyś przestanę za tobą tęsknić i wspominać twoje pocałunki? Dlaczego wybrałeś właśnie Lindę, raniąc mnie tym boleśniej?

- No dobrze, Gordonie, niech tak będzie. Może jakoś sobie poradzimy. Dziękuję w każdym razie za to, że zechciałeś mi pomóc.

Gordon odetchnął z wyraźną ulgą.

- Czy byłabyś w stanie pójść do kościoła jeszcze dziś wieczorem? - zapytał ostrożnie.

- Lepiej mieć to za sobą. A nuż się któreś z nas rozmyśli?

- Dzisiaj naprawdę nie dam rady, wciąż szumi mi w głowie. Poza tym zaskoczyłeś mnie tą niespodziewaną propozycją. Jeśli nie przetrwa nocy, nie ma mowy o małżeństwie.

- Zgoda. Ja tymczasem rozejrzę się za świadkami. Przypuszczam, że nie może być mowy o Peterze ani Lindzie?

- Niech Bóg broni! - obruszyła się Sharon.

- I ja ich sobie nie życzę. Widzimy się zatem jutro. Spij spokojnie.

- Gordon, tylko że dzisiaj zniszczyłam moją jedyną przyzwoitą suknię...

Gordon skrzywił się z niesmakiem.

- Czy ty musisz przywiązywać wagę do takich drobiazgów? Włóż na siebie cokolwiek. Mnie to nie robi różnicy!

I odszedł, a Sharon pozostała sam na sam ze swoimi myślami. Było jej trochę przykro, że tak wiele spraw Gordon uważał za nieistotne. Choćby jej wyobrażenia o małżeństwie...

Pastor słysząc, że Sharon i Gordon zamierzają się pobrać, wykrzyknął zdesperowany.

- Nie! Mam na sumieniu niejedno nieudane małżeństwo, ale udzielenia ślubu właśnie

wam stanowczo odmawiam! Gordonie, czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że zniszczysz tę delikatną i miłą dziewczynę?

Sharon powiedziała łagodnie:

- Drogi pastarze, jeśli Gordon nie ożeni się ze mną, umrę na gilotynie.

Warden kręcił głową z powątpiewaniem.

- Sharon, to się dla ciebie skończy katastrofą!

- Będę starał się ją chronić. Taki napad jak dzisiejszy, już się nie powtórzy - zapewnił krótko Gordon. - Poza tym władze angielskie prędzej czy później zaczną jej szukać. Moje nazwisko zapewni jej bezpieczeństwo.

- To kłóci się z wszelkimi chrześcijańskimi zasadami - rzekł załamany duchowny. - Kto widział zawierać małżeństwo na takich warunkach?

- Pastarze, zdarza ci się przecież udzielać sakramentów w wielkiej potrzebie, potraktuj naszą sytuację tak samo! Przecież ty także ratujesz życie Sharon.

- Och, co ty wygadujesz - złościł się Warden. - Ale niech wam będzie. Bierzmy się do dzieła. Tylko żebyście potem nie mieli do mnie żalu.

Na świadków poproszono Margareth i jednego ze współpracowników Gordona.

- Sharon, czy ty na pewno wiesz, co robisz? - pytała ze łzami w oczach Margareth. - Przecież podobał ci się Peter.

- Gordon, pytam cię po raz ostatni.... - głos Wardena drżał lekko.

- Nie mam innego wyjścia - rzekł Gordon. - Dzięki Sharon zaoszczędziłem mnóstwo czasu, który mogłem poświęcić sprawom kopalni. Nie chcę pozwolić, by odjechała.

- Sharon, przecież ty jesteś mądrą kobietą? - błagał pastor.

- Mogę wybierać pomiędzy Gordonem i gilotyną. Decyduję się na mniejsze zło.

Sharon wypowiedziała te słowa ze świadomością, że zrani Gordona. Nie mogła jednak powstrzymać się od takiej uwagi po wyjaśnieniach, których udzielił pastrowi. Zaskoczony Gordon spojrział na swoją przyszłą żonę ze zdziwieniem, ale nic nie powiedział.

- To okropne! - wołał Warden. - Traktuję was jak przyjaciół, ale nie znam pary, która by mniej do siebie pasowała!

W końcu rozpoczęła się ceremonia zaślubin. Sharon klęczała obok Gordona, lecz czuła się ogromnie samotna. Peter... Jak mogło do tego dojść? To on miał być teraz przy niej na miejscu Gordona....

Ledwie docierały do niej słowa wypowiedane przez narzeczonego:

- ... i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską i że cię nie opuszczę aż do śmierci

Pastor wzdychał co chwila, zaś Gordon krzywił się wyraźnie zniecierpliwiony.

Wreszcie uroczystość dobiegła końca. Przy wpisywaniu danych do księgi pojawiły się pewne problemy, bowiem żadne z małżonków nie znało ani imion rodziców, ani daty swoich urodzin. Gdy po raz siódmy Warden wpisywał: „nieznane”, pokręcił ze smutkiem głową. Następnie małżonkowie potwierdzili ważność zawartego ślubu, składając podpisy.

- Żegnaj, O'Brien - powiedziała Sharon, po raz ostatni używając swego „pożyczonego” nazwiska, które tak naprawdę nigdy do niej nie należało. - Pastorze, czy nie zasługujemy choćby na krótką weselną pieśń?

- Lepiej milcz! - uciął ostro Warden.

Świadek Gordona wyciągnął do swego zwierzchnika dłoń.

- Wszystkiego najlepszego.

- Tego nam trzeba - rzekł sucho Gordon.

- Ale, ale, teraz powinieneś pocałować żonę! - dodał świadek ze śmiechem.

Sharon poczuła, że się czerwieni i zaczyna lekko drzeć, lecz ku jej wielkiej uldze Gordon odparł:

- Sharon ma tak opuchniętą twarz, że dziś sobie to darujemy. A teraz nie mam już więcej czasu, kopalnia czeka.

Sharon patrzyła jeszcze przez chwilę za swoim mężem, gdy długimi krokami spieszył do pracy. Nikt by za nim nie nadążył. Wbrew temu co mówił, był odświętnie ubrany i prezentował się całkiem dobrze. Sharon westchnęła, zerkając na swoją codzienną sukienkę, przez którą przerzuciła skromny szal. Mąż nie zadbał nawet o najmniejszy bukiet.

A piękna suknia ślubna, o której całe życie marzyła? A welon? Zdaniem jej męża były to zbędne szczegóły. Zabrakło też wzajemnej miłości...

O nowinie nikogo postronnego jeszcze nie informowali, bo nie było na to czasu. Nawet Peter pozostawał w nieświadomości. Tego wieczoru zaledwie garstka osób wiedziała, że zarządca ożenił się z prześladowaną i wytykaną palcami Sharon.

Sharon miała tego dnia dużo pracy przy rachunkach, więc również nie zdążyła zastanowić się nad swoją nową sytuacją. Nie była pewna, czy prosić Gordona o pomoc przy przeprowadzce, najchętniej pozostałaby w dotychczas zajmowanym pokoju.

Głównym tematem rozmów wśród mieszkańców wyspy był oczywiście brutalny napad na Sharon. Najbardziej straciła na tym Linda, bo wiele osób szczerze współczuło Sharon i trzymało teraz jej stronę. Nikt jednak, poza ofiarą, nie wiedział, że to Linda sprowokowała całe zajście. Nawet Doris i koleżanki nie zdawały sobie sprawy, kto tak

naprawdę skłonił je do działania. Przecież Linda w ostatniej chwili protestowała...

Największe kłopoty miała Doris. Procesy na wyspie odbywały się rzadko, ale tym razem kilkanaście kobiet postawiono w stan oskarżenia. Teraz drżały o swoją skórę.

Zapadł wieczór. Sharon poczuła się zagubiona, nie wiedziała, czy powinna zostać u siebie, czy też przenieść się do Gordona, a może raczej czekać na znak od niego. W końcu usłyszała kroki męża na korytarzu i wyszła mu naprzeciw.

Gordon kiwnął na nią i zawołał do biura.

- Chodź, coś ci powiem.

- Co się stało? - zapytała z zaciekawiona.

- Zamek znowu się rozświetlił. Mam zamiar zaraz tam pójść. Wprawdzie najlepiej byłoby wybrać się za dnia, ale wtedy nigdy nie mam czasu. Chciałbym się z bliska przyjrzeć tej zielonkawej poświacie.

- Kto ma iść z tobą?

- Potrzeba mi kilku ochotników. Jeśli nikt się nie zgłosi, pójdę sam. Peter gdzieś zniknął, ale nie mam czasu ani ochoty go szukać.

W trakcie rozmowy Gordon zrzucił z siebie kombinezon i nalał wody do miski, by zmyć z twarzy najgorszy brud.

- Jeśli mogłabym się na coś przydać, pójdę z tobą.

Sharon miała nadzieję, że Gordon nie będzie zachwycony tym pomysłem, ale on odparł:

- Doskonale. Jeśli mam iść sam, ktoś musi przytrzymywać mi lampę. Poza tym znasz drogę i wiesz, co nas może spotkać. A teraz wyjdź, bo chcę się umyć.

Sharon pokornie opuściła pokój.

Chyba zapomniał, że jesteście małżeństwem. Bez chwili namysłu zabiera żonę na niebezpieczną wyprawę, i to w wieczór poślubny. Do tego wyprasza ją z pokoju, kiedy chce umyć szyję. Ładne z nich małżeństwo, nie ma co!

Sharon ubrała się grubo; wieczorem w pagórkowatym terenie mogło być chłodno. Żałowała teraz, że sama zaproponowała swój udział w wyprawie. Wprawdzie mogłaby się wycofać, ale co pomyślałby o niej Gordon?

- Nie wiem, co nas tam dzisiaj czeka. Ruiny są dla wszystkich zagadką. Pamiętaj, żebyś nie dała się ponieść fantazjom. Duchy nie istnieją.

- Dobrze. Wracając do spraw przyziemnych; nie bardzo wiedziałam, gdzie mam spać, więc czekałam na twoją decyzję.

- Co? Ach, tak. O tym rzeczywiście zupełnie zapomniałem. Ale przecież mogłaś się

przeprowadzić bez mojej pomocy?

- Kiedy ja nawet nie wiem, który pokój należy do ciebie, a który do Petera. Dopiero by się zdziwił, gdyby mnie ujrzał w swoim pokoju zagospodarowaną na dobre!

Gordon nie mógł pohamować śmiechu.

- Mieszkam po prawej stronie. Kuchnię mamy wspólną.

- To znaczy, że nie uniknę Petera na co dzień.... - zauważyła ze smutkiem w głosie Sharon.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytał. - Możemy ostatecznie prosić go, by trzymał się swojego pokoju.

- Nie, aż tak źle nie jest - powiedziała szybko Sharon. - Cieszę się natomiast, że mieszkasz od strony portu, bo tam jest dużo słońca, więc nie powiędną mi kwiaty.

- Wielkie nieba! - mruknął z dezaprobatą Gordon.

Sharon więcej się nie odezwała. Zaczęła się natomiast zastanawiać, dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, by Gordon był z niej zadowolony? Czemu zawsze pragnie wypaść w jego oczach jak najlepiej? Bez wątplenia to ona sama stawia sobie poprzeczkę tak wysoko. Czy jednak postępuje słusznie? Co będzie, gdy nie zdoła kiedyś spełnić oczekiwań Gordona? Czy on nie poczuje się wtedy zawiedziony i oszukany?

Szli teraz wzdłuż baraków, kierując się ku kopalni.

W pewnej chwili Sharon przystanęła i zapytała z nadzieją w głosie:

- Czy nie moglibyśmy tu na wzgórzu wybudować kiedyś domu?

Gordon na moment oniemiał.

- Domu? Czyżbyś aż tak poważnie podchodziła do tego małżeństwa? Chyba wystarczy, że wprowadzasz się do mojego mieszkania. Czy coś ci w nim nie odpowiada?

- Nie, wszystko w porządku - powiedziała zasmucona Sharon. - Przepraszam cię.

W pobliżu pojawili się Andy i Percy.

- Otrzymaliśmy wiadomość i oto jesteśmy.

- Andy, mało ci jeszcze kłopotów spowodowanych przez diabelski wzrok?

- Nic gorszego już mi się nie może przytrafić - roześmiał się Andy. - A mam wielką ochotę rozprawić się z tym diabłem raz na zawsze. Muszę mu odpłacić za to, co mi zrobił.

- Zgadzam się z Andym - rzekł oszczędny w słowach Percy.

Andy ucieszył się na widok Sharon.

- Widzę, że w naszej grupie przeważają weterani! A sam zarządca dziś pewnie przejdzie chrzest bojowy.

- Będziemy się mieli na baczności.

- Andy, a jak ma się mały Gordon? - zapytała zaciekawiona Sharon.

- Dziękuję, świetnie. Fajny chłopak. Kumple twierdzą, że jest nawet do mnie podobny!

- Anna miała szczęście - powiedziała cicho Sharon.

- No, no, Sharon. Miło, że tak mówisz, ale i ja je miałem.

Nagle od strony lasu pojawił się Peter. Sharon cieszyła się, że w zapadającym zmroku nikt nie dostrzeże jej zmieszania.

- Czy macie tu jakieś zebranie?

Gordon wyjaśnił, gdzie się wybierają. Sharon była rada, że nawet o duchach Gordon mówi spokojnym, pozbawionym emocji głosem. Działo to na nią kojąco.

- Zauważyłem dzisiaj to światło i nawet poszedłem w tym kierunku, ale zawróciłem - oznajmił Peter. - Przecież sam i tak nic nie wskóram.

- Może pójdziesz z nami? - spytał Gordon.

- Jasne, tylko że umówiłem się z Lindą. O, właśnie idzie. Może nam towarzyszyć.

Po tych słowach Gordon rozżościł się nie na żarty.

- Kobiet nie zabieramy.

- Nie? A Sharon? Czyżbyś się bał o Lindę? - Peter zbliżył się do Gordona rozdrażniony. - Trzymaj się lepiej od niej...

- Zamknij się, Peter, i nie kompromituj się. Linda mnie ani trochę nie interesuje. Sharon jest rozsądna i dobrze wie, czego się może spodziewać, a Linda wszystko zepsuje.

- Potrafię ją ochronić - odparł obrażony Peter i poszedł po Lindę.

Po chwili zjawili się, krocząc pod rękę.

- Wyjaśniłem jej, co trzeba. Idzie z nami

Tylko Sharon usłyszała niecenzuralny komentarz, który wymruczał pod nosem Gordon.

Sharon szybko zorientowała się w zamiarach Lindy. Gordon był dla tej intrygantki smakowitszym kąskiem niż Peter, więc Linda go dogoniła i szła z nim ramię w ramię.

- Ach, jakież to ekscytujące, choć nie mogę zaprzeczyć, że trochę się boję - szczebiotała kokieteryjnie.

- Nie zmuszamy nikogo, by szedł z nami - przypomniał sucho Gordon.

- Jestem ogromnie wdzięczna, że pozwolił mi pan wziąć udział w tej wyprawie. Och!

Linda potknęła się i niby przypadkiem wpadła prosto w ramiona Gordona.

- Ojej, bardzo przepraszam! - wykrzyknęła i spojrzała mu zalotnie w oczy.

Gordon przytrzymał ją, krzywiąc się z niesmakiem.

- Przede wszystkim wymagamy, żeby uczestnik wyprawy trzymał się pewnie na nogach. Sharon, coś zgubiłem. Poświeć mi, proszę, bliżej!

Do Lindy wreszcie dotarło, że Gordon woli kobiety myślące trzeźwo, więc szybko zmieniła taktykę.

- Może ja potrzymam lampę?

- Zostaw, to zadanie Sharon. Ale jeśli koniecznie chcesz się na coś przydać, pomóż Percy'emu.

Z miną cierpiętnicy Linda wzięła od Percy'ego zwój liny.

Przez chwilę szli w milczeniu, ale zaraz przerwał je Andy.

- Byłbym zapomniał! - zawołał. - Czy to prawda, że wzięliście dzisiaj ślub?

- Kto wziął ślub? - spytała ostro Linda.

- Sharon i Gordon. Mówiono o tym dziś w kopalni.

- Co takiego? - odezwał się oburzony Peter. - I ty wierzysz w te idiotyczne plotki?

- Ja też o tym słyszałem - dodał Percy.

- Śmieszne! - skomentowała Linda.

Wszyscy się zatrzymali.

- Owszem, to prawda - rzekł najspokojniej w świecie Gordon.

Lindzie z wrażenia zabrakło tchu.

Andy i Percy pogratulowali młodemu małżonkom.

- Dziękuję - powiedziała zawstydzona Sharon.

- A to dopiero! - dodał Peter.

- Sam zarządca! - Głos Lindy był słodki niczym miód. - Ależ sprytna z ciebie sztuka!

- Muszę i ja pogratulować sprytu - powiedział kwaśno Peter. - Nigdy bym nie przypuszczał, że Gordon da się złapać w taką pułapkę.

Gordon powoli tracił cierpliwość.

- Tak się składa, że to była moja propozycja, a Sharon długo nie chciała się zgodzić.

- Tak, tak - ciągnęła Linda z trudną do ukrycia wściekłością i goryczą. - Ależ ci mężczyźni są zaślepieni! No ale cóż, gratuluję, Gordonie. Czy przyjmie pan moje najszczersze uściski?

- Żadnych uścisków. Lepiej się pośpiesz, bo do rana nie wrócimy.

Las stał się gęściejszy, a droga wiodła teraz stromo pod górę. Gdy stanęli na szczycie, Andy zawołał poruszony:

- Spójrzcie, światło zniknęło!

Na kolejnym wzgórzu, wyraźne na tle nieba, wznosiły się budzące grozę kontury

zamkowych ruin.

- Co za pech! - zmartwił się Gordon. - No, ale skoro doszliśmy aż tutaj, chyba nie zawrócimy?

Linda pisnęła cicho, ale zaraz przypomniała sobie, iż powinna udawać dzielną wędrowniczkę, i zamilkła.

- Od tej chwili żeby mi się nikt nie odezwał! Starajcie się też iść bezszelestnie.

Teraz z kolei droga nieznacznie opadała. W dolinie pojawiły się stare, masywne drzewa o powykrzywianych gałęziach. Już z daleka Sharon dostrzegła między nimi schody znikające gdzieś wysoko. Na ten widok zadrżała. O tych schodach opowiadano niejednokrotnie przedziwne i straszne historie. Prowadziły stromo pod górę, z jednej strony opierając się o skalną ścianę, z drugiej zaś otwierając się na przepaść. Sharon usiłowała policzyć stopnie, na wypadek, gdyby byli zmuszeni pokonywać je po ciemku, ale na samym szczycie schody kryły się w bujnych zaroślach.

W miarę jak gęstniały ciemności, okolica stawała się coraz bardziej ponura. Mężczyźni zastanawiali się, co dalej robić.

Nagle Gordon ścisnął mocno ramię Sharon i szepnął:

- Na dół! Chować się! Po drugiej stronie ścieżki jest jama! Szybko, ktoś się zbliża!

Wszyscy bez wahania rzucili się do odwrotu i po chwili już byli ukryci.

Sharon poczuła na twarzy drapiące gałęzie, ale nie miała odwagi się poruszyć.

Serce biło jej jak szalone. Do jej uszu od strony schodów dochodziło ciężkie, powolne stąpanie. Znała je aż nazbyt dobrze...

Wstrzymała oddech i z całej siły ścisnęła czyjeś ramię. W tym samym momencie ciepła i przyjazna dłoń ujęła ją za rękę. Uspokoiała się trochę, czując przy sobie obecność Gordona.

Po krótkiej chwili Sharon ujrzała na górze kilka postaci, które majestatycznie przesuwały się w ich kierunku. Słyszała za sobą z trudem tłumione pochlipywanie: Linda także była przerażona.

Żeby tylko nie zaczęła wrzeszczeć, modliła się w duchu Sharon,

O to samo prosił w myślach Gordon.

Sharon wytężyła wzrok, by lepiej widzieć w mroku. Po chwili jakby coś dostrzegła...

Całkiem nieświadomie, ogarnięta przerażeniem, wbiła paznokcie w ramię Gordona.

Powoli, schodek po schodku, zstępowały ku ścieżce trzy przerażające potwory. Miały ogromne, nieforemne dłonie, którymi wspierały się o stromą ścianę skalną, i poruszały się z wielką ostrożnością. W końcu od Gordona i jego przyjaciół dzieliło je kilka metrów. Teraz

Sharon dojrzała straszliwe twarze: nienaturalnej wielkości ślepią i wydłużone, zwisające nosy...

Zamarła, wstrzymując oddech.

Ku jej ogromnemu zdziwieniu i uldze postaci przeszły spokojnie obok ich kryjówek i podążyły dalej ścieżką w stronę lasu.

Przez cały czas ani jedna z nich się nie odezwała. Zniknęły równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawiły.

Długi czas Gordon i jego towarzysze nie mieli odwagi wyjść z kryjówek. Sharon poczuła, że od klęczenia ścierpły jej nogi. Puściła ramię Gordona, ale zauważyła, jak on dyskretnie rozciera miejsce, które kurczowo trzymała.

Pierwszy odetchnął z ulgą Percy.

- A więc właśnie takiego widziała Sharon!

- Tak - powiedział cicho Gordon. - Muszę przyznać, że twój rysunek wcale tak bardzo nie odbiegał od rzeczywistości.

W tej chwili Lindzie puściły nerwy.

- Boże, ja tego dłużej nie wytrzymam! Ja chcę do domu! Wpadliśmy w pułapkę! Boże drogi, z jednej strony zaczarowany zamek, z drugiej duchy! Na pomoc!

- To nie były żadne duchy - rzekł zdecydowanie Gordon. - Jak myślicie, co powinniśmy teraz zrobić? Podążyć za nimi czy przyjrzeć się z bliska zamkowi?

Linda poczęła histerycznie szlochać.

- Peter, mówiłem, żeby jej nie zabierać! - Gordon był wyraźnie rozzłoszczony babskimi fanaberiami - Wygłupiłeś się, i to tylko po to, by przypochlebić się rozpieszczonej pannicy. Co my z nią teraz pocniemy?

Peter nic nie odpowiedział, ale Sharon wyczuła, że jest dotknięty do żywego.

- Ja wolałbym zobaczyć zamek - rzekł Andy.

- Ja także - dodała Sharon.

- Założę się, że nie mówisz prawdy - Gordon nie dowierzał słowom Sharon.

- Masz rację - odparła cicho. - Ale skoro doszliśmy tak daleko, nie powinniśmy rezygnować.

- A co wy na to? Może najlepiej byłoby, gdybyś zabrał dziewczynę do domu? - zwrócił się Gordon do Petera i Lindy.

- Co takiego? Wracać tą samą drogą co te... co te potwory? Nigdy w życiu! - wrzasnęła Linda.

- W takim razie idziecie z nami. Pamiętajcie, że to nie przelewki. Może się to dla

każdego z nas skończyć tak samo, jak dla Andy'ego.

- O, moja delikatna skóra - jęczała Linda, ale posłusznie ruszyła za innymi. Najgorsze w tej chwili wydawało jej się pozostanie sam na sam w lesie z okropnymi duchami. Wzięła Petera pod rękę, a on uspokajał ją, jak umiał.

- Początek drogi nie jest taki zły, gorzej będzie potem - odezwał się Andy, który pamiętał doskonale szczegóły trasy z pierwszej wyprawy do zamku.

Ostrożnie wspinali się w górę, pokonując nierówne stopnie. W pewnym momencie przy wystającym odłamie skalnym, w miejscu, gdzie schody zakręcały, Andy się zatrzymał.

- Chyba ktoś nas tu oczekuje - powiedział, siląc się na spokój.

Sharon poczuła, że cierpnie jej skóra. Próbowwała wmówić sobie, że to wszystko nieprawda, że to jedynie wytwór wyobraźni, ale kiedy przypomniła sobie bolesne rany na nodze, strach jeszcze się wzmógł. Przecież wzrok jej nie mylił, a to, co właśnie zobaczyła, było wystarczająco okropne.

Cała szóstka stanęła w osłupieniu.

W sporej odległości na tle granatowego nieba jawił się wyraźny zarys ruin zamkowych. Za to dużo bliżej, zaledwie kilkanaście stopni od nich, widniała nieruchomo postać nienaturalnego wzrostu.

ROZDZIAŁ XIII

Uwagę Sharon przykuły dwa jaskrawe, ogniste punkty, które rozświetlały panujący wokół mrok. Po chwili postać posunęła się kilka kroków w dół i wtedy dziewczyna wyraźnie dostrzegła sylwetkę wysokiego mężczyzny, odzianego w długi, powiewny płaszcz. Więcej szczegółów nie zdołała zaobserwować, gdyż Linda straciła panowanie nad sobą i z przeraźliwym krzykiem rzuciła się do ucieczki. Natychmiast pobiegł za nią Peter. Gordon, widząc, że droga w kierunku ruin została odcięta, nakazał wszystkim zawracać.

- Ruszajcie się! - krzyknął. - Nic tu po nas. Jest za ciemno. Musimy tu wrócić za dnia.

Wziął Sharon za rękę i zbiegli szybko w dół.

- A co z tymi, którzy idą przed nami? - pytała niepewnym głosem Sharon.

- Jeszcze nie wiem. To zależy, czy się na nich natkniemy. Najpierw trzeba uspokoić Lindę. Że też ciągle mam ją na karku!

Odnalezienie Petera i Lindy nie sprawiło im żadnych trudności, gdyż krzyki dziewczyny słychać było na kilometr. Oboje przycupnęli w niewielkiej dolince.

Wspólnymi siłami udało się im uspokoić Lindę i teraz mogli ruszyć w drogę powrotną.

- Ciekaw jestem, czy ktoś z nas został porażony wzrokiem czarownika? - zapytał Andy.

- No, a jak się czujecie? Macie jakieś dolegliwości? - spytał Gordon.

- Ja na razie chyba nic nie zauważyłam. Co prawda mam wrażenie, że swędzi mnie całe ciało, ale to chyba tylko nerwy - rzekła po chwili zastanowienia Sharon.

Gordon spojrzawszy pytająco na pozostałych, ale nikt nie narzekał na swędzenie, więc ruszyli w dalszą drogę.

- Musimy zachować ostrożność. Pamiętajcie, że mamy przed sobą tamtych trzech.

Linda cały czas pochlipywała, choć już znacznie ciszej.

Sharon odruchowo wzięła Gordona za rękę, lecz on szybko cofnął swoją dłoń. Zorientowała się, że popełniła gafę i wyszeptwała:

- Wybacz mi!

Gordon spojrzawszy na żonę ze zdziwieniem. Czyżby się bała? Na wszelki wypadek postanowił się trzymać blisko niej.

Ku zdziwieniu Sharon nie natknęli się na nikogo po drodze. Dotarli bezpiecznie do wschodniej części wyspy i ujrzeli migoczące światelka baraków.

- Jednak trochę się bałaś, co? - zwrócił się do Sharon Gordon, gdy dochodzili do domu.

- Czy się bałam? Nawet gdyby tylko zahukała sowa, w jednej chwili padłabym martwa. Cały czas zachodzę w głowę, gdzie podziały się te potwory?

- Może po prostu zniknęły, jak przystało na prawdziwe duchy?

- O, nie. Nie wiem, czy to twoja zasługa, Gordonie, ale staram się na wszystkie te zjawiska patrzeć bez emocji. Coś mi mówi, że przynajmniej ci trzech, których dzisiaj spotkaliśmy, to mężczyźni z krwi i kości.

- Świetnie. To mi się podoba - pochwalił żonę Gordon.

Tego dnia Sharon późnym wieczorem zabrała się do przeprowadzki. Gordon zajął się przenoszeniem mebli, choć nie wyglądał na zachwyconego. Nie protestował jednak, nawet gdy chodziło o doniczki z kwiatami.

Sharon zajęła pokój, który wcześniej służył Gordonowi do pracy. Z lękiem wodziła wzrokiem po zabałaganionym pomieszczeniu z oknami bez firan, z mnóstwem rysunków technicznych i dokumentów w każdym kącie. Na domiar złego cały pokój przesiąknięty był zapachem tytoniu.

I tu mam się czuć jak u siebie w domu? pomyślała ze smutkiem.

Po raz ostatni weszła do dawnego pokoju, by przynieść pudło z drobiazgami. Rozejrzała się po pomieszczeniu, w którym każdy krok odbijał się teraz echem od pustych ścian. Spędziła w tym pokoju trzy miesiące i wiązała z nim wyłącznie miłe wspomnienia. Udało jej się stworzyć tu domową, ciepłą atmosferę, a teraz musi stąd odejść.

Miała jednak świadomość, że i Gordon zdecydował się na ustępstwa: zrezygnował z prywatności w swoim własnym domu, dzieląc go z Sharon, z kobietą, której przecież nie kochał. Z pewnością nie było to dla niego łatwe.

Jaki jest, taki jest, w każdym razie zasługuje na wdzięczność i powinna mu ją okazać. Może uda się jej nadać temu miejscu bardziej rodzinny charakter, ale tak, by Gordon nie uznał tego za przesadę. Może znajdzie sposób, by ulżyć mu w codziennych obowiązkach.

Z tym postanowieniem Sharon zabrała się do porządków w nowym miejscu, które jak na razie tchnęło smutkiem i melancholią. Najpierw otworzyła na oścież wszystkie okna, by pozbyć się zaduchu i zapachu tytoniu.

Pracowała pół nocy. W końcu wyczerpana ułożyła się do snu, ale nie mogła zasnąć. Wiedziała, że w pokoju obok spał jej mąż, a kilka metrów dalej, w następnym pomieszczeniu, Peter. Nagle Sharon poczuła się tak bezradna, opuszczona i pełna obaw co do własnej

przyszłości, że serce omal jej nie pękło. Ludzie nigdy nie zapomną o strasznym oskarżeniu, które na niej ciąży, nigdy też nie zdobędzie Petera, choć to już nie wydawało się jej takie straszne. Na zawsze będzie zmuszona pozostać na wyspie, a jeśli nawet znalazłaby kogoś, dla kogo jej serce mocniej zabije, czy będzie umiała opuścić Gordona? Czy to rzeczywiście takie proste, jak mu się wydaje? I co powiedzą na to inni? Sharon zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie całe życie spędzi u boku nie kochanego męża. Jak ma żyć z człowiekiem, dla którego miłość i ciepło domowego ogniska w ogóle się nie liczą?

Dlaczego Peter nie okazał się tym silnym, wspaniałym mężczyzną, o jakim marzyła? Dlaczego zdradził ją dla Lindy Moore? Dlaczego Linda pojawiła się na wyspie?

Jedno Sharon wiedziała na pewno: mimo że oboje z Gordonem zawarli swoisty układ, ona nie powinna obnosić się ze swym złamanym sercem. Czuła, że niespełnione marzenie o Peterze musi jak najszybciej wymazać z pamięci. Dla własnego dobra i dla dobra swego małżeństwa.

William Adams, dowiedziawszy się o zamążpójściu Sharon, wpadł w prawdziwą rozpacz.

- Sharon, jak mogłaś zrobić mi coś podobnego? Dlaczego nie przyszedłaś do mnie?

- Moje nazwisko długo widniało na liście - odparła Sharon. - Nigdy nie poprosił pan o moją rękę, a ja nie mam w zwyczaju oświadczać się mężczyznom.

William ukrył twarz w dłoniach.

- Nie śledziłem tej przekłętej listy. Nawet bym nie przypuszczał, że minęły już całe trzy miesiące od twojego przyjazdu! Przecież ty go wcale nie kochasz?

- Uważam, że tak jest lepiej - mówiła Sharon spokojnym, prawie zimnym głosem. - On mnie też nie kocha, mamy więc równe szanse. Byłoby znacznie gorzej, gdyby jedna z osób cierpiała z powodu nieodwzajemnionej miłości.

William był niepokieszony i Sharon w końcu zrobiło się go żal. Mimo to nie miała wątpliwości, że podjęła właściwą decyzję. Gdyby po raz drugi przyszło jej wybierać między nimi dwoma, i tak wolałaby Gordona. William zawsze ją odstręczał nadmiernym okazywaniem troskliwości i uczuć, których Sharon nie potrafiła przyjąć.

Nareszcie William zmienił temat i wrócił do wieczornej wyprawy na zamek. Andy, Percy i Sharon nabawili się kolejnych pęcherzy na skórze. Pozostalej trójce dziwnym trafem nic się nie stało.

- Jak to możliwe, skoro wszyscy widzieliśmy czarownika? - dziwiła się Linda.

- Daj spokój i nie mów więcej o tym, bo jeszcze się to dla nas źle skończy! - wtrącił

Peter.

- Może nie zdążył rzucić swojego uroku na całą szóstkę? A poza tym prysnęliśmy stamtąd prawie jednocześnie.

Gordon stał pogrążony w głębokiej zadumie. Percy miał rany na twarzy i ramionach, u Andy'ego i Sharon ucierpiał dłoń.

- O czym tak myślisz, Gordonie? - zapytała z zaciekawieniem Sharon.

- Nie jestem pewien, ale chyba zauważyłem pewną prawidłowość.

- Co masz na myśli?

- Dlaczego akurat wy macie te rany? Może... Nie, muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

Niczego więcej nie udało im się wyciągnąć z Gordona.

Sharon obawiała się, że pojawią się u niej nowe rany, tymczasem po upływie kilku kolejnych dni pęcherze zaczynały przysychać. Gorzej było z Percym i Andym, ich okaleczenia nie chciały się goić. Sharon zaczęła posądzać czarownika o słabość do dam; im wyraźnie oszczędzał bólu.

Na wieść o małżeństwie Gordona z Sharon Linda przeżyła szok. Stało się to tak nagle, a przy tym nawet ona nie przewidziała takiego obrotu sprawy. Od dawna rozmyślała, jak by tu pozyskać względy zarządcy. Była przekonana, że prędzej czy później dopnie swego, trzeba tylko nieco cierpliwości! Gdyby tak ona została panią dyrektorową, los Sharon byłby przesądzony...

Linda liczyła na to, że Sharon będzie zmuszona opuścić wyspę, by w Anglii zapłacić głową za zbrodnię. Teraz już nie może być o tym mowy.

Zgrzytała więc z wściekłości zębami.

Był czas, kiedy Lindę lubiano, była miłą i dobrą dziewczynką. Ale któregoś dnia na jej drodze pojawiły się pokusy i Linda nie potrafiła się im przeciwstawić. Stała się kobietą złą i zawistną, choć wyjątkowa uroda pomagała jej to ukryć.

Linda nie ustawała w poszukiwaniu sposobów pozbycia się Sharon. Gdyby tak wszyscy bez wyjątku uwierzyli w jej zbrodnię, Linda spałaby spokojnie. Ale to było niemożliwe. Ciągłe powracanie do tej sprawy mogłoby okazać się niebezpieczne dla samej Lindy.

Musi się znaleźć inne wyjście...

Może by tak udowodnić, że Sharon popełnia błędy w prowadzeniu ksiąg, tak by Gordon stracił do niej zaufanie? Ale czy tego rodzaju zwycięstwo zadowoliłoby żądną srogiej zemsty Lindę?

A może... Tak, to całkiem proste i jakże skuteczne rozwiązanie! Że też nie wpadła na to wcześniej!

Tego dnia Linda promieniała. Znowu snuła kolejny przebiegły plan....

Przede wszystkim postanowiła poślubić Petera. Wbrew przewidywaniom, wcale nie miało się to okazać łatwe; Peter nie śpieszył się do żeniaczki, wolał prowadzić nieskrępowany kawalerski żywot. Ale ponieważ Linda nawykła do osiągania celów, jakie sobie zakładała, wymogła w końcu na Peterze obietnicę małżeństwa. Potem zabrała się do realizacji kolejnego pomysłu, który miał zdecydować o jej zwycięstwie.

Życie Sharon u boku Gordona nie układało się tak, jak to sobie wyobrażała, mimo iż nie liczyła na idyllę. Oprócz codziennej pracy biurowej spadło na nią wiele dodatkowych domowych obowiązków. Gordon nie zmienił się ani na jotę: nie raz wyrażał swoje niezadowolenie, gdy Sharon nie spełniała wszystkich jego oczekiwań. Tym bardziej Sharon nie spodziewała się tego, co miało nastąpić...

Nie była pewna, kiedy się to zaczęło. Być może jednego z tych wieczorów, gdy Gordon, po całym dniu pracy, padał po obiedzie na kanapę i zasypiał, opierając głowę na jej ramieniu. Zdarzało się, że mamrotał przez sen ledwo słyszalnym głosem: „Jak to dobrze, słonko, że czekasz na mnie w domu...” Sharon nie wierzyła własnym uszom. Szybko jednak uznała, że Gordon nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi.

Mimo to te słowa, niespodziewanie dla Sharon, niby ziarenko zakiełkowały w jej sercu, a myśli coraz częściej błądziły wokół męża. Zastanawiała się, czy ciężko pracuje w kopalni, kiedy wróci, może należałoby już wstawić obiad, by był gotowy na czas. A gdyby tak kupić kawałek mięsa albo świeżej ryby i zaskoczyć Gordona wyborną kolacją?

A może zaczęło się to dużo wcześniej i dojrzewało powolutku, by rozkwitnąć z całą siłą w dniu, kiedy Linda znowu zaatakowała...

Gordon obserwował swoją żonę krzątającą się przy śniadaniu. Zręcznymi ruchami Sharon szybko nakryła do stołu.

Jest bardzo zaradna, wszystkie obowiązki wykonuje nienagannie i bez szemrania, myślał Gordon. To właśnie cenił najbardziej w ludziach.

Analizował zmiany, jakie w jego życiu wniosło pojawienie się Sharon. Nie musiał już chodzić do stołówki, której nie znosił. Każdego dnia czekał na niego ładnie zastawiony stół. Jego ubranie było zawsze czyste i zreperowane, w całym domu wprost pachniało czystością. Sharon nie odzywała się za wiele i za to najbardziej był jej wdzięczny. Rano, po wyjściu

męża, Sharon szła do biura; wracała tuż przed jego przyjściem, by przygotować obiad. Bywało, że wieczorami siadywali razem, gawędząc o pracy Gordona, ale gdy pojawiał się Peter, Sharon cicho wycofywała się do swojego pokoju. Umiała trzymać się w tle, pojawiała się tylko wtedy, gdy Gordon naprawdę jej potrzebował

Rzeczywiście, nie mógł jej nic zarzucić: Sharon zawsze bezwzględnie przestrzegała reguł ich wspólnej umowy. Czasami Gordonowi wydawało się, że żona jest zmęczona, zwłaszcza wtedy, gdy nie nadążała z jakąś pracą w biurze lub gdy karmił ją ostrymi słowami...

Tego dnia Sharon była podenerwowana i Gordon dobrze wiedział, jaka jest tego przyczyna. Następnego dnia Peter i Linda mieli wziąć ślub, po czym Linda zamierzała wprowadzić się do swego męża. Gordon przyglądał się bacznie Sharon i nawet on się domyślał, że musi jej być ciężko na sercu.

- Kochanie... - zaczął niepewnie.

Zaskoczona, stanęła z tacą w dłoni i spojrzała na męża.

- Tak?

- Pamiętasz tę górkę, na której chciałaś zbudować dom? Byłem tam dzisiaj i bardzo mi się to miejsce podoba. Czy nadal chciałabyś tam mieszkać?

Sharon ożywiła się nagle, ale po chwili uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Jest mi naprawdę wszystko jedno.

Gdy ruszyła w kierunku kuchni, Gordon przytrzymał ją za rękę:

- Wiem, że to nieprawda. Nie jest ci wcale wszystko jedno. Przecież obie nie możecie mieszkać pod jednym dachem, a ja też nie mam ochoty wiecznie zmuszać się do rozmów. Pogadam z cieślami. Jeśli się pośpieszą, moglibyśmy wyprowadzić się stąd jeszcze przed zimą.

Na myśl o nowym własnym domu Sharon się rozmarzyła. O Peterze przestała już myśleć, ani trochę jej nie obchodził.

- Moglibyśmy dziś wieczór przyrzeć się istniejącym planom, a może sami byśmy coś naszkicowali? - zaproponował Gordon.

- Gordon, mówisz tak, jakbyśmy byli razem...

- Razem z pewnością będziemy mieszkać - powiedział spokojnie.

- Tak, to prawda - odparła Sharon i powróciła do nakrywania stołu.

Gordon wyszedł do pracy, a Sharon pozostała z własnymi myślami. Przerazała ją perspektywa życia pod jednym dachem z Lindą. Wspólna kuchnia, posiłki... To wprost nie do zniesienia! Linda zachowywała się w ostatnim czasie wyjątkowo spokojnie i już to niepokoiło Sharon. Przeczuywała, że prędzej czy później coś złego się wydarzy. Nie miała jednak pojęcia,

skąd nadejdzie atak i jak się przed nim obronić.

ROZDZIAŁ XIV

W porze obiadowej Sharon wybrała się ze spóźnioną wizytą do Margareth. Po krótkiej pogawędce i obejrzeniu domu Sharon pośpieszyła do biura.

W drodze powrotnej, kiedy przechodziła przez niewielki lasek, z daleka ujrzała zbliżające się Lindę i Doris.

Ze strachu serce podskoczyło jej do gardła. Wciąż nie mogła zapomnieć o tym, że chciano ją ukamienować. Szybko zeszła ze ścieżki i ukryła się za wystającą skałą. Przycupnąwszy cichutko, zastanawiała się, czy czasem nie przesadza, ale było już za późno, by wyjść z kryjówki.

Dziewczęta szły wyjątkowo powoli. Sharon drżała, pełna niepokoju i niecierpliwości, lecz po chwili zaczęła baczniej przysłuchiwać się rozmowie, jaką prowadziły obie przyjaciółki.

Najpierw Sharon usłyszała ostry, przenikliwy głos Doris.

- Tłumaczyłam Tomowi, ile by skorzystał, gdyby zarządcą został twój mąż. Być może zostałby nawet zastępcą, a wtedy nie ukarano by mnie za Sharon. Ale nie chciał słyszeć o tym pomysle, powiedział, że na pewno tego nie zrobi.

- Idiota z niego! - odezwała się Linda.

- Na Toma nie mamy co liczyć. On boi się Saint Johna jak ognia. Powiedziałam mu, że jest zwykłym tchórzem, a on sobie poszedł.

- Wygląda na to, że sama muszę dostać się na teren kopalni - rzekła w zamyśleniu Linda. - Ale jak ja to zrobię?

- A gdybyś tak przebrała się za mężczyznę i weszła niepostrzeżenie razem z innymi? To nie powinno być trudne - podpowiedziała jej Doris. - Nie kontrolują przecież aż tak szczegółowo.

Sharon zorientowała się, że kobiety przystanąły.

- Jeśli pożyczylabyś mi jakieś ubrania Toma, mogłabym spróbować. Jesteś pewna, że wraca punktualnie o czwartej?

- Możesz mi zaufać. Nigdy się nie spóźnia. A teraz chodzi tylko ta jedna.

Kobiety ruszyły dalej.

- Dobrze. Mam narzędzia, ale czy dam sobie sama radę?

- Tom twierdzi, że nie są grube - wyjaśniła żywo Doris. - Wymkniesz się, jak zrobi się zamieszanie.

To były ostatnie słowa, jakie dotarły do Sharon.

Odczekała jeszcze kilka minut, a gdy intrygantki całkiem zniknęły jej z oczu, ruszyła do biura.

Cały czas dźwięczały jej w głowie słowa, które przed chwilą usłyszała, ale tym razem nie potrafiła ich powiązać w logiczną całość.

Co to wszystko ma znaczyć?

Tego dnia nie mogła skupić się nad pracą, była bardzo rozkojarzona.

Peter mógłby zarządzać? Jak? Dlaczego? Czego nie chciał zrobić Tom?

Sharon nie miała wątpliwości, że jest to część następnego planu Lindy. Nie domyślała się jednak, o co w nim chodzi.

„Wraca punktualnie o czwartej... A teraz chodzi tylko ta jedna...” Kto wraca o czwartej?

A jeśli... A może... Czyżby chodziło o Gordona?

Wielki Boże! To by się zgadzało!

Sharon zdrętwiała przerażona.

Gordon zjawia się na kawę zawsze około czwartej piętnaście! Mniej więcej kwadrans zajmuje mu pokonanie drogi z kopalni do biura!

„Chodzi tylko ta jedna...”

Winda! Sharon wiedziała, że Gordon każdego dnia po południu dokonuje inspekcji na dole w kopalni.

„Narzędzia...” Linda musiała dostać się na teren kopalni, by zrobić coś, czego odmówił Tom.

Nie!

Roztrzęsiona spojrzała na zegarek. Było wpół do czwartej. Bez chwili namysłu, nie zamykając za sobą biura, wybiegła na dwór i popędziła co sił w nogach w kierunku kopalni.

Zimny jesienny wiatr szarpał jej lekką sukienkę, materiał oplątywał nogi, a kok rozwinął się i opadł płaszczem włosów na plecy. Sharon biegła najszybciej jak mogła. Niekiedy zatrzymywała się na moment, by wyrównać oddech, i zaraz spieszyła dalej. Teraz знаła już plan Lindy. Wiedziała, że tym razem nie ona jest głównym celem ataku.

Sharon zagryzła wargi. Nie przeżyję tego!

Strażnik zatrzymał dziewczynę przy bramie.

- Kobiety nie są wpuszczane na teren kopalni!

- Mam bardzo ważną wiadomość dla Saint Johna - wydusiła Sharon. - Chodzi o bezpieczeństwo kopalni!

Strażnik namyślał się:

- Sam mogę ją przekazać.

Sharon poczerwieniała ze zdenerwowania i krzyknęła:

- Mam mu ją przekazać osobiście! Nie jestem pierwszą lepszą kobietą, mnie kopalnia także zatrudnia! Zresztą widzi pan, że biegłam całą drogę! Proszę mnie natychmiast wypuścić!

Strażnik dał w końcu za wygraną i niechętnie otworzył bramę.

Sharon nigdy przedtem nie była na terenie kopalni, ale od razu się domyśliła, gdzie znajduje się wejście do windy. Minęła wielką czarną konstrukcję, która stanowiła szkielet nowych pieców hutniczych, i znalazła się przy wejściu do kopalni.

Ucieszyła się, widząc przy windzie Percy'ego, który od razu wpuścił ją do okazałych rozmiarów windy ze ściankami z metalowej siatki. Percy domyślił się, że Sharon musiała mieć naprawdę ważny powód, skoro zjawiała się tu osobiście.

Winda ruszyła powoli w dół, skrzypiąc i trzeszcząc. Sharon podniosła wzrok na przytrzymujące ją grube liny. Jedna z nich prawdopodobnie... Liny biegły wysoko, wysoko, aż w końcu znikwały nad żelaznym sufitem. Było tu tyle przeróżnych pomieszczeń, każde z nich mogło posłużyć za kryjówkę dla złoczyńcy.

A jeśli to tylko wytwór wybujałej wyobraźni? Jeśli Sharon się myli, Gordon nigdy jej tego nie wybaczy.

Ale nie ma rady. Linda to niebezpieczna osoba. Sharon wolałaby się skompromitować, niż pozwolić, by Gordonowi stało się coś złego.

Teraz przyglądała się w zadumie potężnym, nieregularnym blokom skalnym, wzdłuż których sunęła winda. Ciemne, wilgotne i zimne ściany budziły grozę i zarazem respekt. Gdzieś tam brunatny kamień przecinały blade rysy kwarcu. A więc tu Gordon spędzał znaczną część swego dnia pracy, choć mógł przekazać większość obowiązków Peterowi i przesiadywać w wygodnym fotelu za biurkiem. Tymczasem sam czuwał nad wydobywaniem i bezpieczeństwem górników.

Taki był właśnie Gordon Saint John.

Sharon nigdy nie potrafiłaby przywyknąć do pracy w kopalni. Zjeżdżając na dół pomyślała, że bezpowrotnie pochłania ją czarna noc. Wpadające przez górny otwór szybu światło oddalało się coraz szybciej.

Na szczęście nikt nie proponował Sharon pracy pod ziemią. Ale dzisiaj musi zapomnieć o strachu, by ratować Gordona.

Wreszcie winda się zatrzymała i Sharon z niej wyskoczyła. Najbliżej położony, rozwidlający się korytarz oświetlały lampy zamocowane pod sklepieniami. Wpadało tu także

mdłe światło z wyższego pokładu.

Sharon stała przez chwilę bezradnie, nie wiedząc, dokąd pójść. W końcu jednak uświadomiła sobie, że Gordon musi zjawić się przy windzie, ażeby wydostać się na górę. Najlepiej będzie, jeśli tu na niego zaczeka.

I rzeczywiście, po kilku minutach dały się słyszeć silne męskie głosy, wśród których rozpoznała głos Gordona, odbijający się wyraźnym echem o ściany. Po chwili mężczyźni wyłonili się zza zakrętu i zbliżyli do windy.

Sharon podbiegła do nich.

Gordonowi towarzyszyło trzech górników. Gdy ją ujrzał, stanął jak wryty.

- A ty co tutaj robisz?

Spojrzała mężowi prosto w oczy.

- Gordon, nie możesz teraz jechać na górę! - zaczęła mówić gorączkowo. - Ktoś usiłuje uszkodzić windę!

- Co ty wygadujesz? - spytał poirytowany.

- To prawda. Podśledzałam pewną rozmowę. Przysięgam! Proszę cię, nie wsiadaj do windy!

- Przestań się wygłupiać! Kto by chciał doprowadzić do takiego wypadku?

Sharon zwróciła się do pozostałych górników.

- Błagam was, nie jedźcie na górę!

Mężczyźni nie wiedzieli, czy słowa Sharon potraktować poważnie, czy też nie. Ale Gordon nie miał wątpliwości i nie zastanawiając się, wszedł do środka.

- Dajcie spokój, to tylko babska histeria!

Górnicy byli w dalszym ciągu niezdecydowani, ale rzucili narzędzia na podłogę windy. Jeden z nich odezwał się ostrożnie:

- Może powinniśmy posłuchać...?

- Nie wiem, co jej strzeliło do głowy i co chce przez to osiągnąć, ale zaczyna mnie to już denerwować. Sharon, tym razem chyba przesadziłaś.

Cała czwórka stała teraz w windzie. Sharon wpadła w panikę.

- Gordon, ja nie pozwolę! Ja nie chcę, żebyś zginął! - krzyczała.

- Przestań histeryzować, opanuj się i wskakuj prędzej. Dlaczego ktoś miałby to zrobić?

- Bo ty nią jedziesz, rozumiesz? Ktoś chce twojej śmierci, a ja muszę mu w tym przeszkodzić! - wołała bliska płaczu i usiłowała wyzwolić się z silnego uścisku męża. - Czy myślisz, że odważyłabym się zjawić tu z byle powodu? Nie rozumiesz, że mówię prawdę? Chcę twojej śmierci, ale ja nie dopuszczę, nie dopuszczę!

- Nie, tego już za wiele! - rzekł rozzłoszczony nie na żarty i dał znak do odjazdu. Winda ruszyła powoli.

Sharon, już nie panując nad sobą, wypchnęła dwóch górników. Trzeci, który miał najwięcej wątpliwości, wyskoczył sam.

- Sharon, czyś ty oszalała? - wrzeszczał teraz Gordon.

- Skacz, Gordon, skacz! - Sharon nie poddawała się, z całej siły popychając męża na skraj wagonika.

W końcu, nie widząc innego sposobu, sama rzuciła się w dół z wysokości blisko trzech metrów, a ponieważ wciąż kurczowo trzymała się Gordona, on także stracił równowagę i w ślad za żoną runął na ziemię.

- Boże, dziewczyno, przecież mogliśmy się zabić! Czyś ty postradała rozum? I do tego krwawisz!

- A co mi tam - odezwała się płaczliwie. - Na szczęście ty żyjesz.

Pojękując, podnieśli się wolno z ziemi.

- Co się z tobą dzieje? Coś ty sobie ubzdurzyła? - pytał Gordon, potrząsając Sharon. - Zobacz, nic się nie dzieje!

Był rozzłoszczony jak nigdy. Uwagę trzech górników przykuła teraz wznosząca się ku powierzchni ziemi winda. Gordon także śledził jej ruch.

Pomyliłam się, myślała przerażona Sharon. Zrobiłam z siebie ostatnią idiotkę i on mi tego nie daruje. Oddali się ode mnie jeszcze bardziej. Teraz wszystko zniszczyłam!

Pomyliłam się także co do planów Lindy. Teraz kompletnie nie wiem, skąd padnie cios.

W tym momencie jeden z górników krzyknął:

- Patrzcie!

Nagle wisząca gdzieś w połowie drogi winda zatrzęsała się i gwałtownie przechyliła na bok. Leżące na jej podłodze narzędzia poleciały w dół.

- Sharon, uważaj! - krzyknął Gordon, odciągając żonę jak najdalej od szybu. Górnicy rzucili się w stronę bocznych korytarzy. Narzędzia uderzyły z wielką siłą o ziemię. Sharon zobaczyła nad sobą zbielełą z przerażenia twarz Gordona, który zakrywał ją teraz własnym ciałem.

- Uwaga, spada! - krzyknął jeden z górników, przyciskając ręce do uszu.

Huk był tak przerażający, że przez kilka kolejnych minut nic poza nim do nich nie docierało. Gordon jeszcze mocniej przywarł do Sharon, osłaniając jej głowę. Grzmot dudnił nieprzerwanie w uszach, a oni odnosili wrażenie, że echo tym bardziej go potęgowało.

Wokoło sypały się odłamki kamieni i metalowych części konstrukcji. Nagle Gordon się skulił.

- Jesteś ranny? - Sharon sparaliżował strach.

- Chyba nic groźnego - mruknął niewyraźnie.

W końcu wszystko ucichło. Sharon odetchnęła z ulgą. Tym razem Linda nie dosięgła Gordona.

Sharon delikatnie, z wielką czułością otarła czoło męża. W tej samej chwili odczuła nieprzepatą chęć, by rozplakać się ze szczęścia.

Nastąpiło to, co nigdy nie powinno mieć miejsca.

Zakochała się w Gordonie Saint Johnie.

ROZDZIAŁ XV

Nie chciała teraz myśleć o swojej beznadziejnej miłości do tego człowieka o sercu z kamienia. Wszystko, co Sharon w życiu ceniła, dla niego nie znaczyło nic. Czy uda się jej utrzymać to uczucie w tajemnicy?

Gordon podniósł głowę i spojrzał zmęczonym wzrokiem na Sharon.

- Wygląda na to, że jednak miałaś rację - rzekł. - Uratowałaś mi życie. Przepraszam, że byłem wobec ciebie taki niegrzeczny.

- Głupstwo, ale jak się teraz wydostaniemy na górę?

- Mamy tu rezerwową windę. Choć od dawna jej nie używaliśmy, myślę, że jest sprawna.

Pomógł podnieść się dziewczynie i strzepnął z niej najgrubszą warstwę pyłu.

- Pewnie wyglądam jak czarownica - zaśmiała się Sharon.

- Rzeczywiście - przyznał. - Ale to nie jest teraz istotne. Powiedz mi lepiej, kto to zrobił!

Sharon spuściła głowę. Nie miała odwagi oskarżać Lindy, bała się, iż kolejny raz nikt jej nie uwierzy. Tylko ona sama i może Margareth znały prawdziwe oblicze tej okropnej dziewczyny. Jeśli znowu padnie imię Lindy, z pewnością zdoła ona przekonać wszystkich, że to Sharon zaaranżowała wypadek, by móc obciążyć winą swego śmiertelnego wroga.

Sharon dostrzegła logikę w rozumowaniu Lindy: gdyby zabrakło Gordona, zarządcą zostałby Peter, a wtedy Sharon stałaby się całkiem bezbronna.

Zdała sobie sprawę, jak wiele zawdzięcza Gordonowi, choć on nawet nie przypuszcza, jak bardzo ją chroni.

Tak czy owak, Sharon nie mogła teraz powiedzieć prawdy.

- Mógłbyś mi tego oszczędzić? - zapytała.

- Nie ma mowy! Kogo chcesz osłaniać?

- Jestem taka zmęczona! Odłóżmy tę rozmowę na później - poprosiła.

Do Sharon podeszli teraz ocaleni górnicy. Gdy dziękowali jej za uratowanie życia, czuła się zawstydzona. Po chwili w korytarzu dały się słyszeć kroki biegnących co tchu ludzi. Sharon nie miała pojęcia, że pod ziemią pracuje ich tak wielu. Górników przywołał wielki huk, a gdy zobaczyli, co go spowodowało, zamarli z przerażenia. Trzej górnicy, którzy uniknęli śmierci, stali się bohaterami. Relacjonowali przebieg wydarzeń, dodając to i owo od siebie.

Gordon polecił górnikom, by wrócili do pracy, zatrzymał jedynie kilku. Mieli oni sprawdzić, czy uda się szybko naprawić główną windę. W końcu wziął Sharon pod rękę i powiedział:

- Chodź, może działa zapasowa.

Na miejscu katastrofy pojawił się Peter. Był zdenerwowany, ale nie bardzo chciał wierzyć, że Sharon przewidziała rozwój wydarzeń.

Skierowali się we trójkę do drugiej windy. Dołączyło do nich jeszcze kilku innych ludzi. Szli teraz słabo oświetlonymi korytarzami na przeciwległy koniec kopalni.

- Jesteśmy w części, która została już całkowicie wyeksploatowana - wyjaśniał Gordon. - Teraz rzadko kto tutaj zagląda. Rzadko kto korzysta też z zapasowej windy. Mam jednak nadzieję, że jest czynna.

Skreślił w jeden z wielu mrocznych korytarzy. Panujące tu ciemności rozświetlały tylko podręczne latarki idących, a jedynymi odgłosami były odgłosy ich własnych kroków. Przeszli obok otworu zabitego na krzyż dwoma deskami

- Ten pokład jest zagrożony - wyjaśnił Gordon; - Kilka lat temu nastąpiło tu tąpnięcie. Ponieważ złoże było na wykończeniu, korytarz został całkowicie zamknięty.

Szli dalej w milczeniu. Sharon zwolniła kroku i zaczęła na Petera.

- Peter - odezwała się najłagodniej, jak umiała. - Nie spodoba ci się to, co powiem. Ale kiedyś bardzo mi na tobie zależało i nie mogę patrzeć, jak niszczysz sobie życie. Nie żeń się z Lindą! Zaslugujesz na lepszy los.

Peter zatrzymał się i odwrócił powoli w stronę Sharon. Z trudem się pohamował, by nie wybuchnąć.

- Widzę, że twoja zawiść nie zna granic. Jeśli chcesz zasiać ziarno niezgody między nami, to musisz wiedzieć, że twoje słowa jeszcze bardziej mnie utwierdzają w moich zamiarach wobec Lindy.

- Tego się właśnie obawiałam - powiedziała ze smutkiem Sharon. - Musiałam cię jednak ostrzec. Bardzo mi ciebie żal.

Peter oddalił się bez słowa.

Korytarz rozszerzył się niespodziewanie i rozbłysnął delikatnym światelkiem. Z góry zjeżdżała właśnie rezerwowa winda, w której zobaczyli Percy'ego z kilkoma kolegami.

- Co się stało? Byliśmy pewni, że runęliście w dół!

Gordon krótko zrelacjonował przebieg wydarzeń. Percy spojrzał na Sharon z podziwem i szacunkiem, ale na dłuższą rozmowę nie było czasu. Gordon już wyjaśniał, jak należy zreperować uszkodzoną windę. Zapasowa okazała się zbyt mała, jak na potrzeby

kopalni.

Sharon nie była pewna, w którym miejscu wydostaną się na powierzchnię, ale wiedziała, że są teraz w najdalszym zakątku kopalni, nad którym prawdopodobnie zaczynał się las. Od bramy wejściowej dzieli ją zatem ładny kawałek drogi. Korzystając z okazji Sharon zadawała mężowi mnóstwo pytań dotyczących samej kopalni, ale on odpowiadał niechętnie. Wciąż myślał o próbie sabotażu. Dogonił Petera i obaj zaczęli rozmawiać o reperacji windy.

Sharon, podążając z tyłu, przyglądała się obu mężczyznom i porównywała ich: Peter, jej pierwsza sympatia, był przystojnym młodzieńcem o miłej twarzy i swobodnym sposobie bycia. Już w momencie poznania okazał Sharon przychylność i tym ją ujął. Polubiła go, ba, myślała nawet, że to miłość, ale to zauroczenie szybko minęło. Inaczej rzecz się miała w przypadku Gordona: on na początku traktował ją z wyraźną niechęcią. Po jakimś czasie zaczął odnosić się do niej po koleżeńsku, polubili się nawet, ale teraz... Sharon była pewna, że uczucie, jakim darzy Gordona, to już nie ulotny zachwyt, ale głęboka, prawdziwa miłość. I ta miłość stała się dla niej źródłem zarówno radości, jak i cierpienia. Gordon w niczym nie przypominał Petera. Był to dojrzały mężczyzna o szczególnej powierzchowności. Trudno nawet powiedzieć, że jest urodziwy. Najgorsze, że zachowywał się jak maszyna, a nie jak człowiek. Jak Sharon poradzi sobie z miłością do kogoś tak szczególnego?

Jednak najbardziej obawiała się tego, że nie zdoła ukryć przed Gordonem swoich uczuć. Czekają ją długie lata u boku mężczyzny, od którego nigdy nie zazna ciepła, który nie przytuli jej, nie obejmie i nie powie, że bardzo ją kocha. Sharon nigdy nie pozna smaku jego pocałunków...

Gordon zapewne się nie dowie, jak wiele znaczy dla Sharon. Ona sama pamięta zażenowanie, jakie ją ogarnęło, gdy doktor William wyznał jej miłość. Za nic nie pozwoli, by Gordon znalazł się w podobnej sytuacji.

- Co tak zamilkłaś, kochanie? Myślisz o wypadku z windą? - Gordon zatrzymał się i poczekał na żonę.

- Co? Ja... Tak, chyba tak - odpowiedziała zaskoczona.

- Nie mogę teraz wrócić do domu, musimy zająć się naprawą. Nie czekaj na mnie z kolacją. Ale pamiętaj, jutro wszystko dokładnie musisz mi opowiedzieć. I żebym nie słyszał żadnych wymówek!

- Ależ Gordonie! Ja nie mam całkowitej pewności. Przecież nie mogę obwiniać kogoś tylko na podstawie swoich przypuszczeń!

- Bzdury - wtrącił się ostrym tonem Peter. - Musimy wiedzieć wszystko, nawet jeśli to

tylko podejrzenia.

Sharon wróciła do domu w kiepskim nastroju. Okropnie bała się spotkania z Lindą. Kiedy tamta się dowie, że Sharon znów pokrzyżowała jej szyki, będzie chora z wściekłości. A wtedy lepiej byłoby dla Sharon, gdyby trzymała się od Lindy z daleka.

Wydarzenie w kopalni odbiło się na samopoczuciu Sharon bardziej, niż mogła przypuszczać. Czuła się tak wyczerpana, że od razu poszła do swojego pokoju. Opadła bez sił na łóżko i już po chwili spała głęboko, trzymając w dłoni prezent od Gordona - najpiękniejszy minerał z jego zbiorów.

Obudziły ją kroki, ale zaraz ucichły w okolicy pokoju Petera. Sharon usiadła na posłaniu, jeszcze na wpółsenna. Wokół panowała ciemność, był późny wieczór.

Wstała, zapaliła lampę i zabrała się do przygotowania kolacji.

Biuro... Zapomniała zamknąć drzwi do biura! A jeśli ktoś się tam zakradł?

Pobiegła korytarzem, by sprawdzić. Na szczęście wszystko było na swoim miejscu. Sharon sprawdziła zawartość kasy, ksiąg i szuflad z dokumentacją. Odetchnęła z ulgą.

Zabrała do domu teczkę z rachunkami, których nie zdążyła policzyć w ciągu dnia. Zdarzało się, że oboje, i ona, i Gordon, przesiadywali wieczorami po godzinach, nadrabiając zaległości. Tego wieczoru Sharon czekało wyjątkowo dużo pracy, a była już bardzo zmęczona!

Przed powrotem Gordona zdążyła się jeszcze umyć i namoczyła ubranie, które zabrudziło się podczas wypadku w kopalni. Przygotowała także ciepłą kolację.

Na widok męża serce zaczęło jej mocniej bić. Jak to się stało, że do tej pory nie widziała, jak ujmującą, choć surową ma twarz? Ucieszył ją lekki uśmiech, którym ją powitał.

- Jak poszło? - spytała niecierpliwie.

Usiadł wygodnie w fotelu.

- Jako tako. W każdym razie winda jest już sprawna. Jedna z lin została przetarta w taki sposób, żeby wyglądało to na naturalne zużycie.

- Jak można było tak ryzykować, skoro wokół kręci się stale tylu górników?

- Uszkodzenia dokonano w zamkniętym pomieszczeniu, tam gdzie liny są zamocowane. Miał szczęście, że nikt go nie przyłapał. Wybrał miejsce, gdzie rzadko ktokolwiek się zjawia.

„On”... Gordon nawet nie dopuszczał myśli, że podejrzany może być kobietą.

Sharon wróciła do swojego pokoju, by zająć się rachunkami. Otworzyła teczkę i wyłożyła na biurko jej zawartość.

A cóż to takiego? Skąd to się tutaj wzięło?

Zaskoczona, wzięła do ręki sporą, wyglądającą na bardzo starą księgę oprawioną w skórę. Księga pokryta była kurzem i pleśnią i miała specyficzny, niemiły zapach. Otworzyła ją, nachyliła się nad lampą i...

- Gordon! Zobacz, co znalazłam w teczce z dokumentami! - zawołała i pobiegła do kuchni. - Ktoś musiał ją tu podrzucić! Jest ręcznie pisana i nic z tego nie rozumiem!

Gordon, który zdążył się już posilić, podszedł do Sharon.

- Jakie to stare! Skąd to wzięłaś?

- Naprawdę nie mam pojęcia!

Gordon przekładał delikatnie stronę po stronie. Niektóre kartki były tak zniszczone, że nic nie można było z nich odczytać.

- Wydaje mi się, że to starofrancuski, ale nie mam pewności - uznał w końcu.

Sharon spojrzała ze zdumieniem.

- W jaki sposób się tu znalazła?

- Peter! - krzyknął Gordon. - Chodź! Zobacz, co my tu mamy!

Do kuchni wszedł Peter. Także on nie mógł się nadziwić, jakim sposobem księga znalazła się u Sharon.

- Ale dlaczego ktoś położył ją akurat w mojej teczce? - nie mogła zrozumieć dziewczyna.

- To rzeczywiście zastanawiające - oświadczył Gordon.

Peter przerzucał ostrożnie kartki.

- Patrzcie, tu jest jakaś mapa!

Wszyscy troje nachylili się nad biurkiem.

- Wygląda mi to na mapę naszej wyspy - zauważyła Sharon.

- Faktycznie, ale mnóstwo tu dziwnych, obcych nazw.

- Jeśli to starofrancuski, być może pastor będzie w stanie nam pomóc.

- Chyba nie o tej porze! - zdumiał się Peter.

- A która to właściwie godzina? - zapytał Gordon.

- Już minęła północ.

- No tak, to rzeczywiście nie czas na wizyty. Odłożymy to na jutro. Chodźmy więc spać. Księgę zamknę w szafie. Wygląda na to, że jest bardzo cenna.

- Też tak myślę - wtrąciła Sharon. - Poza tym podejrzewam, że ta księga trafiła tutaj...

- ...z zamku - dokończył za nią Peter.

- Dzieło czarownika. Tego prawdziwego, a nie jego ducha.

ROZDZIAŁ XVI

Nadszedł dzień, w którym miał odbyć się ślub Lindy i Petera.

Boże, pozwól mi zasnąć i nigdy więcej nie obudzić się do tego okrutnego życia, modliła się Sharon po wczesnym przebudzeniu. Wiedziała, że odtąd Linda będzie mieszkać tuż za ścianą. Znowu będzie musiała słuchać oskarżeń i przykrych docinków. Bała się poza tym, że Gordon zażąda od niej wyjaśnień w sprawie wypadku z windą. Kto by jej w tej sytuacji uwierzył? Ponad wszystko jednak bała się bliskości Gordona. Teraz, kiedy zrozumiała, jak bardzo go kocha, było jej naprawdę ciężko.

Uświadomiła sobie, że obecność Gordona zawsze wywoływała w niej niepokój. Teraz to uczucie stało się tak intensywne, że wprost trudne do zniesienia. Nagle Sharon zrozumiała, że właściwie już na początku znajomości Gordon zrobił na niej wielkie wrażenie jako mężczyzna i tylko jego pełne rezerwy zachowanie sprawiło, że nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Jeszcze do wczoraj Sharon wydawało się, że nie potrzebuje Gordona, tymczasem wciąż za nim tęskniła. Było to uczucie tak nowe, tak jej nie znane, że nie umiała sobie z nim poradzić. Marzyła, by objął ją czule, otoczył silnymi ramionami, ale wiedziała, że to marzenie nigdy się nie spełni. Jakie czeka mnie życie? myślała. Jak mam zwrócić na siebie jego uwagę? Czy to nie obłąd?

Z ciężkim sercem rozpoczęła kolejny dzień.

Już od dłuższego czasu Gordon i Peter zajmowali się wyłącznie kopalnią. Spodziewali się gości z Kanady; mieli to być fachowcy nadzorujący budowę pieców hutniczych. W miasteczku panowało podniecenie. Murarze spieszyli z robotą, gdyż piece miały wkrótce zostać uruchomione.

Obaj, Gordon i Peter, wracali teraz do domu bardzo późno, by natychmiast paść na łóżko i zasnąć. Sharon spędzała większą część dnia w biurze, gdzie również nie brakowało zajęć. Linda wprowadziła się do nowo poślubionego męża, więc Sharon nie czuła się swobodnie nawet we własnym pokoju. Bała się, że Linda podejmie kolejną próbę pozbycia się Gordona, i starała się nad nim czuwać.

Jak dotąd mąż nie miał czasu porozmawiać z nią o wypadku. Także stara księżka w dalszym ciągu spoczywała w zamknięciu i choć wszyscy troje byli ogromnie ciekawi, jakie kryje tajemnice, nie mieli nawet kiedy o tym pomyśleć.

Któregoś wieczoru Gordon oznajmił:

- No, moja droga, dziś skończyliśmy pierwszy piec, jutro będą gotowe dwa pozostałe. Robotnicy chcą to koniecznie uczcić, dlatego pomyślałem, że warto by urządzić dla wszystkich zabawę. Wystąpimy na niej jako gospodarze, więc postaraj się ładnie wyglądać. Zjawią się też Kanadyjczycy, musimy ich godnie przyjąć.

Sharon nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

- Dajesz mi zaledwie jeden dzień i mówisz, że mam świetnie wyglądać? Przecież ja nie mam żadnej wizytowej sukni!

- Nie możesz kupić czegoś w sklepie?

- W sklepie? Tam wiszą jedynie niemodne suknie dla podstarzałych panien!

- Wybacz, ale ja nie mam pojęcia, jak chcesz się ubrać - westchnął Gordon.

- A może kupiłabym materiał i coś sobie uszyła?

- Rób, co chcesz.

Ale jak uszyć wizytową suknię w ciągu zaledwie jednej doby?

Sharon ogarnęło przyjemne podniecenie. W sklepie znalazła biały, nieco grubszy jedwab, który doskonale nadawał się na elegancką suknię. Potem pomogły jej Margareth i Anna i w końcu Sharon miała taką kreację, o jakiej zawsze marzyła: suknia była mocno dopasowana w talii, z udrapowanym karczkiem. Obszerny dół sukni dochodził aż do ziemi, ramiona zaś były odkryte. Anna upięła włosy Sharon w kunsztowny kok, pozostawiając kilka niesfornych loków luźno opadających na kark.

- Sharon, wyglądasz precudownie! - wykrzyknęła Margareth. - Ręczę, że dziś przyćmisz nawet Lindę!

- Lindę? A co mnie Linda obchodzi? Ona dla mnie nie istnieje.

Ani Margareth, ani Anna nie mogły wiedzieć, że dla Sharon istotne jest tylko, czy spodoba się Gordonowi. Nie miała ochoty zwierzać się nawet przyjaciółkom.

Nareszcie nadszedł oczekiwany wieczór. Zbliżała się pora wyjścia z domu. Gordon zawołał ze swego pokoju:

- Sharon, jesteś gotowa? Już czas!

- Tak, idę.

Gordon ubrany starannie w białą koszulę i czarny garnitur, zapalał właśnie fajkę, kiedy Sharon, ogromnie przejęta, wkroczyła do jego pokoju.

- Czas już... - zaczął Gordon i nagle zaniemówił. - Dobry Boże! - jęknął po chwili.

- Co takiego? Czy coś nie tak? - spytała niepewnie Sharon.

- Nie tak? - powtórzył Gordon, jakby nie mogąc znaleźć właściwych słów.

- Nie dręcz mnie dłużej. Powiedz wreszcie, o co chodzi!

W końcu Gordon opanował się i rzekł:

- Bardzo piękna suknia! Tylko że.... tylko te odkryte ramiona... - tu zrobił nieokreślony ruch dłońmi.

- Mogę je przykryć tym zielonym szalem. I co, teraz lepiej?

- Dużo lepiej - stwierdził. - Chodźmy już.

Otworzył drzwi przed Sharon z niezwykłą jak na niego galanterią i poprowadził żonę w kierunku świetlicy. Zachowuje się tak, jak gdyby nagle odkrył drogocenny minerał, pomyślała z rozbawieniem, ale zaraz posmutniała.

Nie powiedział jednak nic więcej. Szli w milczeniu, jakby byli sobie zupełnie obcy. Sharon odczuwała ogromną treść, po raz pierwszy miała wystąpić oficjalnie u boku męża i chciała wypaść jak najlepiej..

Gdy weszła do środka, na sali rozległ się szmer zachwytu. Goście z Kanady nie odstępowali Sharon na krok, William miał ze wzruszenia łzy w oczach i nawet Peter był nieswój. Wciąż wodził za dziewczyną wzrokiem, w którym zachwyty mieszał się z żalem. Cóż, zawsze był wrażliwy na niewieścią urodę, a tego wieczoru Sharon wyglądała wspaniale.

Ale nie podziw tych mężczyzn sprawił, że Sharon tego wieczoru miała znakomity humor. Dostrzegła oto, że Gordon zerka na nią z prawdziwym zainteresowaniem. Nawet złośliwe docinki Lindy nie zdołały zepsuć jej dobrego nastroju.

- Widzę, że wybrałaś biel: kolor niewinności? No, no... Myślałby kto - rzuciła uszczypliwie Linda, sama ubrana w blad różową suknię, która znakomicie pasowała do jej ciemnych włosów.

Złośliwą uwagę dosłyszał Gordon.

- Daruj sobie dzisiaj ten temat, Lindo - rzucił sucho.

Linda popatrzyła na niego ze złośliwym uśmiechem. Zauważyła, rzecz jasna, że Gordon i Sharon mają oddzielne sypialnie, i nie omieszkała tego skomentować. Po tej niezbyt przyjemnej wymianie zdań Linda przeszła na drugi koniec sali. Margareth była zdania, że Linda nie chce, by porównywano ją tego wieczoru z Sharon.

Na zabawie zjawili się wszyscy mieszkańcy wyspy. Goście z Kanady, a także co odważniejsi z górników, nieustannie prosili Sharon do tańca. Teraz nikt już nie pamiętał, że całkiem niedawno traktowano ją jak zadżumioną. Tego wieczoru Sharon przyćmiła urodą wszystkie mieszkanki wyspy. Była przy tym miła i bezpośrednia, tak że tancerze jej nie odstępowali. Sharon nikomu nie odmawiała. Czuła się w pewnym stopniu gospodynią, była przecież żoną zarządcy kopalni. Tak bardzo pragnęła, żeby Gordon był z niej dumny.

Ale Gordon zachowywał się jakoś dziwnie. Nie tańczył; stał zamyślony ze

szklaneczką whisky w dłoni i od czasu do czasu wymieniał z gośćmi jakieś zdawkowe uwagi. Wciąż jednak patrzył na Sharon, a jego twarz była zacięta i skupiona.

Po skończonym tańcu Sharon z uśmiechem podeszła do męża.

- Dobrze się bawisz? - zapytał, ale w jego głosie więcej było pretensji niż prawdziwego zainteresowania.

- Owszem, tylko się już trochę zmęczyłam.

- Mówiłem przecież, żebyś nie zdejmowała szala! - rzucił gniewnie.

- Kiedy wciąż mi się zsuwa - rzekła tonem usprawiedliwienia. - Nie tańczyliśmy jeszcze ani razu - dodała z lekkim wyrzutem.

- Ja się do tego nie nadaję. Byłbym natomiast wdzięczny, gdybyś trochę ograniczyła te flirty.

Sharon, urażona, zbladła, a jej oczy wprost miotały skry. Tak rozgniewanej żony Gordon nigdy jeszcze nie widział.

- To właśnie dla ciebie staram się być gościnną i miłą! Jeśli nie widzisz różnicy między uprzejmością a flirtem, to jesteś...

W tej chwili przed Sharon skłonił się Peter, prosząc ją do tańca.

- Proszę bardzo, jest wolna - powiedział obrażony Gordon.

Sharon całkiem już straciła dobry humor, ale poszła zatańczyć z Peterem. Od czasu do czasu zerknęła na męża, który stał teraz samotnie przy drzwiach, nawet na moment nie spuszczał jej z oczu. Uśmiechnęła się do niego lekko, jakby przepraszająco, ale on na to nie zareagował.

Co się z nim dzieje? Czemu tak dziwnie na mnie patrzy? Jeszcze niedawno wcale się mną nie interesował, a teraz nieustannie mnie śledzi.

Zmartwiona, nie słuchała nawet, co Peter do niej mówi.

Kiedy orkiestra przestała grać, Sharon znów wróciła do Gordona. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

- Idziemy - powiedział zmienionym głosem Gordon, mocno, aż do bólu ściskając jej rękę.

Gdy bez słowa szli długim korytarzem do mieszkania, Sharon opanowała nieprzyjemne przecucie.

Gordon otworzył drzwi do pokoju Sharon, w którym wcześniej był tylko jedyny raz.

- Wchodź do środka! - polecił ostro.

Serce Sharon biło niespokojnie, gdy drżącymi dłońmi zapalała lampę. Nagle poczuła, że otoczył ją ramionami, i odwróciła się do niego.

Patrzyła mu teraz prosto w oczy; widziała w nich powagę. Jego pierś wznosiła się i opadała w niespokojnym oddechu, usta miał mocno zaciśnięte. Sharon była zaskoczona i przerażona zarazem. Nie miała pojęcia, co ją teraz czeka. Nie potrafiła przewidzieć zachowania tego zwykle tak opanowanego mężczyzny.

Stalowe dłonie zaciskały się coraz mocniej wokół jej ramion. Bała się. Zastanawiała się, czy mimo woli swym zachowaniem na zabawie nie uraziła Gordona. W jego spojrzeniu dostrzegła jednak raczej rozpacz, a nie gniew.

- Dlaczego jesteś taka piękna, Sharon? - szepnął.

Sharon nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Naprawdę tak uważasz? - pytała zaskoczona,

- Kiedy Peter mówił, że jesteś bardzo piękna, musiałem mu przyznać rację. Dotąd jednak nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Uroda to tylko zewnętrzna oprawa, która z czasem przemija. Nie za wygląd tak bardzo cię ceniłem. Ale dzisiejszego wieczoru...! Ci wszyscy mężczyźni, wpatrzeni w ciebie jak w obrazek! To wprost nie do zniesienia!

Usłyszała tylko niewyraźne, zdławione westchnienie, po czym zatonęła w jego ramionach. Jego twarz dotykała jej włosów, niespokojne dłonie gładziły jej plecy. Sharon czuła drżący oddech Gordona tuż przy skroni.

On mnie kocha, pomyślała. Trzyma mnie w ramionach! To nie sen! Boże, nie ma dla mnie większego szczęścia!

- Och, Gordon - szepnęła, obejmując go za szyję. - Tak się bałam, że nigdy nie będzie ci na mnie zależało. Było mi tak ciężko, nie miałam już sił, by dłużej czekać, ale teraz nareszcie... teraz należysz tylko do mnie. Mój ukochany, mój jedyny Gordon!

Sharon raz po raz wypowiadała jego imię, tak jakby uczyła się go od nowa na pamięć.

Jego usta znalazły się tuż przy jej ustach, a Sharon ogarnęło niewypowiedziane szczęście. Przytuliła się do męża gorąco, z oddaniem. Czuła na ciele jego ręce, czuła pocałunki na szyi, chętnie poddawała się pieszczotom, nie zauważając, że stają się coraz bardziej brutalne. Nie stawiała oporu, gdy podniósł ją i ułożył na łóżku. Należała do niego, była zakochana i kochana!

Patrzyła mu czule w oczy, gładziła ukochaną twarz. Pragnęła dać mu całą głęboką miłość, całe ciepło i dobroć, jakie w sobie nosiła.

- Gordon, tak cię kocham! - wyszeptała wzruszona.

I wtedy rzucił zachrypniętym głosem:

- A więc nie zapomniałaś jeszcze swoich umiejętności? Teraz, kiedy już i mnie usidliłaś, mówisz, że kochasz, tak? Nie masz za grosz wstydu! Zachowujesz się jak

prawdziwa dziwka.

Sharon jęknęła. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy, to musi być zły sen! Ale Gordon mówił dalej.

- Dlaczego to inni mogli się z tobą zabawić, a ja nie? Jak było z Peterem, jakie to miłosne igraszki odbywały się w biurze pod moją nieobecność? Mnie też się przecież coś należy! W końcu jesteś moją żoną, tak czy nie? Tylko się nie opieraj, bo nic ci to nie pomoże!

Przerażona brutalnością męża Sharon próbowała się wyswobodzić z jego ramion, ale daremnie. On zaś krzyczał:

- A może nie jestem dostatecznie przystojny? Może czekasz na zapłatę? Proszę bardzo! Oto ona!

Sięgnął ręką do kieszeni, wyciągnął banknot i położył go na stoliku. Upokorzona Sharon nie była już w stanie dłużej powstrzymać łez.

- Jeszcze ci mało? No to jeszcze jeden!

Opór i płacz dziewczyny jeszcze bardziej rozdrażniły Gordona. Już nie panował nad sobą. Sharon starała się uwolnić z jego objęć, gdy przywarł wargami do jej warg, ale bez powodzenia. W końcu musiała się poddać. Przymknęła oczy, z których płynęły łzy, i szepnęła:

- O dobry Boże!

ROZDZIAŁ XVII

Gordon stał przy oknie wpatrzony w ciemną noc. Przytłaczała go tak wielka rozpacz, że ledwie mógł oddychać.

Co ja narobiłem? myślał. Chyba sam diabeł musiał mnie opętać! Jak mogłem postąpić tak z kobietą, która nigdy nie wyrządziła mi najmniejszej przykrości?

Odwrócił głowę i spojrzał na drobną istotę, która przysiadła na brzegu łóżka, kuląc ramiona, i bezgłośnie łkała.

Czy to zazdrość sprawiła, że dał się ponieść zwierzęcej żądzy? Nieoczekiwanie odkrył, jak wielkim skarbem jest jego własna żona, i poczuł się boleśnie dotknięty tym, iż - jak sądził - należała już do innych mężczyzn. Na dodatek sporo wypił, a przecież taki był zmęczony. A może stało się tak dlatego, że nigdy tak naprawdę nie interesował się kobietami?

Nic jednak nie mogło usprawiedliwić jego brutalności. Wyrządził Sharon ogromną krzywdę, i to nawet nie o sam jego postępek chodzi. Najgorsze były słowa, jakie wypowiedział, kiedy wyznała mu swoją miłość. Upokorzył ją tak straszliwie właśnie wówczas, gdy po raz pierwszy mu zaufała. Czy coś takiego można wybaczyć drugiemu człowiekowi?

A jednak, o ironio, jego postępek pozwolił mu poznać całą prawdę o Sharon. Musi teraz powiedzieć o tym wszystkim. Żał mu było żony, ale nie mógł postąpić inaczej.

- Chodź, Sharon - rzekł bezbarwnie.

Podniosła oczy i odsunęła się od niego.

- Nie skrzywdzę cię nigdy więcej - zapewnił. - Tak wiele chciałbym ci wyznać, ale to zostawmy na potem. Najpierw trzeba wyjaśnić rzecz najważniejszą.

Patrzyła na niego z lękiem. Nie wiedziała, czego jeszcze może się po nim spodziewać.

- Nie będzie to dla ciebie przyjemne - dodał z westchnieniem. - Ale musisz przez to przejść.

Wstała i bez słowa podążyła za nim. Nie przyjęła jednak jego wyciągniętej dłoni.

Gordon poprowadził żonę ku świetlicy, gdzie wciąż trwała wesoła zabawa.

Sharon zatrzymała się.

- Nie! Tylko nie tam!

- Sharon, zrozum, ja muszę to zrobić. Mnie też to nie sprawi przyjemności, ale to dla twojego dobra...

Sharon poddała się i ruszyła apatycznie za Gordonem. Właściwie było jej już

wszystko jedno. Czy mogło ją spotkać coś jeszcze gorszego?

Gordon poprowadził Sharon na oświetlone podwyższenie. Gości z Kanady już nie było, pozostali tylko mieszkańcy wyspy.

Gordon dał znak muzykom, by przerwali grę, i poprosił wszystkich, by podeszli bliżej.

- Stoi przed wami moja żona, Sharon, która przybyła na wyspę oskarżona o zabójstwo. Mimo że zawsze twierdziła, że jest niewinna, tak naprawdę nie wierzyliśmy jej słowom. Wszyscy posądzaliśmy Sharon o najgorsze i nieustannie jej dokuczaliśmy. Została wykluczona z naszej społeczności, wyrzucona z baraku mieszkalnego i jadalni, opluwano ją i pogardzano nią, nawet dopuszczono się próby jej ukamienowania. Chciałbym teraz zapytać, czy jest na tej sali choćby jedna osoba, która może jej rzeczywiście coś zarzucić?

Nikt nie odpowiedział, trwała pełna napięcia cisza.

W końcu przerwała ją Doris:

- Zrzuciła winę na Lindę Moore! - wykrzyknęła.

- Czy naprawdę tak było? - spytał z naciskiem Gordon. - Sharon raz tylko opowiedziała swoją wersję całej tej historii, i to pod przymusem. Czy to nie Linda na prawo i lewo rozpowiadała, jakim potworem jest Sharon?

W sali panowała cisza. Napięcie rosło z minuty na minutę.

- Dzisiaj zagadka została wreszcie rozwiązana. Sharon jest niewinna.

Przez salę przeszedł szmer zaskoczenia, a potem rozległ się głos Doris:

- I pan myśli, że my w to uwierzemy? Przecież są dowody przeciwko Sharon. Wystarczy tylko spojrzeć na Lindę, żeby...

- No właśnie! - przerwał jej Peter. - Nie chcesz chyba powiedzieć, Gordonie, że moja żona wszystko zmyśliła? Wystarczy porównać je obie!

- Słusznie. Mamy dziś wreszcie taką okazję. To pozwoli nam ustalić która z nich kłamie. Pozwól tutaj, Lindo. Mam do ciebie kilka pytań.

Linda weszła na scenę krokiem pełnym gracji. Na jej ustach Sharon dostrzegła pogardliwy uśmiech. Sama stała bez najmniejszego ruchu, nie reagując na to, co działo się wokół niej. Nogi miała jak z waty, a myśli wydawały się ciężkie niczym ołów.

- Co mianowicie chciałby pan wiedzieć? - spytała Linda głosem słodkim jak miód.

Gordon wziął głęboki oddech. Widać było, że dobranie właściwych słów przychodzi mu z trudem.

- Nie zaprzeczysz, że morderstwa dokonała kobieta lekkich obyczajów?

- Naturalnie, że nie - odparła z przekonaniem Linda. - Dlatego nie mogę zrozumieć, jak Sharon śmie rzucać na mnie taką potwarz. Chyba nie wie, co mówi. Wszyscy w mieście

znali kobietę w czerwonej pelerynie, która, starannie ukrywając swą twarz, odwiedzała wielu panów.

- Ach, tak. O ile wiem, Sharon rzeczywiście miała taką pelerynę, ale ty podobno taką samą.

Linda zaśmiała się triumfująco.

- Tak twierdzi Sharon, ale to naturalnie jedno wielkie kłamstwo. Nie ma nic na swoją obronę, więc próbuje całą winę zrzucić na mnie.

- Czy Sharon była w domu, w którym popełniono zabójstwo, by zabrać jakąś parę rękawiczek, o których podobno zapomniawsz?

Linda wyglądała na szczerze zdziwioną:

- Przecież to jasne, że Sharon po prostu zmyśliła całą tę historię. Widziała ją nawet gospodyni...

- Tak. I zdaje się, przysięgała nawet, że kobieta w czerwonej pelerynie jest przyjaciółką właściciela kamienicy?

- Oczywiście - odparła Linda.

- Czy możesz potwierdzić jej słowa?

- To w ogóle nie podlega dyskusji, ale mimo to przysięgam na moją zmarłą matkę.

Gordon odetchnął z ulgą:

- Dziękuję ci. Tak więc Sharon jest wolna.

Po tych słowach zapanowało ogólne poruszenie. Zdezorientowana Linda zapytała:

- O co w tym wszystkim chodzi? Przecież to jakaś bzdura!

Gordon nienawidził siebie samego za to, co miał za chwilę zrobić: zdecydował się zdradzić najintymniejsze tajemnice ich małżeństwa wszystkim obecnym na sali po to, by na zawsze uwolnić żonę od strasznego oskarżenia.

- Sharon do dzisiaj była dziewicą - powiedział i ukrył twarz w dłoniach.

Wszyscy zamarli, po chwili po sali przebiegł szmer przyciszonych głosów, a w końcu zapadła taka cisza, że słyhać było przelatującą muchę.

Linda stała teraz bez ruchu. Kiedy, otrząsnąwszy się z szoku, chciała wyjść z sali, Gordon położył na jej ramieniu swoją ciężką dłoń.

Oczy wszystkich skierowały się teraz na Petera. Powinien przecież ująć się za żoną! Także Linda patrzyła na niego w nadziei, że stanie w jej obronie.

Peter pokręcił z niedowierzaniem głową. Był kompletnie zdruzgotany. Zrozumiał wreszcie, jak bardzo się pomylił. W oczach Lindy zabłyśła nienawiść.

Teraz odezwała się jedna z kobiet:

- Wreszcie zrozumiałam: to Linda swoim przewrotnym gadaniem sprawiła, że chcieliśmy zabić Sharon. Doris sama by na to nie wpadła!

- Tak, tak - dodał Tom. - I to ona mnie namawiała, żebym uszkodził linę w windzie! Nie zgodziłem się na to, ale wszyscy wiemy, że winda i tak spadła. Jestem pewien, że Linda zrobiła to własnymi rękami! Chciała, żeby Peter został głównym zarządcą. Wtedy ona mogłaby nareszcie zniszczyć Sharon, jedyną osobę, która знаła ją tak naprawdę.

Wykorzystując zamieszanie, jakie zapanowało w świetlicy, Linda wybiegła za drzwi.

Andy i kilku innych górników chciało biec za nią, ale Gordon ich powstrzymał.

- Dajcie spokój. I tak daleko nie ucieknie w tych ciemnościach. Mam zamiar wysłać ją pod strażą do Anglii, gdzie w końcu odpowie za swoje czyny. Tym samym Sharon zostanie uwolniona od ciężącego na niej oskarżenia i jeśli taka będzie jej wola, bezpiecznie powróci do swojej ojczyzny.

I wtedy Andy powiedział:

- Mam nadzieję, że Sharon nas nie opuści.

- Wszyscy mamy taką nadzieję - z całą powagą potwierdził Gordon.

Popatrzył na stojącą obok bladą jak kartka papieru dziewczynę. Miała spuszczone wzrok i lekko drżały jej ręce.

- Słyszałaś, Sharon? - spytał łagodnie Gordon. - Teraz jesteś wolna i nikt już nie będzie cię o nic oskarżał.

Dziewczyna podniosła głowę, a Gordon przeraził się, ujrawszy wyraz jej oczu.

- Wolna? - wyszeptała. - Wolna? Ale za jaką cenę?

Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Gordon jej nie podtrzymał.

- Moje ty biedactwo - szeptał nad zemdloną Sharon. - Czy twoje cierpienia nigdy się nie skończą? Dlaczego to ja wciąż jestem ich główną przyczyną?

ROZDZIAŁ XVIII

Gdy Sharon obudziła się następnego ranka, zobaczyła przy swym łóżku Margareth Warden.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała przyjaciółka ze współczuciem. - To musiał być dla ciebie ciężki dzień. Że też Gordon nie mógł ci oszczędzić tego upokarzającego przesłuchania! No, ale inaczej nadal ciążyłoby na tobie oskarżenie. Gordon obawiał się o twoje zdrowie, dlatego prosił mnie, żebym z tobą dziś została. Co ty na to?

- Dziękuję, Margareth, ale to nie jest konieczne. Nie chciałabym sprawiać ci kłopotu, poza tym czuję się już zupełnie nieźle.

- Jesteś pewna? No, dobrze. Gordon chciałby z tobą porozmawiać, zaraz jak się obudzisz, więc może go poproszę?

W pierwszej chwili Sharon instynktownie odwróciła twarz do ściany, ale natychmiast opanowała się i rzekła:

- Powiedz mu, że może ze mną mówić, kiedy zechce.

Margareth wyszła z pokoju. Sharon przez drzwi słyszała, że rozmawia o niej z Gordonem, który już po chwili stanął przed łóżkiem Sharon.

- Usiądź - powiedziała obojętnie.

Przysiadł na skraju pościeli. Wyglądało na to, że chce pogłodzić dłoń Sharon, ale ona natychmiast schowała rękę pod kołdrę.

Gordon zagryzł wargi

- Sharon, naprawdę nie wiem, od czego zacząć - rzekł niepewnie. - Nie mam nawet odwagi prosić cię o wybaczenie. Zachowałem się jak ostatni dzikus. Nie wiem, czy zapomnisz, że nie wierzyłem w twoją niewinność. Chciałbym jednak prosić, żebyś choć spróbowała mnie zrozumieć. Natomiast tamte słowa... - przerwał skruszony, zagryzając wargi. - Myślałem, że wykorzystując swą urodę, chcesz mnie usidlić. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że mogłabyś coś do mnie czuć... Dopiero potem pojąłem, jak bardzo cię zraniłem. Co mam zrobić, żebyś mi to wybaczyła?

- To był mój błąd, po prostu nieporozumienie. Przez chwilę sądziłam, że też mnie kochasz.

Gordon westchnął ciężko.

- Gdybym teraz powiedział ci, że tak jest w istocie, nigdy byś nie uwierzyła. Zresztą takie słowa byłyby obrażą dla prawdziwego uczucia, bo ja nie potrafię nikogo kochać.

Przecież miłość nie pyta, czy ktoś jest winny, czy też nie. Sharon, ile ja bym dał, żeby jeszcze raz ujrzeć cię szczęśliwą! Tyle mi ofiarowałaś, a ja wszystko brutalnie podeptałem. Jeśli zechcesz opuścić wyspę, zrozumieję tę decyzję. Mimo to błagam cię, żebyś została ze mną. Daj mi szansę, ja naprawdę bardzo żałuję i pragnę wszystko naprawić.

Sharon pokiwała głową.

- Oczywiście, że mogę zostać. I tak nie mam co ze sobą zrobić. Obiecuję, na przyszłość oszczędzę ci wszelkich wyznań.

Gordon był zupełnie bezradny.

- Kochanie, nie mów do mnie w ten sposób! Na miłość boską, Sharon! Posłuchaj mnie i pozwól wszystko wyjaśnić!

Starął się wytłumaczyć, że właściwie dotychczas nie miał żadnych doświadczeń z kobietami. Wczoraj był bardzo zmęczony, alkohol podziałał na niego wyjątkowo szybko. Sharon wyglądała tak pięknie, że obudziły się w nim pożądanie i zazdrość. Niestety, nie zdołał zapanować nad tymi uczuciami...

Sharon słuchała jego nieporadnych wyjaśnień obojętnie.

Kiedy skończył, westchnął i wstał z zamiarem odejścia.

- Spróbuj teraz zasnąć - powiedział na pożegnanie. - I pamiętaj, żeby zamknąć drzwi. Boję się, że Linda może tu wrócić.

Wyszedł, a Sharon leżała, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w sufit. Coś się w niej załamało, coś pękło. Wydawało się jej, że już nigdy nie będzie umiała nikomu okazać uczuć.

- A przecież ostrzegałem! - pastor załamywał ręce. - Przeczuwałem, że ty doprowadzisz ją do tragedii.

Od zabawy w świetlicy minęły dwa dni. Gordon siedział ze zwieszoną głową na schodach kościoła w popołudniowym słońcu, które, chyląc się ku zachodowi, oświetlało ryneček ostatnimi promieniami.

- Co mam uczynić, żeby odzyskać jej zaufanie?

Warden chodził bez słowa w tę i z powrotem, w końcu zatrzymał się przy Gordonie.

- Naprawdę nie wiem - rzekł wreszcie. - To wyjątkowo wrażliwa dziewczyna. Czy ty nie rozumiesz, jak wielką krzywdę jej wyrządziłeś? Jak ty ją mało znałeś! Przecież ona nigdy by nie wyznała ci swojej miłości, gdyby naprawdę nie kochała. Złamałeś jej serce. Teraz Sharon wciąż będzie słyszała twoje okrutne słowa. Zaufała ci bez reszty, a ty ją tak poniżyłeś! Takiej krzywdy nie można ot tak po prostu zapomnieć. Nie, nie jestem w stanie tego pojąć.

Gordon, coś ty narobił najlepszego?

- Ale co ja mam teraz począć?

- Co masz począć? Nic, absolutnie nic! Może ktoś inny byłby w stanie odzyskać jej zaufanie, ale nie ty! To niemożliwe!

- Wszystko bym oddał, żeby to odwrócić.

- Czy ty w ogóle kochasz Sharon? - zapytał zamyślony pastor.

Gordon nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Ja...? Skąd ja mam wiedzieć? Sharon jest jedyną osobą na której mi kiedykolwiek zależało, która coś dla mnie znaczy. Ja... ja ją lubię. Czy to nie wystarczy?

- Wygląda na to, że więcej nie można od ciebie oczekiwać - rzekł ze smutkiem duchowny.

- Poza tym jest mi jej tak okropnie żal.

- Żebyś się czasem nie ważył jej tego okazywać, bo to jeszcze bardziej by ją zraniło. Jak ona się zachowuje? Nie rozmawia z tobą?

- Przeciwnie, rozmawia jak zwykle. Nie wygląda też na obrażoną, ale w ogóle się nie śmieje, jest jakaś inna. Jakby... martwa. Kiedy się do niej zbliżam, odruchowo się odsuwa.

- Trudno się jej dziwić - Warden pokiwał głową ze zrozumieniem.

Gordon skrył twarz w dłoniach. Milczał przez chwilę, a potem zaczął zdławionym głosem:

- Muszę, muszę za wszelką cenę odzyskać jej przyjaźń, bo inaczej co to wszystko jest warte? Tyle było ciepła i serdeczności w jej spojrzeniu, a teraz nic z tego nie zostało. Wszystko zniszczyłem. Wierzyłem święcie, że uczucia nikomu nie są potrzebne do szczęścia!

Warden usiadł obok Gordona.

- Posłuchaj. Wydaje mi się, że doszedłeś do punktu zwrotnego. Twoje życie musi się odmienić. Zresztą ty sam już jesteś inny. Szkoda tylko, że stało się to kosztem radości, jaką nosiła w sobie Sharon. Ta dziewczyna w żadnym razie nie zasłużyła na taki los.

- Ma pastor rację. Tyle się nacierpiała z powodu fałszywego oskarżenia, a ja, zamiast jej pomóc, jeszcze bardziej ją skrzywdziłem! Ale chyba rzeczywiście się zmieniam. Jeszcze do niedawna liczyła się dla mnie tylko praca. A teraz? Choćby te piece hutnicze. Nawet Kanadyjczycy mnie za nie pochwalili, ale ja nie czuję żadnej satysfakcji, żadnej dumy. To przestało być ważne.

Słońce zniknęło za horyzontem, więc obaj wstali ze schodów.

- Mam jeszcze jedną prośbę. To bardzo ważne. Mamy pastorowi coś ciekawego do pokazania - dorzucił Gordon, patrząc na wyraźny kontur zamkowych ruin na tle wieczornego

nieba. - Już wcześniej chciałem to zrobić, ale tyle się ostatnio wydarzyło...

- Dobrze, zwłaszcza że Margareth jest pewnie u Sharon.

Gordon skinął głową.

- Prosiłem, by czuwała przy Sharon. Wciąż nie wiemy, gdzie może być Linda, szuka jej kilku mężczyzn.

Ruszyli w kierunku budynku biurowego.

- Czy Linda mogła targnąć się na swoje życie? - spytał Warden.

- W żadnym razie. To nie jest osoba, która uciekałaby się do tego rodzaju rozwiązań. Jestem pewien, że nadal jest na wyspie. Rano przeszukaliśmy każdy milimetr statku, który właśnie dzisiaj odpłynął. Tam jej nie było.

- Zdumiewające, że nikt jej jeszcze nie znalazł, minęły już dwie doby od jej ucieczki. Gdzie ona może się podziewać?

- Nie mam pojęcia - odparł zamyślony Gordon - Wiem natomiast, że stać ją na wszystko, i dlatego się boję. Dopiero teraz zrozumiałem, że Sharon miała tego świadomość i nieustannie czuwała nade mną, zwłaszcza po wypadku z windą. Tylko że teraz jej już na niczym nie zależy.

W saloniku zgromadziła się spora grupka gości. Na prośbę Gordona zjawili się doktor Adams i sklepikarz, Peter, Margareth i pastor Warden, Anna i Andy.

- Wielki Boże! Skąd wzięła się tu ta księga? - wykrzyknął zdumiony Warden, gdy pokazano mu znalezisko. - To rzeczywiście francuski, ale jaki dziwny!

- Czy może pastor coś z tego odcyfrować? - zapytał z napięciem w głosie Peter, który właśnie wrócił z bezowocnych poszukiwań Lindy.

- Częściowo, ale nie jestem pewien, czy powinienem to robić! - odpowiedział zafrasowany pastor.

- Dlaczego? - zdumiał się Gordon.

- Dlaczego? Toż to czarna magia! Aż roi się tu od zaklęć i magicznych receptur!

- Czy to znaczy, że księga jest dziełem francuskiego właściciela zamku? - Peter był coraz bardziej zaciekawiony.

- Z pewnością. To jakby jego własny dziennik, ale nie taki zwyczajny. Z lękiem myślimy o czarownicach, które potajemnie sporządzają straszliwe mikstury, by potem odprawiać czary na cmentarzu w noc przy pełni księżyca, choć to tylko bzdurne bajanie. Ta zaś księga jest naprawdę straszna. Wydaje się, że piszący ją człowiek bez trudu przenikał ludzkie myśli. Jak na tamte czasy musiał posiadać głęboką wiedzę i... nie, to zbyt odrażające!

Pastor z nie udawanym wstrętem odsunął księgę, ale zaraz sięgnął po nią Peter.

- Może to i dobrze, że on nie żyje... - skomentował sucho.

- Chyba tak rzeczywiście jest lepiej! - wykrzyknął wzburzony duchowny.

- Czy to możliwe, że on zjawia się tu jako duch? - spytała zaniepokojona Margareth.

- Nie, w to nigdy nie uwierzę.

Gordon bez powodzenia starał się pochwycić spojrzenie żony. Sharon siedziała bez słowa, przysłuchując się tylko dyskusji. Gordon z troską obserwował jej apatyczne zachowanie. Wiedział dobrze, że jeszcze kilka dni wcześniej zadawałaby mnóstwo pytań i żywo uczestniczyła w rozmowie.

- Spójrzcie! - wykrzyknął podniecony Peter. - To słowo chyba musiało zostać podkreślone całkiem niedawno! Te strony są najbardziej zniszczone.

Pastor pochylił się nad księgą i usiłował odczytać.

- Sumak... Nie, zupełnie nie wiem, co by to mogło znaczyć. Kartki są zbyt zniszczone.

- Gdzieś słyszałam to słowo, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie - Margareth zmarszczyła czoło.

- To słowo z pewnością odgrywa ważną rolę. Podejrzewam, że podkreślił je ten, kto podrzucił Sharon księgę - wtrącił się wreszcie Gordon.

- Zapiszmy je! Niech pastor jeszcze nam coś powie na temat tej mapy na końcu księgi - poprosił rezolutnie Peter. - Tu, gdzie znajduje się rynek, jest coś napisane, ale co...?

Duchowny przetłumaczył:

- Obóz... Być może chodzi o Indian, rybaków i myśliwych. Natomiast kolonizatorzy zamieszkiwali prawdopodobnie tereny, na których teraz stoją nowe domy.

- A to co? - zapytał Gordon. - W lesie, tam gdzie znajduje się najdalszy, północno-zachodni fragment wyspy? Tu jest też coś napisane.

Tym razem nawet Sharon się zainteresowała.

- „Vallee de la...” Literki są takie małe, że trudno je odróżnić - powiedziała. - Musi to być mniej więcej w okolicy, gdzie ogarnęło mnie to dziwne zamroczenie.

- Pokażcie mi to zdanie - rzekł Warden. - To miejsce nazywa się Dolina Śmierci.

- A więc owa dolina z opowiadania Sharon już od dawna wiąże się z jakąś mroczną tajemnicą - zauważył Peter.

- Chyba musimy się tam wreszcie wybrać. I do zamku także - dorzucił Gordon.

- Protestuję! - krzyknął doktor Adams. - Chodziliście tam tyle razy i co z tego wynikło? Nie mam zamiaru leczyć kolejnych rannych.

- Tak czy owak musimy tam dotrzeć - powiedział zdecydowanie Gordon. - Jutro po

południu kończę rozbudowę kopalni i mam zamiar zrobić sobie parę dni wolnych. Chcę je poświęcić na rozwikłanie tajemnicy ruin.

- A co z kradzieżami chalkopirytu? - zapytał Peter.

- O nich też pamiętam.

Warden nadal w zamyśleniu studiował mapę.

- Jest tu jeszcze jakaś dziwna, szeroka droga, która prowadzi z zamku przez ową „Dolinę Śmierci”. Nigdy jej tu nie widziałem!

- Rzeczywiście. Ona nie istnieje - powiedział sklepikarz. - Jestem tego pewien. Nie raz spacerowałem w tamtych okolicach i na żadną drogę nie natrafiłem.

- Udało ci się dotrzeć do tej strasznej doliny?

- Nie, ale podobnych dolinek jest w okolicy mnóstwo.

Zebrani na moment zamilkli, jakby temat został wyczerpany. Margareth zapytała Petera:

- I co, udało wam się wreszcie odnaleźć Lindę?

Na twarzy Petera pojawił się cień rozgoryczenia.

- Nie, i wcale mnie to nie martwi. Skóra mi cierpnie na samą myśl o niej. To bezwzględna kobieta, która ukrywała swoje prawdziwe ja pod maską nieporadności. Omamiła mnie i zawiodła przed ołtarz. I pomyśleć, że kiedyś miałem okazję wybrać Sharon!

- To byłby błąd, Peter - cicho powiedziała Sharon.

- No tak, może i masz rację. Na mnie nigdy tak nie patrzyłaś jak na Gordona.

Gordon podniósł się tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział, przewróciło się z łoskotem. Stał przy oknie odwrócony plecami do zebranych.

- Co ci się stało, Gordon? - spytał zdumiony jego reakcją Peter.

- Nic, zupełnie nic - odpowiedział tamten zduszonym głosem.

- Myślę, Peter, że nie powinieneś podejmować teraz spraw prywatnych - zauważyła Margareth.

- To prawda, poza tym na nas już czas - dodał pastor. - Jeśli pozwolicie, wezmę księgę do domu, żeby się jej dokładniej przyjrzeć. Może uda mi się rozszyfrować słowo „sumak”?

Gdy wszyscy sobie poszli, Sharon pogasiła lampy i wróciła do swojego pokoju. Na dworze wiatr szumiał w koronach drzew. Nadeszła jesień, pora sztormów. Od strony morza dochodził huk fal rozbijających się o skalisty, stromy brzeg.

Sharon pomyślała o Lindzie, która teraz ukrywa się gdzieś w mroku nocy i jest sama jak palec.

Przebrała się w nocną koszulę i usiadła na brzegu łóżka. Była bardzo zmęczona, ale

mimo to nie chciało jej się spać. Dręczyły ją złe, przygnębiające myśli.

Na stoliku stał bukiet ostatnich jesiennych kwiatów. Dostała je od Petera, który w ten sposób, bez słów, prosił o wybaczenie. Rzeczywiście, nie raz boleśnie zranił Sharon, ale teraz to nie miało dla niej żadnego znaczenia.

Od chwili, gdy pomyślała, że już nigdy nie spojrzy Gordonowi w oczy, minęły dwa długie dni. A dziś... Sharon westchnęła.

Najgorsze było to, że wciąż nie potrafiła odnosić się do niego obojętnie. Gdyby mogła przestać go kochać, nie cierpiałaby aż tak bardzo. Kiedy jednak pojawiał się w pobliżu, odczuwała ból w sercu. Choć Gordon nie kochał Sharon, ze wszystkich sił próbował okazać żal i skruchę. Ale to i tak nie miało żadnego sensu. Sharon miała świadomość, że już nigdy nie zdoła się przed nim otworzyć. Zupełnie jakby między nimi wyrósł wysoki mur. Gdyby go kiedyś zburzyła, mąż znów mógłby ją zranić.

Westchnęła głęboko i położyła się do łóżka.

W chwilę potem zerwała się na równe nogi. Okno zadrżało pod wpływem silnego uderzenia.

Może to wiatr, pomyślała.

Sharon podeszła do okna i ostrożnie odsunęła firankę.

Po niebie pędziły ciemne chmury, wicher gwałcił gałęzie drzew. Na tle szyby dostrzegła dziwny, duży cień, ale gęsty mrok sprawiał, że nie mogła określić, co właściwie widzi. W pewnej chwili na szybie odbiły się dwa lśniące punkty.

Co się dzieje? Przecież w pokoju mam tylko jedną lampę!

Cień pochylił się w kierunku okna i wtedy Sharon ujrzała przerażającą twarz o żółtych, płomiennych ślepiach.

ROZDZIAŁ XIX

Sharon krzyknęła przerażona i odskoczyła od okna. W okamgnieniu znalazła się przy drzwiach i teraz mocowała się z zamkiem. W końcu udało jej się wydostać z pokoju. Wpadła prosto w ramiona Gordona.

- Usłyszałem najpierw jakiś głuchy stuk, a zaraz potem twój krzyk. Co się stało? - zapytał zdenerwowany.

Dziewczyna długo nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Demon! Czarownik! Tam, za oknem!

Gordon przytknął twarz do szyby.

- Coś się tam poruszyło, ale już zniknęło! Poczekaj na mnie, zaraz wrócę.

- Nie! Błagam, nie zostawiaj mnie samej! Boję się też o ciebie!

Gordon zatrzymał się.

- Może rzeczywiście najlepiej będzie, jeśli zostanę z tobą. Na dworze jest całkiem ciemno, więc i tak nic nie zobaczę. Ale że odważył się przyjść aż tutaj? Zaczyna mnie to naprawdę niepokoić, nigdzie nie jesteśmy już bezpieczni. Właściwie należałoby chyba ostrzec wszystkich mieszkańców wyspy, a może nawet podjąć poszukiwania. Ale czuję, że moje miejsce jest dziś tutaj. Pojutrze będę miał wolne i wtedy spróbujemy go poszukać. Gdybym tylko wiedział, w jaki sposób moglibyśmy uchronić się przed ranami...

- Czy myślisz, że tym razem chciał zabrać księgę?

- Nie, nie wydaje mi się - uśmiechnął się Gordon.

- A co by było, gdyby tu wszedł?

- Słonko, nie daj się ponieść fantazji! Ów rzekomy duch z pewnością nie potrafi przenikać przez ściany, za to rękę!

- Gordonie - zaczęła niepewnie Sharon. - Nie odważę się zostać sama. Tak okropnie się boję. Czy mogłabym posiedzieć do rana w twoim pokoju w fotelu?

Twarz Gordona rozjaśniła się w ciepłym uśmiechu.

- Moja mała Sharon! Jeśli chcesz, możesz nawet spać w moim łóżku. Jest wystarczająco szerokie, zmieścimy się w nim oboje. Pomiedzy nami położę miecz, niczym za czasów Tristana i Izoldy. Obiecuję, że nic ci nie zrobię.

Po chwili namysłu Sharon się zgodziła.

- No dobrze, niech tak będzie.

Kwadrans później już leżała wpatrzona w rozbłyskujący w ciemnościach ogieniek z

fajki Gordona.

- Nie powinieneś palić przed snem.

- Wiem, ale nie mogę teraz sobie odmówić tej przyjemności.

Co prawda w obecności Gordona Sharon nie bała się już „ducha”, ale mimo to przeżywała męki. Nie chcę o nim myśleć, nie o nim! powtarzała sobie, zaciskając mocno powieki, jak gdyby to właśnie miało pomóc.

Opanowała się w końcu na tyle, że mogła zacząć rozmawiać na neutralne tematy.

- Gordon, wciąż myślę o kradzieży chalkopiryty. A gdybyś tak podjął pewien eksperyment?

- Co masz na myśli? - zapytał, wytrząsając resztkę tytoniu z fajki.

- Waszą rudę waży się skrupulatnie w kopalni na dole, a następnie transportuje na powierzchnię już bez kontroli. Jej ilość sprawdza się po raz drugi dopiero przed załadunkiem. Czy sądzisz, że ginie ona na powierzchni?

- Chyba tak.

- A gdybyś jednak zważył ją jutro zaraz po wydobyciu na powierzchnię?

- Przypuszczasz, że może zniknąć na dole?

- No właśnie.

- Cóż, tę ewentualność także braliśmy pod uwagę. Kilkakrotnie przeszukiwaliśmy bardzo dokładnie cały teren kopalni. A poza tym w jaki sposób złodzieje przetransportowaliby skradzioną rudę na górę?

- Ale czy kiedykolwiek ważyłeś wydobyty surowiec? - Sharon nalegała na odpowiedź.

- Nie, nigdy. Mamy tylko dwie wagi, które stoją w specjalnie wykopanych dołach: jedna z nich znajduje się na dole, druga w porcie; przetransportowanie tej drugiej w okolicy szybu sprawiłoby nam wiele kłopotów.

- Ale mógłbyś spróbować - dziewczyna upierała się przy swoim.

Gordon uśmiechnął się.

- Twarda z ciebie sztuka. Rzeczywiście, mógłbym. Można by jeszcze raz zważyć rudę tuż przed samym wywiezieniem jej na powierzchnię, musielibyśmy jednak zrobić to w największej tajemnicy. Ale i wtedy nie uzyskamy odpowiedzi na pytanie, kto kradnie. Twój pomysł chyba nam nie pomoże, ale zrobię, jak radzisz.

- No to dobrze.

- Czy już przestałaś się bać ducha?

- Tak, teraz czuję się dużo pewniej.

Gordon zawahał się, a Sharon wyczuła, że chce zadać jej jakieś ważne pytanie.

- Czy nie uważasz, że teraz moglibyśmy zamieszkać w jednym pokoju? Nie chciałybyś się do mnie przeprowadzić?

Sharon milczała przez chwilę.

- Mogę, to dla mnie bez różnicy. W końcu jestem przecież twoją żoną.

- Nie - powiedział zakłopotany. - Nie o to mi chodzi. Jeśli sama nie odczujesz takiej potrzeby, nie będę cię do tego namawiał.

Sharon westchnęła głęboko i rzekła:

- Zdarzyło się raz, że przyszedłam do ciebie z własnej woli. Nigdy więcej się to nie powtórzy.

Gordon zachnął się, jakby chciał zaprotestować, ale się opanował. Teraz leżeli spokojnie, wsłuchani we własne oddechy.

- Gordon, czy w sierocińcu było ci bardzo ciężko? - spytała Sharon po dłuższej chwili.

- Myślę, że było mi tak samo ciężko jak tobie.

Dzieciństwo mieli podobne, to ich zbliżało do siebie.

- Wydaje mi się, że tobie było dużo gorzej.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ nie stałbyś się taki, jaki jesteś.

Gordon długo nic nie odpowiadał.

- Może masz rację - wyszeptał w końcu. - Było mi tam naprawdę bardzo źle. Z tego okresu pamiętam właściwie tylko głód. Przypominam też sobie jednego chłopaka, który wciąż mi dokuczał, zabierał mi dosłownie wszystko. Gdy skarżyłem się opiekunom, wymierzali mi chłostę, a potem bił mnie kolega. Wtedy zrodziła się we mnie nienawiść.

Sharon pokiwała głową w zadumie:

- Pamiętasz, wtedy spytałeś: „Czy może nie jestem dla ciebie dostatecznie przystojny?”

Gordon westchnął ze smutkiem.

- Tamtego wieczoru wypowiedziałem wiele trudnych do wybaczenia słów. Dałbym wszystko, żeby to odwrócić, żeby znów było jak dawniej. Wówczas stopniowo jakoś by się między nami ułożyło, nie sądzisz?

- Nie - powiedziała cicho Sharon. - Nadal brakowałoby w tym związku czegoś, bez czego nie potrafiłabym żyć.

- Czego?

- Twojej miłości.

- Nigdy przedtem z nikim tyle nie rozmawiałem. Czy nie rozumiesz, że to jest właśnie

najlepszy dowód na to, jak wiele dla mnie znaczysz? No, dobrze, opowiadam dalej. Bardzo wczesnie zacząłem pracować na swoje utrzymanie. Już jako ośmioletni chłopak zostałem uczniem w zakładzie kowalskim. Wstawałem o czwartej rano i pracowałem do późna wieczór. Wynagrodzenie zabierał oczywiście sierociniec. Potem trafiłem do kopalni, w której wytrzymałem aż do czasu, kiedy musiałem odejść z sierocińca. Wtedy postanowiłem się uczyć.

Umilkł na moment. Wiedział jednak, że Sharon słucha go z prawdziwym zainteresowaniem, więc zaczął mówić dalej;

- Teraz nie mam pojęcia, jak mi się to udało. Były to dla mnie najcięższe lata i naprawdę nie chcę o tym opowiadać. Krótko mówiąc, byłem poniżany, wszystkiego sobie odmawiałem, miałem się najcięższych prac, żeby tylko nie przerwać nauki. To wtedy do reszty zamknąłem się w sobie, odwróciłem zupełnie od świata i teraz ponoszę tego konsekwencje. Jediną osobę, która kiedykolwiek coś dla mnie znaczyła, zraniłem do głębi.

W jego głosie Sharon słyszała gorycz i żal. Drgnęła, gdy Gordon nieoczekiwanie zapytał:

- Powiedz, czy ty już całkiem przestałaś mnie kochać?

- Nie chciałabym odpowiadać na to pytanie!

- Musisz! Proszę cię! To dla mnie nieskończenie ważne! Czy naprawdę nic już do mnie nie czujesz?

- Wybacz mi, Gordonie - wyszeptała prawie niedosłyszalnie Sharon. - Ale nie odważę się o tym mówić.

Jego oddech stał się nierówny.

- Chyba dałaś mi właśnie odpowiedź - rzekł z westchnieniem. - A czy nadal się mnie boisz?

- Nie boję się ciebie, ale twojej pogardy.

- Tego naprawdę nie powinnaś się już obawiać.

- Wierzę ci, ale mimo to nie potrafię pozbyć się lęku. A nade wszystko przecież mnie nie kochasz.

- Tego nie możesz wiedzieć, słonko - odparł zasmucony.

- Owszem, mogę. I nie próbuj mnie okłamywać.

- Ja sam przecież nie wiem, bo nie wiem, czym jest miłość. Moje serce już dawno zamieniło się w lód. Jedyne uczucie, jakie przez tyle długich lat je wypełniało, to nienawiść. Ale teraz wiem, że moje serce kiedyś odtaje. Jeśli tylko zechcesz poczekać.

- Mogę poczekać, ale nie obiecuję, że przestanę się ciebie bać.

- Chociaż spróbuj! - prosił. - Weź moją dłoń!

Ostrożnie położył rękę na jej ramieniu. Sharon z wahaniem jej dotknęła, drżąc przy tym na całym ciele. Najpierw zapragnęła natychmiast się od niego odsunąć, ale się przemogła. Po chwili poczuła, że delikatnie i wolniutko, jak nigdy przedtem, pogładził ją po policzku. Jego palce przesunęły się ku włosom. Sharon leżała sztywna jakby połknęła kij, niemal wstrzymując oddech.

- No już dobrze, dobrze - szeptał uspokajająco, jak do dziecka. - Nie bój się mnie. Bardzo mi na tobie zależy i nigdy więcej już cię nie skrzywdzę.

Jego głos brzmiał łagodnie i usypiająco. Sharon czuła oddech męża tuż przy skroni. Nagle jęknęła przerażona.

W jednej chwili Gordon odsunął się od niej.

- Przebacz mi - wyszeptał zakłopotany. - Chciałem tylko pomóc ci przewyciężyć strach.

- To na nic, Gordon. Nie w taki sposób. Może gdybyś pokochał mnie naprawdę... Chociaż nie wiem już sama, czy i wtedy... Och, Gordon, co my teraz pocniemy?

Sharon nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co mówi. Ale on zapamiętał jej słowa. Zaczynał mieć nadzieję, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy Sharon jednak przyjmie jego miłość.

W pokoju zapadła głęboka cisza. Oboje leżeli bez ruchu, nie mogąc zasnąć. Tej nocy byli sobie bardzo dalecy.

Ale zaraz następnego dnia ich sprawy osobiste zeszyły na dalszy plan...

ROZDZIAŁ XX

Tego dnia zmarł niespodziewanie jeden z mieszkańców wyspy. Ciało mężczyzny leżało na środku drogi między barakami a kopalnią. Natychmiast po znalezieniu zwłok wezwano Gordona, Sharon zaś podążyła za mężem.

Stali, przyglądając się, jak doktor Adams bada zmarłego. Wokół zebrała się spora grupka górników, dalej klęczał zatopiony w modlitwie pastor.

- Zmarł kilka dobrych godzin temu. Stało się to albo wieczorem, albo w nocy - oznajmił krótko doktor Adams.

- Bardzo dużo pracował. Wczoraj też został jeszcze po naszym wyjściu - rzekł jeden z górników.

- Co było powodem zgonu? - zapytał Gordon.

- Niewątpliwie atak serca - odparł William. - Ale po jego wyrazie twarzy widać, że musiał się czegoś lub kogoś śmiertelnie wystraszyć.

Sharon spojrzała w nieruchome, szeroko otwarte oczy zmarłego i zadrżała.

- Gordon, widziałam go całkiem niedawno.

- To prawda. Był jednym z trzech górników, których uratowałam od pewnej śmierci.

- Nie za długo nacieszył się życiem - dodał smutno pastor. - Ale co mogło go aż tak bardzo przerazić?

- Wydaje mi się, że znamy odpowiedź - rzekł Gordon. - Do okna Sharon ktoś wczoraj wieczór zaglądał i panicznie ją przestraszył. Był to demon z zamku we własnej osobie.

- Co takiego? - krzyknął przestraszony duchowny, a zgromadzeni mężczyźni spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. - Ale, ale... to by również wyjaśniało inne dziwne zjawisko...

- Jakie zjawisko?

- Kiedy wróciliśmy z Margareth do domu, położyłem na swoim biurku starą księgę. Nie zamknąłem drzwi wejściowych. Po jakimś czasie, gdy chciałem zamknąć drzwi na klucz, zauważyłem, że księga zniknęła. Wygląda więc na to, że to duch ją zabrał. Już później zdałem sobie sprawę, że tego wieczoru w pewnym momencie poczuliśmy przeciąg, który szybko ustał.

Po dokonaniu oględzin pastor Warden przyłączył się do Gordona i Sharon, powracających do domu. Gordon był bardzo zamyślony.

- Nad czym tak dumasz, przyjacielu? - zapytał łagodnie duchowny.

Gordon zmarszczył czoło.

- Czy w tej sprawie nie dostrzegacie zbieżności?

- Nie bardzo rozumiem - zdziwiła się Sharon.

- Wydaje mi się, że ów górnik nie zmarł śmiercią naturalną. Sądzę, że został nastraszony.

- Wciąż nie mogę pojąć, o co ci chodzi.

- Uratowałaś mu życie. Tego samego wieczoru znalazłaś w swojej torbie starą księgę. Nie mógł jej podrzucić nikt inny, tylko on. Wczoraj znowu zajęliśmy się księgą, próbując rozwikłać jej tajemnice, i zaraz potem demon złożył wizytę Sharon. Na koniec odzyskał księgę, zabierając ją pastorowi.

- Tak być mogło, ale nie rozumiem, czemu to miałyby służyć? - odparł Warden. - Poza tym ja przecież nie wierzę w duchy.

- Ani ja. Wydaje mi się, że ten górnik znał tajemnicę zamku. Jeśli wcześniej był w posiadaniu księgi, musiał być także na zamku. Gdy Sharon uratowała mu życie, chciał się jakoś odwdzińczyć i pomóc nam rozwiązać zagadkę. Dlatego podrzucił tu księgę. Tym samym zdradził i dlatego musiał umrzeć.

Teraz wtrąciła się Sharon:

- Ale skoro znał tajemnicę, z pewnością nie raz widział demona. Jak więc mógł się go przestraszyć?

- Może przyczyną zgonu wcale nie był atak serca? Górnicy są raczej dobrego zdrowia. Są jednak choroby, których objawy przypominają zawał serca. Niewykluczone, że William się pomylił, choć to nie znaczy, że jest złym lekarzem. Dopiero dokładniejsze badania mogą wykazać prawdziwą przyczynę zgonu.

Szli w milczeniu. Wiatr się nasilił i zanosilo się na deszcz. Sharon otuliła się szczelniej szalem.

- Ta księga ma pewnie sporą wartość - powiedział zawiedziony pastor Warden.

- To prawda. Wielka szkoda, że nie zdążyliśmy jej dokładniej przestudiować.

- Twoja teoria tłumaczyłaby nagłą śmierć górnika, jak i kradzież u pastora i Margareth - dodała w zamyśleniu Sharon. - Ale dlaczego pojawił się przy moim oknie? Czyżby u mnie szukał tajemniczej księgi?

- Jeśli to duch, z pewnością nie musiał skradać się do okna. A jeśli nim nie był, tym bardziej wiedział, gdzie się księga znajduje - rzekł Gordon.

Ale Sharon i pastor nadal mieli wątpliwości.

- Ja też niezupełnie pojmuję, dlaczego chciał i ciebie wystraszyć - dorzucił Gordon.

Na wieść o pojawieniu się złego czarownika w osadzie ludzi ogarnęło prawdziwe przerażenie, dlatego Peter postanowił zebrać wszystkich w świetlicy. Poleciał, by mieszkańcy nie przebywali wieczorami poza domami i żeby dobrze zamykali wszystkie drzwi. Oświadczył także, że Gordon Saint John zamierza nazajutrz ponownie wybrać się na zamek i ostatecznie rozwiązać tę niezwykłą zagadkę.

- A jeśli to mu się nie uda? Jeśli czarownik zechce się na nas zemścić? - krzyknęła jedna z kobiet.

- Musimy dać sobie z nim radę - rzekł zdecydowanym głosem Peter. - Nawet gdybyśmy byli zmuszeni zburzyć zamek i podpalić las.

- Nie sądzicie, że puszczę na tę wyprawę swojego! - odezwała się ta sama kobieta.

- Ani ja! - zawołała inna. - Wystarczy, że rzuci na niego jedno spojrzenie, i stary padnie! A kto wtedy zapracuje na rodzinę?

- Nikogo nie będziemy zmuszać. Poza tym nie zabierzemy żadnego człowieka, do którego nie mielibyśmy zaufania. Właściwie ich wybraliśmy. Więc możecie już się rozejść.

Mieszkańcy wrócili poruszeni do swoich domostw i starannie zaryglowali drzwi. Chodziły słuchy, że w kominach pozawieszano wszelkie możliwe przedmioty, mające jakoby chronić ludzi przed złymi mocami.

Przestano już szukać Lindy. Nikt nie spodziewał się znaleźć jej żywej.

Dzień był bardzo zimny i ponury. Wiatr, i tak już silny, wzmagął się z godziny na godzinę. Nieliczni mieszkańcy, którzy wychodzili z domów, kulili się, by ich nie porwał. Żółto-brązowe liście opadały na ziemię, strącane z gałęzi gwałtownymi podmuchami.

Niespodziewanie w biurze pojawił się Gordon i nie dopuszczającym sprzeciwu tonem polecił:

- Zbierajcie się. Wyruszamy na zamek.

- Dzisiaj? - zdumiała się Sharon. - Przecież mówiliście, że...?

- To jasne, że musimy iść dziś. Z całym rozmysłem wprowadziliśmy ich w błąd, rozumiesz? Wszyscy myślą, że wybieramy się tam jutro, a my pojawiajemy się z zaskoczenia. Jutro mogłoby być za późno. Mam nadzieję, że nie zdążą się przygotować na nasze przybycie.

Po ostatniej mrożącej krew w żyłach przygodzie i wizycie „czarownika” Sharon powoli traciła przekonanie, że zjawy z zamku nie są wytworem wyobraźni. Ale za nic by się do tego nie przyznała ani Gordonowi, ani Peterowi.

- Rozumiem. Jestem gotowa.

Gordon przyjrzał się żonie uważnie.

- Czy jesteś całkiem pewna, że chcesz nam towarzyszyć? O tym, że się nie boisz,

wiem, poza tym jesteś doskonałym kompanem, ale zaczynam się o ciebie trochę martwić.

Sharon ujęła taka troskliwość, ale rzekła zdecydowanie:

- Chyba nie myślicie, że ja tu usiedzę spokojnie, podczas gdy wam grozić będzie niebezpieczeństwo. A w dodatku czarownik nie waha się przed wizytami w miasteczku, więc i nawet w domu nie jestem bezpieczna.

Gordon namyślał się chwilę, ale w końcu się zgodził.

- Dobrze. Będę cię wciąż miał na oku. Ale nie zapomnij zabrać rękawic ochronnych. Pozostałym też o tym przypominam.

Na skraju lasu dołączyli do reszty uczestników wyprawy. Byli wśród nich naturalnie Andy i Percy, a także doktor Adams, pastor Warden i trzech górników, których Sharon знаła tylko z widzenia.

Kiedy Sharon zauważyła, że kilku mężczyzn zabrało ze sobą broń, w pełni zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

Dłuższy czas szli w milczeniu dobrze im znaną leśną drogą.

- Jestem z wami po raz pierwszy - odezwał się wreszcie doktor Adams w chwili, gdy mijali tablicę informującą o zakazie wstępu na teren w pobliżu zamku. - Moim zadaniem będzie, jak sądzę, ratowanie was, szaleńców, których nic nie jest w stanie wystraszyć.

- Sam zaliczasz się dziś do naszego grona - skomentował ze złośliwym uśmiechem Gordon.

- Muszę osobiście się przekonać, jak to naprawdę jest z tym straszliwym wzrokiem czarownika, i raz na zawsze położyć kres jego zabójczemu działaniu.

Droga poprowadziła ich na niewielkie wzniesienie.

- Weź mnie za rękę, Sharon, będzie ci łatwiej iść - zaproponował Gordon.

Bez namysłu podała mu dłoń, lecz w tej samej chwili wiedziona jakimś trudnym do określenia odruchem wyrwała ją gwałtownie. Sharon dostrzegła w oczach Gordona żal.

- Przykro mi, Gordon - powiedziała cicho - Ale to na nic.

William szedł najbliżej i przypadkowo zauważył ten z pozoru nieistotny incydent. W pewnym momencie zbliżył się do Sharon i dyskretnie zapytał:

- Czy między wami wszystko układa się jak należy?

- Co? Aha, tak, wszystko będzie dobrze. Z czasem, to tylko przejściowe trudności.

- Powiedziałas mi kiedyś, że się nie kochacie i że tak jest lepiej. Ale coś mi się tu nie zgadza, Sharon. Powiedz, co to za trudności?

Sharon skrzywiła się.

- Raczej nie chciałabym poruszać tego tematu. Lepiej nie pytaj.

- Muszę pytać! Przecież to dotyczy mnie samego! Jeśli mógłbym dać ci więcej szczęścia niż ten dziwak, to nie będę siedział z założonymi rękami i przyglądał się, jak cierpisz. Chyba potrafisz to zrozumieć? Sharon, jeśli kiedykolwiek...

- Nie, Williamie, nawet o tym nie myśl. Wierz mi, doceniam to, jesteś dla mnie taki miły. Lecz moje miejsce jest przy Gordonie niezależnie od tego, jak bardzo będzie mi trudno.

Williamowi z pewnością zrobiło się przykro, ale Sharon nie mogła inaczej mu odpowiedzieć.

Wichura nadal szalała nad ich głowami, targając bezlitośnie gałęziami drzew, ale zdążyli już zejść do dolinki, gdzie wiatr nie był aż tak dokuczliwy. Szli teraz gęsiego, aż wreszcie stanęli przy osławionych schodach prowadzących na podwórzec zamku.

- A więc jesteśmy na miejscu - zauważył Andy. - Kto pierwszy na ochotnika?

- Ja - odrzekł zdecydowanie Percy.

Pierwszych kilka stopni pokonali bez trudu. Ale gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie schody zakręcały pod kątem prostym, bardzo silny podmuch wiatru zmusił ich do wycofania się.

- Chyba musimy spróbować na czworaka - zaproponował Peter. - Tylko nie zapomnijcie o rękawicach.

Sharon podniosła ostrożnie głowę. Tym razem na szczycie nie dostrzegła tajemniczej postaci, a jedynie fragment zniszczonego zamkowego muru. Czuła się dziwnie, czołgając się tuż za Andym, ale chyba rzeczywiście tylko w ten sposób uda się im pokonać trudny odcinek.

Posuwała się ostrożnie po nierównych omszałych stopniach, starannie omijała skalne zapadliska. Od czasu do czasu natrafiała na odciski ogromnych stóp.

- Spójrzcie tutaj! - krzyknął w pewnej chwili Andy. - Czy to możliwe? Przecież to chyba są ślady damskich pantofli!

Zatrzymali się jednocześnie, zdumieni. Wszystkim na myśl przyszła Linda.

Po chwili znów mozolnie wspinali się pod wiatr.

Percy, przytrzymując się pnia pokrzywionej, starej brzozy, pierwszy dotarł na górę.

Sharon starała się posuwać jak najbliżej muru. Rozejrzała się wokoło i dopiero teraz tak naprawdę przeraził ją widok zamku, który znajdował się zaledwie kilkadziesiąt metrów od nich. Od ruin dzieliła ich tylko niewielka polana porośnięta dzikimi, rozłożystymi krzakami. Ponure resztki zrujnowanej budowli górowały nad okolicą. Wysoko ku niebu wznosiły się zamkowe wieże, z których jedna pozostała niemal nienaruszona. Druga była w opłakanym stanie. Na dziedzińcu leżały bezładnie porozrzucane cegły i większe fragmenty murów. Wjazd o łukowatym sklepieniu przypominał rozwarte w krzyku usta.

Z tyłu za zamkiem Sharon dostrzegła ciemnogrnatą powierzchnię wzburzonego morza, którego spienione fale z białymi grzywami z niewiarygodną siłą uderzały o strome skały. Grzmot fal mieszał się z wyjącem w starych ruinach wiatrem.

- Gdzież to się dziś podział nasz duch? - zażartował Andy.

Jeden z mężczyzn otarł dłonią pot z czoła.

- Robi mi się niedobrze - oświadczył.

- Masz mdłości? - spytał Gordon.

Mężczyzna przytaknął

- W takim razie zawracaj. Na nic się nam nie przydasz, a tu możesz się jeszcze bardziej rozchorować. Poczekaj na nas na dole, przy schodach. Zaraz ci przejdzie.

Mężczyzna zszedł, podtrzymywany przez doktora Adamsa, ale mimo to lekko się zataczał.

- Czy ktoś jeszcze nie czuje się dobrze? Jeśli nie, ruszamy dalej - rozkazał Peter.

Znaleźli się teraz na otwartej przestrzeni. Uszli jednak zaledwie kilka metrów, gdy na ziemię osunął się pastor. Percy i William pomogli mu wstać i również podprowadzili do schodów.

- Dwóch mamy z głowy - podsumował Gordon. - Nie podoba mi się to, ale musimy iść dalej. Jak twoje samopoczucie, Sharon?

- Tylko lekki zawrót głowy, ale na razie dam sobie radę.

- Patrzcie! - krzyknął Andy - To on! Na dziedzińcu!

Sharon w jednej chwili oblał zimny pot. Stali teraz zaledwie kilka metrów od bramy wjazdowej, za którą rozbłysła para ognistych oczu.

Niemal jednocześnie wypaliła się doszczętnie pochodnia, którą zabrali ze sobą. Dwaj górnicy cofnęli się i chcieli uciekać, lecz jeden z nich padł półprzytomny na ziemię, a drugi starał się go podnieść. Zataczać zaczął się również Peter, zaś Gordon krzyknął:

- Nie poradzimy sobie! Zawracamy! Już i mnie robi się niedobrze!

Ale Sharon nie zdążyła zawrócić. W przeciągu kilku sekund poczuła dobrze znane zawroty głowy i mdłości, po czym osunęła się na ziemię zemdlona.

- Rany boskie! - krzyknął załamany Gordon. - Jak my się stąd wydostaniemy?

ROZDZIAŁ XXI

I znowu Percy przyszedł im z pomocą. Po raz drugi uratował przyjaciół, wyprowadzając ich poza teren oddziaływania zabójczej mocy czarownika. Gordon o własnych siłach dowlóknął się do schodów, ale w pojedynkę nie byłby w stanie pomóc pozostałym.

Na koniec Andy wsparł Percy'ego ramieniem, ale w połowie drogi dzielącej bramę od schodów obaj upadli. Percy ze strachem patrzył w kierunku przerażającego demona, który jednak stał bez ruchu i wydawał się jedynie obserwować bezradność intruzów. Pozostałym zemdlonym starał się pomagać William, on jednak za żadne skarby nie chciał zbliżyć się do bramy.

Zatrzymali się dopiero, gdy dotarli w miarę bezpiecznie do doliny. Tu nie zagrażał już im ani demon, ani też przejmujący wiatr. Sharon i Peter wciąż nie odzyskiwali przytomności, choć doktor Adams robił, co w jego mocy.

- Wariaci! Szaleńcy! - wykrzyknął zdenerwowany. - Gordon, jak możesz do tego stopnia ryzykować jej życie?

- Daj mi spokój, William! - odburknął wyprowadzony z równowagi Gordon. - I bez twojego gadania mam dość kłopotów.

Gordon otarł pot z czoła. Był bardzo słaby i bolała go głowa. Dręczyły go też wyrzuty sumienia. Cóż, nie zdawał sobie w pełni sprawy, jak wielkie ta wyprawa niosła ze sobą ryzyko. Gdyby utracił Sharon...

Nareszcie odzyskał świadomość Peter, lecz dokuczały mu straszliwe nudności. Pozostali siedzieli lub leżeli na ziemi. Nawet najsilniejszy z nich, Percy, był blady jak ściana. Zdrowy pozostał jedynie William, lecz on nawet na moment nie oddalił się od schodów.

- To było koszmarne przeżycie! Obyśmy tylko nie nabawili się tych strasznych pęcherzy - rzekł z westchnieniem pastor Warden.

Sharon powoli odzyskiwała przytomność, ale odczuwała dotkliwy ból w całym ciele. Gdy Gordon zauważył, że żona dochodzi do siebie, oparł się o pobliskie drzewo i odetchnął z ulgą. Teraz przyglądał się jej, jak leży bezwładnie na mchu. Mogła poruszać tylko głowę, reszta ciała wydawała się jakby sparaliżowana. Gordon nie mógł na to patrzeć spokojnie, serce ścisnęło mu się z bólu.

Przypomniawszy sobie dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzał Sharon w swoim biurze, niepewną, z lękiem w oczach. Była śliczna, ale wyglądała na osamotnioną i całkowicie

opuszczoną. Tego dnia, jak również wiele razy później, nie był dla niej miły. Obrazy przemykały jeden po drugim. Skupiona Sharon przy pracy, starająca się jak najlepiej wywiązać ze swoich obowiązków. Nagle uzmysłowił sobie, jak wiele wzięła na siebie. Zrobiła to dla niego. Zależało jej przede wszystkim na tym, by nie miał jej nic do zarzucenia. A jak on się jej odwdzieczył? Nigdy nie okazał jej nic poza chłodem i wrogością. Pamiętał jej niepewność, gdy pierwszy raz zaproponowała jemu i Peterowi kawę ze świeżymi bułeczkami, i radość w jej oczach, gdy przyjęli ten poczęstunek. Przypominał sobie Sharon siedzącą samotnie w kościele pod oskarżycielskimi spojrzeniami większości mieszkańców wyspy. Chciał wtedy nawet wesprzeć ją i zaproponować krótki spacer, ale szybko odrzucił tę myśl, gdyż wydała się mu niemęska. Pamiętał jej szczęście i dumę, kiedy powierzała mu nowo narodzone, zdrowe dziecko Anny. Oczy Sharon mówiły wówczas: wspólnie sprostaliśmy takiemu trudnemu zadaniu!

Pamiętał także jej ramiona oplatające jego szyję i spazmatyczny płacz, gdy uchronił ją przed kamienowaniem, radość, kiedy podarował jej minerał, i niezrozumiały gniew w stosunku do Lindy. Wreszcie przerażenie, jakie wywołała w niej groźba śmierci Gordona w kopalni, a potem blask w oczach, kiedy on, Gordon, wziął ją w ramiona...

Wciąż tylko oddanie, dobroć i miłość.

Gordon nie chciał już dłużej o tym myśleć. Wolał nie pamiętać, jak okrutnymi, pełnymi pogardy słowami zgasił w niej wszelką radość życia i odebrał nadzieję na miłość.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego jakby nieobecny wzrokiem.

Sprawiło mu to wielki ból. Co się ze mną dzieje? myślał zdziwiony i niemal przestraszony. Nie miał odwagi patrzeć Sharon prosto w oczy. Odnosił wrażenie, że ona na coś czeka, lecz nie potrafił powiedzieć, na co.

Nie mogę tego wytrzymać, duszę się! myślał. Czuję w sobie tak wielką tęsknotę, że chce mi się krzyczyć, lecz właściwie sam nie wiem, czego pragnę. Wiem tylko, że ta drobna dziewczyna przyciąga mój wzrok, ale nie powinienem na nią patrzeć. Nie mogę! To zupełnie nowe, nieznanne uczucie, głębokie i przejmujące. Czy to możliwe, bym w jednej chwili cierpiał i zarazem odczuwał dziwną rozkosz?

I nagle Gordon zrozumiał, co się z nim dzieje. Pochylił nisko głowę, by nikt nie mógł zobaczyć jego twarzy.

A więc o tym mówiła Sharon. Tak właśnie wygląda miłość, której nigdy przedtem nie rozumiał i jeszcze nigdy nie zaznał.

Sharon, najmiłsza! Jak wielką wyrządziłem ci krzywdę, jak wielką krzywdę wyrządziłem nam obojgu! Mądry pastor Warden miał słuszość: inny mężczyzna być może

odzyskałby serce Sharon, ale nie ja! Ona nigdy nie zdoła zapomnieć pogardy, jaką jej okazałem, i nigdy nie przestanie się mnie bać.

W końcu udało mu się wrócić do rzeczywistości.

- To co, wracamy? - spytał. - Czy któryś z was mógłby pomóc Sharon? Ja muszę zabrać narzędzia.

Nie było to do końca prawdą. Gordon po prostu nie chciał, by ktoś zauważył, iż Sharon nie może znieść dotyku własnego męża.

Gdy dotarli do osady na dworze było jeszcze jasno. Gordon poprosił Sharon, by poszła do łóżka, ale odmówiła. Bardzo chciała zostać w biurze.

- Wiem, że nie przydam się wam na wiele - rzekła. - Ale wolę wszystko od rozmyślania nad przykrymi sprawami.

I tak się stało. Peter i Sharon pracowali przez resztę popołudnia w biurze, Gordon natomiast poszedł do kopalni. Dzień dłużył się wszystkim trojgu niemiłosiernie, dokuczał im silny ból głowy i z trudem koncentrowali się na pracy. Nawet Gordon pojawił się w domu wcześniej niż zwykle. Podszedł do biurka Sharon, mówiąc:

- Miałaś rację. Właśnie po raz drugi zważyliśmy wydobyć dzisiaj rudę. Brakowało około jednej setnej najwartościowszego chalkopirytu, w którym często spotyka się pewne ilości złota.

- Co ty mówisz? - krzyknął zdumiony Peter, podrywając się na równe nogi. - To znaczy, że skradziona ruda znajduje się jednak na dole?

- Na to wygląda. W każdym razie tam była. Dziś wieczór musimy jeszcze raz przeszukać cały teren kopalni. Chociaż nie udało się nam wyjaśnić tajemnicy zamku, może przynajmniej znajdziemy rozwiązanie drugiej tajemnicy. Sharon, zrobiłabyś nam coś do zjedzenia?

- Teraz? To zajmie mi trochę czasu. Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

- Daj spokój, Gordon, niech Sharon dziś odpocznie - rzekł Peter. - Pójdziemy razem do świetlicy i tam coś zjemy.

Tym razem w jadalni było dość przyjemnie. Gordon podsunął Sharon krzesło, w ogóle obaj panowie prześcigali się, by jej usługiwać.

Sharon obserwowała Gordona z rosnącym zdumieniem. Trudno było nie zauważyć, że się zmienił. Odnosiła wrażenie, że chce jej coś powiedzieć, lecz powstrzymuje go obecność Petera. Przeważnie jednak patrzył nieobecny wzrokiem gdzieś w przestrzeń. Wydawał się jakiś smutny.

Sharon drgnęła, słysząc, że ktoś do niej mówi:

- Pani Saint John...

Początkowo nie zorientowała się, że kelnerka zwraca się do niej. Po raz pierwszy ktoś użył jej nowego nazwiska. Poczła ogromne wzruszenie. Uniosła głowę i spojrzała na zawstydzoną dziewczyną, która, oblewając się rumieńcem, powiedziała:

- Chciałam przekazać, jak bardzo wszystkie jesteśmy szczęśliwe, że została pani uniewinniona.

- Serdecznie dziękuję - uśmiechnęła się Sharon.

- Wielu mieszkańców wyspy także jest z tego powodu uradowanych - ciągnęła dziewczyna. - Tylko że teraz się wstydzą, bo jeszcze tak niedawno sami panią prześladowali.

- Jestem naprawdę rada, że tak myślicie. A poza tym mów mi po prostu Sharon.

- Tak nie można. Jest pani przecież żoną dyrektora kopalni! - zdumiała się dziewczyna.

- To prawda - przyznała Sharon. - Jakoś o tym nie pomyślałam. W każdym razie dziękuję za wasze dobre słowa. Proszę, pozdrów wszystkich ode mnie.

- Dlaczego dzisiaj tu tak pusto? - spytał Peter kelnerkę.

Dziewczyna rozejrzała się dookoła.

- Ludzie boją się opuszczać domy. Ale jesteśmy państwu ogromnie wdzięczni, że jutro wreszcie uwolnicie nas od złego demona! - zawołała spontanicznie.

Wszyscy troje spuścili oczy. Żadne z nich nie odważyło się powiedzieć tej miłej dziewczynie, że już byli na zamku, że musieli się poddać i naprawdę nie wiedzą, jak uwolnić mieszkańców od koszmaru.

Gdy kelnerka odeszła, Gordon ze zdumieniem popatrzył na rozradowaną twarz żony.

- To niesamowite! - wykrzyknęła. - Oni mnie naprawdę lubią!

Ciepłe spojrzenie Gordona sprawiło, że serce Sharon zaczęło szybciej bić.

Kończyli już obiad, gdy Gordon z troską w głosie zapytał:

- Sharon, a co my zrobimy z tobą? Wygląda na to, że zły demon ma na ciebie oko. Może lepiej posiedziałybyś u kogoś?

- Nie chcę do nikogo iść. Pozwól mi zostać przy tobie - poprosiła.

Odetchnął z ulgą i wyciągnął rękę, by położyć ją na dłoni Sharon, lecz w ostatniej chwili zrezygnował. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Bardzo mnie to cieszy. No, a co ty o tym sądzisz, Peter?

- Hm. Skoro Sharon nie ma nic przeciwko kolejnej wyprawie, tym razem pod ziemię, niech idzie z nami.

Także Peter ostatnio się zmienił. W największym stopniu przyczyniło się do tego

zniknięcie Lindy. Sharon uważała go teraz za swojego przyjaciela; zamiast niedomówień i podejrzeń, zapanowały wreszcie między nimi zrozumienie i szacunek. Ogromnie to Sharon cieszyło.

Wstali od stołu. Peter odszedł na chwilę, by porozmawiać z jednym z górników. Gordon, korzystając z tego, że jest z żoną sam, powiedział:

- Kochanie, tak niewiele ofiarowałem ci dotychczas. Może masz jakieś szczególne życzenie, które mógłbym spełnić? Czego sobie życzysz? Dam ci nawet gwiazdkę z nieba.

Jej twarz od razu posmutniała.

- Tego, czego pragnę najgoręcej, nie jesteś mi w stanie dać. Zresztą i tak nie mogłabym tego przyjąć.

Powoli zbliżał się do nich Peter. Gordon popatrzył na Sharon pytająco.

- Chodzi ci o miłość? Sharon, ja...

- Nie - przerwała mu w pół słowa, wciąż smutna. - Nie to miałam na myśli.

- No to jak? Idziemy? - zapytał Peter, biorąc Sharon pod rękę.

Gordon popatrzył za nimi, niczego nie rozumiejąc. O czym ona mówiła?

I poszli, by rozwikłać drugą zagadkę Wyspy Nieszczęść: kradzieże rudy miedzi.

Silny głos Gordona odbijał się dźwięcznym echem o ściany korytarza.

- Rozdzielimy się na dwie grupy. Peter, weź Andy'ego i jeszcze dwóch innych, ja i Sharon też weźmiemy dwóch. Percy będzie czuwać przy windzie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, użyjcie broni.

Gordon wybrał do udziału w ekspedycji tylko tych górników, których uczciwości był całkowicie pewien. Poszedł z nim także pastor. Doktor Adams również miał ochotę im towarzyszyć, lecz obowiązki zatrzymały go przy pacjentach. Percy, dumny z powierzonego mu zadania, stał koło windy, ściskając swoją strzelbę. Drugą windę dla pewności unieruchomiono.

Rozeszli się w różne strony. Sharon podążała za Gordonem, trzymali się głównych, największych chodników. Co jakiś czas górnicy wpełzali do odchodzących od chodnika mniejszych korytarzy, by sprawdzić, czy nie złożono tam skradzionej rudy.

Sharon nie mogła pojąć, w jaki sposób Gordon tak doskonale się orientuje, w którym miejscu w danej chwili się znajdują. Kopalnia wydawała się dziewczynie przeogromna.

Z trudem nadążała za szybko idącym Gordonem; zdarzało się, że niekiedy musiała podbiegać. Za nimi posuwali się pastor i dwaj górnicy. Kiedy znowu pojawili się w umówionym miejscu przy windzie, grupa Petera już na nich czekała.

- I co? Znaleźliście coś? - spytał Gordon.

- Ani śladu rudy.

Gordon zmarszczył w skupieniu czoło.

- Czy mogę coś zaproponować? - spytała nieśmiało Sharon. Gdy wszyscy zwrócili się w jej kierunku, zarumieniła się ze wstydu.

- Ja...ja... - zaczęła.

- No, co chcesz powiedzieć? - starał się dodać jej odwagi Gordon.

- Mam pewną teorię, choć możliwe, że okaże się ona błędna. Winda rezerwowa położona jest po drugiej stronie, na wysokości lasu. Niedaleko od niej znajduje się też wejście do zamkniętego chodnika, gdzie przed laty nastąpiło tąpnięcie...

- Owszem, ale wiele razy sprawdzaliśmy ten chodnik. Nic tam nie znaleźliśmy. Jedyne, co nas zdziwiło, to stary, zapomniany wózek na węgiel. Sam chodnik jest bardzo krótki i nie widzieliśmy sensu, by go dalej drążyć. Nie znaleźliśmy tam znaczących ilości chalkopirytu.

- Czy chodnik kończy się tam, gdzie nastąpiło zawalenie?

- Tak.

Sharon nie poddawała się:

- Czy nie można założyć, że mimo to ukryli rudę pod zwałonymi kamieniami?

Mężczyźni milczeli, na ich twarzach malował się sceptycyzm. Sharon spuściła głowę i nerwowo wierciła w ziemi czubkiem buta.

- Przecież możemy to sprawdzić - rzekł w końcu Andy.

- No dobrze. Nie zaszkodzi nam spenetrowanie jeszcze jednego korytarza.

Percy znów został na posterunku przy windzie, reszta ruszyła w kierunku nie eksploatowanego chodnika. Sharon odnosiła wrażenie, że nikt specjalnie nie wierzy w jej teorię, ją samą zresztą też ogarniała coraz większa niepewność.

Gordon jako pierwszy przecisnął się pod skrzyżowanymi belkami. Górnicy rozświetlili chodnik swoimi pochodniami. Był niewielki i ponury, kończył się po około dwudziestu metrach nierówną ścianą. Zatrzymali się przy zawalisku.

- To tylko pojedyncze kamienie. Nic tu się nie znajdzie, a tym bardziej nic nie można tu schować. Poza tym nie wyobrażam sobie, że złodzieje mogliby stąd wydostać rudę na górę, nawet gdyby udało im się ukryć kilka kilogramów. Nasza winda jest do tego za mała. Zresztą tylko ja, Gordon i Percy potrafimy ją uruchomić.

- Niestety, dzisiaj nie będzie nam dane rozwiązać tej zagadki. Co robimy? Wracamy na górę?

- Poddać się po raz drugi w ciągu jednego dnia? - obruszył się Andy. - A gdzie wasza wola zwycięstwa?

Podszedł do zawałiska i powoli, ostrożnie zaczął odsuwać skalne odłamki. Gordon, obawiając się kolejnego tąpnięcia, ostrzegał Andy'ego, że to niebezpieczne.

- Proszę, proszę! - zawołał nagle Andy. - Dajcie mi tu zaraz światło i chodźcie wszyscy! Coś znalazłem!

- Jakież ślady rudy? - zapytał zaciekawiony Peter.

- Nie. Coś dużo ciekawszego. Ruszcie się, do diabła, z tą lampą!

Górnicy oświetlili miejsce, które odsłonił Andy, i skupili się wokół, tworząc ciasny krąg. Andy stał teraz wyżej od pozostałych, na stosie skalnych odłamków. Gdy podniósł jeden z największych kamieni, okazało się, że przykrywał on spory otwór.

- Wielkie nieba! Patrzcie! - zawołał oszołomiony odkryciem Peter.

Gdy zajrzeli w głąb otworu, ich oczom ukazał się przestronny i prawdopodobnie bardzo długi korytarz.

- Coś podobnego! Nigdy przedtem... - Gordon aż zaniemówił z wrażenia. - Skąd wziął się tu taki szeroki korytarz? Czy nikt z was nie słyszał o nim wcześniej?

- Nie - odparł jeden ze starszych górników. - W tym miejscu nigdy rudy nie wydobywano, po prostu nigdy jej tu nie znaleziono.

- Musimy go spenetrować - oświadczył zdecydowanym głosem Peter.

- No dobrze, ale jak, skoro wejście jest takie wąskie? Bałbym się odgarniać więcej kamieni, bo wszystko może się na nas zawalić.

- Może udałoby mi się podnieść jeszcze jeden - powiedział Andy, unosząc bardzo ostrożnie mniejszy odłamek skały.

- No, teraz dużo lepiej - pochwalił pastor. - Ale nie przypuszczam, żeby któryś z nas mógł się przez tę szczelinę przecisnąć. Chyba że Sharon...

- Co to, to nie! - krzyknął oburzony Gordon. - Nie pozwalam! Przecież wszystko może na nią runąć. Zabraniam kategorycznie.

Twarz Gordona aż pobladła ze zdenerwowania.

- A od kiedy tak bardzo się o nią boisz? - zapytał uszczypliwie Warden.

- Czy ty pozwoliłbyś swojej żonie włączyć do takiej dziury? - Gordon był wyraźnie urażony.

- Nie - odparł zwlekając nieco pastor. - Ale moje uczucia dla Margareth to chyba nie to samo, co twoje dla Sharon?

- Nie? - krzyknął dotknięty do żywego Gordon. - Czy ty, człowieku, nie rozumiesz, że

ja ją kocham?

Sharon oniemiała z wrażenia. Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków i w duchu się modliła, by te słowa okazały się prawdziwe. Już kiedyś jej się wydawało, że Gordon darzy ją uczuciem, ale wtedy ogromnie się pomyliła. Podobnego rozczarowania nie byłaby w stanie przeżyć po raz drugi.

Pozostali nie bardzo wiedzieli, jak się mają zachować. Nieczęsto widzieli Gordona wyprowadzonego z równowagi. I jakim tonem ośmielił się mówić do pastora?

Sharon opanowała się pierwsza. Spytała:

- Czy to rzeczywiście aż tak niebezpieczne? Ja tylko tam zajrzę. Gdybyście potrzykali mnie za nogi, sprawdzę, czy ktoś nie ukrył tam rudy. Poza tym może udałoby się podeprzeć sufit kilkoma belkami?

- Zabraniam ci! - krzyknął znowu Gordon. - Czy ty nie pojmujesz, że nie chcę cię utracić?

- Gordonie, przecież najważniejsze dla ciebie jest odnalezienie sprawców kradzieży?

- Najważniejsza jesteś dla mnie ty.

- Ten chodnik nie sprawia wrażenia zagrożonego. Pozwól mi tam choć zajrzeć.

Po długich naleganiach Gordon ustąpił, lecz kiedy Sharon przeciskała się przez szczelinę, był wyraźnie zdenerwowany.

- Sharon, widzisz coś? - spytał Andy.

- Wydaje mi się, że można podnieść jeszcze jeden kamień, ten na prawo ode mnie. Wtedy wszyscy będziecie mogli się tu wcisnąć.

- No dobrze. A teraz już wracaj - powiedział zniecierpliwiony Gordon.

Sharon wygramoliła się tyłem niczym rak i odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Uff! Nigdy bym tam sama nie weszła.

- Oj, coś mi się zdaje, że weszłabyś - mruknął nie przekonany Gordon. - Co zobaczyłaś w środku?

- To jakiś dziwny chodnik - powiedziała Sharon, strzepując kurz z sukni. - Wcale nie przypomina innych. Jest położony nieco niżej i przebiega ukośnie w stosunku do tego, w którym jesteśmy obecnie. Jest dużo niższy i ma jakieś dziwne ściany. Nierówne, ale jednocześnie gładkie.

- Czy to możliwe, że powstał w sposób naturalny? - zapytał zdumiony pastor Warden.

Sharon zastanowiła się przez chwilę, a potem skinęła głową.

- Ściany wyglądają jak niewielkie tarasy.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Czy zauważyłaś w ścianach małe, zaokrąglone wgłębienia? Coś w rodzaju maleńkich grot? - zapytał Peter.

- Chyba tak.

- Wygląda na to, że odkryliśmy jaskinię wypłukaną przez wodę - rzekł zamyślony Gordon. - Ale przecież stąd jeszcze daleko do morza. Pokaż nam, który to gład można podnieść.

Sharon przyjrzała się dokładnie zawalisku i oceniła odległości.

- To ten - i wskazała na okazałej wielkości odłam skalny.

- Rzeczywiście, nie przylega szczelnie do sąsiednich kamieni. No to już! Razem!

Bez większego trudu mężczyźni unieśli i odsunęli na bok gład. Otwór w ścianie znacznie się powiększył.

Peter aż zagwizdał z uciechy.

- Jeśli tu nie znajdziemy rozwiązań, to ja się poddam! Ruszamy!

Po krótkiej chwili cała grupa znalazła się we wnętrzu groty.

- Patrzcie! To przecież chalkopiryt! - wykrzyknął podniecony pastor, podnosząc z ziemi niewielki kawałek rudy.

Gordon zważył go w dłoni i rzekł:

- Pochodzi ze świeżego wydobycia i zawiera znaczny procent czystego metalu. Czuję, że jesteśmy wreszcie na właściwym tropie. Resztę znajdziemy na końcu tej jaskini.

- Ale dokąd ona prowadzi? Morze leży na północny wschód stąd, zaś chodnik prowadzi raczej w przeciwnym kierunku - zdziwił się jeden z górników.

Zaczęli iść w głąb.

Nagle ze zdumieniem dostrzegli starannie ułożone szyny, które zniknęły gdzieś w ciemności, wskazując im drogę. W tym samym momencie pastor wykrzyknął:

- Gordon! Już wiem! Wiem, co to za droga! Pamiętasz mapę?

- Jaką mapę?

- Tę w starej księdze. Przypomnijcie sobie, że w poprzek wyspy zaznaczono tam drogę, która biegła od zamku i przecinała Dolinę Śmierci. To na pewno jest ta droga!

- A co w takim razie robią tu szyny? - zapytał sceptycznie Peter.

- Szyny nie są najważniejsze - rzekł pastor niecierpliwie. - Na pewno zostały ułożone niedawno, przed kilkoma laty. Ale czarownik musiał wiedzieć o tej jaskini i zaznaczył ją na swojej mapie. Narysował ją wprawdzie nie całkiem dokładnie, gdyż w rzeczywistości jest dłuższa i biegnie w nieco innym kierunku, ale to z pewnością ta.

Sharon przystanęła.

- To by znaczyło, że dotrzemy w bliskie okolice zamku...

Gordon uśmiechnął się do żony serdecznie.

- Tylko się nie bój. Masz tak wielu przyjaciół, że nic nie może ci się stać. Przypuszczam, że wyjdziemy niedaleko od brzegu morza. Tylko zastanawiam się, skąd przyciągnęli tu szyny?

Gordon szedł kilka kroków za Sharon i ukradkiem się jej przyglądał. Drobną dłoń o szczupłych, długich palcach podtrzymywała lampę. Z łatwością mógłby ukryć tę małą rączkę w swojej dłoni. Nagle zapragnął przytulać żonę do siebie. Wiedział jednak, że to niemożliwe.

- Sharon - zaczął poważnie.

Odwróciła się do niego z pytaniem w oczach.

- Czy pamiętasz, co mówiłem niedawno?

- Owszem. Nie wiem tylko, po co mnie okłamujesz.

- Ależ to szczerą prawdą - zapewniał. - Przykro mi, że mówiłem o tym w takich okolicznościach, ale po prostu straciłem nad sobą panowanie. Bałem się o ciebie, kochanie. Nie mogę bez ciebie żyć.

Spojrzała na niego smutnym wzrokiem.

- Nie oszukuj mnie, Gordonie. Już nigdy nie chciałabym przeżyć takiego rozczarowania jak wtedy...

- Mówię prawdę. Chcesz, to napiszę na ścianie: „Przysięgam, że kocham Sharon” i nawet złożę podpis - dodał żartobliwie. - Chciałem powiedzieć ci o tym już wcześniej, ale jakoś nie było okazji.

Sharon pochyliła głowę, uśmiechnęła się do siebie i spytała:

- Od kiedy sądzisz, że...?

- Odkryłem to dopiero dzisiaj, gdy okazało się, że grozi ci niebezpieczeństwo. Nie wiedziałem, że tak właśnie wygląda miłość, że jest tak przejmująca, gorąca i jednocześnie sprawia ból.

- To prawda - westchnęła Sharon.

- Kochana! Wiem, że wyrządziłem ci wielką krzywdę, ale czy mogę mieć nadzieję, że kiedyś przestaniesz się mnie bać?

- Chciałabym w to wierzyć! No, ale nasze sprawy zostawmy na potem. Zobaczcie, jaskinia się rozszerza! - zawołała.

Dość długo szli korytarzem, nim znaleźli się w przestronnej sali, gdzie niespodziewanie kończyły się szyny. Na ostatnim ich odcinku stał wagonik do przewozu

rudy.

- Korytarz ciągnie się dalej - stwierdził Peter. - Zobaczmy, dokąd nas zaprowadzi - zaproponował.

- Słusznie - przyznał Gordon. - Sądzę, że znajdujemy się całkiem blisko morza.

- Tylko że nie słyhać jego szumu.

Szli w milczeniu, póki po kilku minutach nie wyrosła przed nimi ściana utworzona przez kolejne zawalisko. Dopiero teraz do ich uszu dotarł ledwie słyszalny, stłumiony szum morskich fal.

- Ach, tak! Także i wyjście zostało zablokowane! Bardzo sprytnie.

- Ściana zawaliła się chyba już dawno. Wody odpłynęły przed wielu laty i dlatego grota jest taka sucha - rzekł pastor, badając ściany chodnika.

- No dobrze, ale co robią ze skradzionym chalkopirytem? Musieliśmy chyba coś przeoczyć - zauważył Andy.

- Wracajmy. Może natrafimy na jakąś boczną grotę. Ruszyli w drogę powrotną. Sharon zaczęła już odczuwać trudy długiej wędrówki, coraz bardziej bolały ją stopy.

Nagle, jak na rozkaz, cała ósemka się zatrzymała.

Od przestronnej jaskini dzieliła ich niewielka odległość. I właśnie wtedy ujrzeli sączące się stamtąd delikatne zielonkawe światelko.

Sharon, przestraszona, przysunęła się do Gordona. Szli teraz bardzo ostrożnie.

Światelko docierało z góry. Gdy podnieśli głowy, nad miejscem, w którym urywały się szyny, dostrzegli niewielki otwór, tak jakby wielki świder wywiercił dziurę w ziemi. Być może to woda wydrążyła tu kanalik, który niezwykłym zbiegiem okoliczności nie został potem przysypany. Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w otwór i migoczące w nim tajemnicze światelko.

Nie mieli żadnych wątpliwości: znajdowali się dokładnie pod zamkiem czarownika!

ROZDZIAŁ XXII

Gordon spojrzał wymownie na Sharon.

- Jedno z nas miało rację: obie zagadki są ze sobą ściśle powiązane.

- Wydaje mi się, że wszyscy w ten czy inny sposób wiązaliśmy kradzież chalkopirytu z tajemnicą zamku - powiedziała z uśmiechem Sharon.

Pozostali potwierdzili, kiwając głowami.

- Wiemy już, gdzie ukryta jest ruda. To dość wysoko, pewnie musieli zamontować jakąś windę - odezwał się jeden z górników.

- Na pewno. Ciekawe, co dzieje się teraz na górze. Chyba nie przypadkiem znowu zapalono światelko.

- A może mają tam jakieś piece? - podsunął niepewnie pastor Warden.

- Nie, to niemożliwe. Przyczyna jest z pewnością inna.

- Jeśli świeci się to zielonkawe światło, na pewno odbywa się tam coś ważnego.

- Chyba powinniśmy jeszcze raz wybrać się dziś wieczór na zamek - oświadczył Gordon. - Wracajmy do kopalni. I tak tędy nie wydostaniemy się na górę.

- Jak sobie wyobrażasz dotarcie na zamek? - zapytała zaniepokojona Sharon.

- Jeszcze nie wiem.

Sharon nie miała najmniejszej ochoty znaleźć się znowu w pobliżu siedziby złego czarownika. Dobrze pamiętała, co się wówczas z nią działo.

Inni także, choć zadowoleni z ostatnich odkryć, czuli się zmęczeni całodzienną wędrówką i mnóstwem wrażeń. Wciąż mieli przed oczami zamkowe schody, na których szczycie stał potwór. Żadne z nich nie miało ochoty znowu przeżywać tych okropności.

W pewnej chwili Sharon potknęła się na nierównej powierzchni i jęknęła z bólu. Gordon natychmiast zatrzymał się i poczekał na żonę.

- Jesteś bardzo zmęczona? - zapytał przyciszonym głosem.

- Jeśli mam być szczerą, to tak.

- Pewnie źle spałaś dzisiejszej nocy?

- Rzeczywiście. Byłaś tak blisko mnie, że nie mogłam się opanować, by nie myśleć o naszej sytuacji.

Przedostali się przez zawalisko i szli w kierunku windy. Nagle z oddali usłyszeli, że Percy z kimś rozmawia.

- Przecież to Margareth! - zawołał zdumiony Warden. - Skąd ona się tu wzięła i jak

odważyła się tu zjechać sama, kiedy demon krąży po całej osadzie?

- Coś mi się zdaje, że on tym razem jest bardzo zajęty swoim zamkiem. Myślę, że właśnie warzy magiczny napój - zażartował Gordon.

Rzeczywiście; Margareth przekonywała Percy'ego, że powinien przepuścić ją dalej. Percy wyraźnie się opierał. Na widok nadchodzącej grupki Margareth odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu, że wreszcie jesteście! Znalazłam to, czego szukałam!

- Co takiego? - spytał Gordon.

- Słowo „sumak”, na które natknęliśmy się, wertując starą księgę czarownika. Mam już pełną odpowiedź na tę część zagadki. Zajrzałam do książki o roślinach i oto, co w niej znalazłam.

- Książka o roślinach? Chwileczkę. Pokaż mi to! - poprosił zdziwiony Gordon.

Otoczyli ciasno Margareth, trzymającą w rękach okazałych rozmiarów tomisko.

- Znalazłam to słowo w rozdziale „Środki odurzające”. Byłam pewna, że kiedyś ta nazwa, to znaczy sumak, obita mi się o uszy. Przeczytaj, proszę, tak, by wszyscy słyszeli!

Gordon nachylił się nad kartkami książki i począł powoli czytać

- „Sumak, *Rhus*, drzewo, krzew lub pnącze występujące głównie w Ameryce Północnej. Do najbardziej trujących należy sumak jadowity, *Rhus toxicodendron*, pnącze, którego kora i sok mleczny mają działanie silnie trujące. Nawet niewielka ilość soku przy nieznacznym zetknięciu ze skórą wywołuje bolesne i trudne do wyleczenia stany zapalne, które zwykle, po czterech do pięciu dni, objawiają się opuchlizną, pęcherzami i ranami. W niektórych przypadkach objawy mogą wystąpić po kilku godzinach. Niekiedy zakażenie i powikłania mogą także pojawić się w wyniku kontaktu z wyziewami tej trującej rośliny, spotykanej często u wybrzeży Kanady”.

Gordon zamilkł. Także słuchający nie byli w stanie nic powiedzieć.

- Nie raz przychodziło mi do głowy, że to może jakaś trucizna w postaci oparów, ale nie słyszałem o żadnej, która wywoływałaby podobne objawy. Być może mieszkańcy Ameryki od razu by wiedzieli, że chodzi o tę właśnie roślinę, ale nam, Europejczykom, jest ona zupełnie nieznaną. Sharon, przyjrzyj się rysunkowi. Czy to ta sama roślina, którą widziałaś w Dolinie Śmierci?

- Wtedy było bardzo ciemno, więc nie pamiętam - powiedziała zaskoczona. - Ale przypominam sobie, że zaplątałam się w jakieś kłaczka. Myślę, że to mógł być właśnie sumak.

- A czy zadrapałaś się w okolicy kolan?

- Nie musiała - wtrącił pastor. - Tu piszą, że nawet samo dotknięcie może wywołać chorobę.

- Tego wieczoru podarła mi się spódnica, a poza tym zasłabłam i pełzałam na czworakach.

- To rozwiewa wszelkie wątpliwości - stwierdził Gordon. - Dobrze, że poleciłem wam dzisiaj założyć rękawice. Dokładnie pamiętam moją pierwszą wyprawę na zamek; tylko ci, którzy coś nieśli, nie mieli żadnych wyprysków na skórze. Pozostali opierali się o skałę, co było zupełnie naturalne. Wygląda więc na to, że oni smarują ścianę tą trucizną, na wypadek gdyby się zjawił ktoś niepożądany.

- Kogo masz na myśli, mówiąc „oni”? - spytał Andy.

- Hm, to się dopiero okaże - odpowiedział Gordon. - Trzech spotkaliśmy na schodach, jednego z nich widziała Sharon w dolinie, jeden stracił życie, gdyż usiłował nam pomóc, podrzucając tajemniczą księgę. Ostatni to sam demon, pan zamkowych włości.

- Mamy jeszcze jednego - powiedziała w zamyśleniu Sharon.

- Kogo?

- Lindę.

- No tak. Chyba że trzymają ją jako zakładnika. Ale znając jej przebiegłość, podejrzewam, że przyłączyła się do bandy. Właściwie może ich być nawet mniej: mężczyzna, którego zamordowano, mógł przecież być tym, którego spotkała Sharon.

- Przepraszam, ale chciałbym coś dodać - do rozmowy wtrącił się teraz jeden z górników.

- Tak?

Mężczyzna odchrząknął, po czym zaczął wolno mówić.

- Mogę się mylić i nie chciałbym na nikogo rzucać podejrzeń, ale wiem o grupie kilku górników, którzy zazwyczaj spędzają przerwę śniadaniową w pobliżu ślepego chodnika. Odpoczywają w takim miejscu, które pozwala im na ciągłe obserwowanie przechodzących osób.

Do rozmowy wtrącił się inny górnik:

- Chodzi o to, że mają swobodny dostęp do wydobytej, zważonej już miedzi. Że też nie przyszło nam to wcześniej do głowy!

- To wcale nie było takie proste - rzekł Gordon. - Przecież nikt z nas nie przypuszczał, że jest tu taka świetna kryjówka. Pamiętacie, ilu ich jest i którzy to?

Górnik zastanawiał się przez chwilę: - Pięciu, może sześciu - powiedział i wymienił kilka nazwisk. - Teraz przypomniałem sobie, że ten, który nagle zmarł, także należał do grupy.

- Świetnie! Więc jesteśmy na dobrym tropie! Pozostało zatem pięciu. Tylko kim jest

sam demon?

- A może najpierw wydostalibyśmy się na powierzchnię? - zaproponowała niepewnie Margareth. - Wcale mi się tu nie podoba.

- Oczywiście - przytaknął jakby nieobecny duchem Gordon. - Wsiadajcie do windy.

Winda zaczęła trzeszczeć i skrzypieć. Sharon zamarła, wstrzymując oddech. A jeśli winda znowu się urwie?

- Tak więc węże, które przedstawiła na rysunku Sharon, mogły być lianami lub kłęczami? - upewniał się Andy.

Nareszcie winda się zatrzymała. Sharon dopiero teraz odzyskała mowę.

- Myślę, że tak. Może urwali kilka pnączy, by posmarować ich sokiem ścianę skalną?

- To całkiem możliwe - zgodził się Peter. - Myślę, że rzecz miała się tak: czarownik, który faktycznie mieszkał na zamku przed trzystoma laty, odkrył tajemnicę straszliwej doliny, w której rosły trujące rośliny. Dlatego nadał jej nazwę: „Dolina Śmierci”. Podejrzewam, że wtedy sumak nie rósł jeszcze w pobliżu zamku. Być może to czarownik przesadził rośliny, ale mogły także rozsiać się tam same. Jest też możliwe, że ktoś całkiem niedawno je przesadził. Tak, to by miało sens: ktokolwiek zjawi się w pobliżu zamku, uwierzy w starą legendę. Dlatego ona wciąż żyje. Rozumiecie?

- Chyba tak - powiedziała Sharon. - Jeśli to prawda, podejrzewam, że zbierają rośliny w Dolinie Śmierci. Ale skoro uważacie, że spotkaliśmy ludzi z krwi i kości, to dlaczego tak przedziwnie wyglądają?

- Mają na sobie maski gazowe.

- Co takiego?

- Maski gazowe. Wykorzystuje się je w niektórych fabrykach, tam gdzie wydzielają się trujące opary. Ogromne, żółtawe ślepiec to okulary, „pysk” jest rodzajem filtra, który zabezpiecza usta i nos. Ich ubranie wskazuje na to, że chronią też ręce i całe ciało przed skutkami roślinnych wyziewów.

- Słuchajcie! - wykrzyknęła podniecona Sharon. - To znaczy, że i my moglibyśmy bezpiecznie udać się na zamek!

- Właśnie - przytaknął Gordon i zaraz dodał: - I chyba nie ma co tracić czasu, bo zgaśnie zielone światelko. Ochotnicy, ręka do góry!

Zgłosili się wszyscy.

ROZDZIAŁ XXIII

Po raz kolejny stanęli u stóp pechowych zamkowych schodów.

Było zupełnie ciemno, północ dawno minęła.

Na wpeł zrujnowana budowla przytłaczała ich swoim ogromem. W pustych pomieszczeniach hulał wiatr, potęgując wrażenie tajemnicy i grozy.

Przygotowanie dziewięciu masek gazowych zajęło im trochę czasu, więc już ich nie sprawdzali. Postarali się tylko, by ubrania chroniły całe ciało. Gdy dotarli na miejsce, zielonkawe światelko na zamku już zgasło.

Nikt nie protestował, gdy Sharon i Margareth zdecydowały się uczestniczyć w tej nocnej wyprawie. Poprzedniego wieczoru, gdy demon usiłował nastraszyć Sharon, Gordon przeraził się nie na żarty. Dziś za żadne skarby nie spuściłby żony z oczu. Margareth dobrze wiedziała, co może grozić im wszystkim na zamku. W tej sytuacji jej umiejętności jako pielęgniarki mogły się okazać wprost bezcenne.

Nie mieli odwagi rozpaścić pochodni. Nocne ciemności rozjaśniał jedynie żółtawy rożek księżyca, który wychylał się co jakiś czas zza gnanych wiatrem chmur. Nierówne, śliskie schody sprawiały, że musieli posuwać się naprzód ze szczególną ostrożnością.

Minęli miejsce, gdzie stopnie skręcały pod ostrym kątem. Tej nocy demon nie czekał na intruzów na szczycie schodów. Ciszę przeciął szczęk żelaza; to mężczyźni odbezpieczyli swoje strzelby. Nie zmagali się już z duchami, tym razem mieli przeciw sobie ludzi, kolegów, z którymi na co dzień pracowali. Nie wiedzieli, ilu ich będzie, ale spodziewali się przynajmniej pięciu.

Dotarli wreszcie do szczytu schodów i ukryli się za załomem ściany. W zamku panowała głęboka cisza.

Serce podchodziło Sharon do gardła. Ruiny znajdowały się na wyjątkowym odludziu, lecz cała grupa wiedziała, że w środku ktoś jest. Ktoś lub coś. Bo może mieszka tu sam czarownik sprzed trzystu lat? Gdyby mieli spotkać tu żywych ludzi, coś musiałyby się dziać, nie byłoby tak przeraźliwie cicho! Ale gdzież on się ukrywa? Może za chwilę ukaże się im, tak jak poprzednio, przy wjeździe, świecąc żółtymi ślepiami? A może krąży tu jego duch?

Gordon i Percy wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym jako pierwsi ruszyli naprzód. Jak dotąd oni byli najbardziej odporni na trujące działanie sumaka. Sharon wyciągnęła ku mężowi dłoń.

- Gordon... - wyszeptała.

Przystanął.

- Tak, kochanie?

- Uważaj na siebie.

W jego oczach dostrzegła błysk radości. Pokiwał głową na znak, że będzie się pilnował.

Sharon wytężyła wzrok, by nie stracić odchodzących mężczyzn z oczu, ale nie na wiele się to zdało. Po kilkunastu krokach zniknęli w ciemności. Następne minuty ciągnęły się w nieskończoność. Sharon drżała ze strachu i niepokoju. A jeśli coś im się stało i teraz leżą nieprzytomni? Po chwili jednak coś poruszyło się w mroku i Sharon ujrzała zbliżającego się Gordona.

- Jak na razie wszystko idzie jak po maśle - oznajmił zadowolony. - Percy czeka przy wjeździe. Po czarowniku ani śladu. Chodźcie!

Ruszyli w ślad za Gordonem. Sharon przez chwilę poczuła, że kręci jej się w głowie, ale zawroty szybko minęły i już znaleźli się przy Percym.

Dokuczał im brak światła, co chwila potykali się o nierówne podłoże, lecz nie chcieli zapalać pochodni. Szli po kamieniach, pomiędzy których wyrastały kępki trawy. Gdy dotarli do ogromnych, ciężkich wrót, Gordon polecił wszystkim, by zdjęli maski ochronne.

- Że też wrota tak się dobrze zachowały przez tyle lat! - zdumiała się Sharon.

Gordon popchnął lekko drzwi, które dość łatwo się uchyliły. Ze środka poczuli zimniejszy powiew powietrza.

Wyglądało na to, że strop albo się zawalił, albo też znaleźli się na zamkowym dziedzińcu. W nocnych ciemnościach nie byli w stanie tego określić. Sharon dostrzegła obie wieże - jedną w ruinie, drugą zaś w zupełnie znośnym stanie. Wzdłuż murów wiodła niewielka galeryjka, pod którą w kilku miejscach majaczyły drzwi prowadzące prawdopodobnie do zamkowych pomieszczeń.

Sharon poczuła na ramieniu silną męską dłoń i ktoś wskazał palcem w górę. Dziewczyna podniosła głowę i z trudem stłumiła okrzyk przerażenia. Wysoko, na galerii, w niewielkiej odległości od wieży, jawił się potężny nieruchomy demon, odziany w długi, targany wiatrem płaszcz. Tym razem jego oczy pozostawały przymknięte i nie lśniły żółtym blaskiem. Cała ponura sylwetka, straszna niczym nagrobny głaz, rysowała się na tle granatowego mrocznego nieba.

- Nie bój się - szeptał jej do ucha Gordon. - Pamiętaj, że nie ma tu nic nadprzyrodzonego.

Sharon chciała wierzyć, że Gordon ma rację, lecz nie do końca jej się to udawało.

Przerazająca postać na galerii nie przypominała ducha, a jednak żadna żywa istota nie mogłaby tak stać na wąskim skrawku muru, na dodatek na takim wietrze.

Pokonując lęk Sharon postąpiła kilka kroków naprzód, podążając za innymi.

W następnej chwili cała grupa, sparaliżowana strachem, zamarła. Gordon złapał Sharon w pól i błyskawicznie pociągnął pod ścianę. Demon stojący na górze najpierw wznosił ramiona w niebo, po czym, wydając z siebie nieludzki odgłos, rzucił się w dół niczym gigantycznych rozmiarów nietoperz.

Sharon była bliska szaleństwa. Zanim pomyślała, co należy zrobić, wszyscy padli na ziemię, ona zaś zakryła głowę rękoma i przytuliła się do Gordona.

Kiedy nad zamkiem ponownie zapadła cisza, dziewczyna odważyła się podnieść wzrok.

- Gdzie on się podział? - szepnęła pobladłymi wargami.

- Nie wiem - odparł Gordon. - Zniknął gdzieś pod galerią.

Pozostali powoli podnosili się z ziemi, ale na ich twarzach wciąż malowało się obłędne przerażenie. Sharon dopiero teraz spostrzegła, że odruchowo przytuliła się do męża. Kiedy strach ustąpił, zapragnęła jak najszybciej wyzwolić się z jego objęć.

- Wybacz mi, Gordonie - rzekła przeprasząc. - Nie chciałam rzucać ci się w ramiona, nie zrozum tego opacznie, proszę. Naprawdę nie chciałam być... być bezwstydną!

- Cicho! Nie mów takich głupstw! Dlaczego się mnie boisz, dlaczego? Czy nie rozumiesz, że to całkiem naturalne, iż w momencie zagrożenia szukamy własnej bliskości? Kocham cię tak mocno, że serce omal mi nie pęknie. Przecież wiem, że nie jesteś bezwstydną!

Ale te słowa nie pomogły. Sharon odsunęła się od Gordona. Stała teraz, ciężko oddychając.

- Co to było? - zapytał cicho Percy. - Jak to wyjaśnicie?

- Jeszcze nie wiem - odparł Gordon, który starał się wyrównać oddech. - Może...

Cicho!

Nasłuchiwali w napięciu. Gdzieś z oddali, z okolicy wieży, doszły ich urywane, przyciszone głosy.

- Szybko! Wskakujcie do środka! - rzucił Gordon, znikając w najbliższych drzwiach.

Sharon niepewnie przemierzała ciemny, cuchnący pleśnią korytarz, starając się nie wpadać na kolegów, którzy co chwila potykali się na nierównej podłodze. Gordon czekał na nich przy najbliższym rogu. Zorientowali się, że na dziedzińcu pojawił się ktoś obcy. Zobaczyli także nikły blask lampy. Świeciło się także w pomieszczeniu znajdującym się pod

zachowaną w całości wieżą.

- Ktoś tam jest! - rozległo się na dziedzińcu.

- To niemożliwe! Przecież nikt nie doszedłby dalej niż do polany.

- Co ty, sam słyszałem krzyk czarownika, który gdzieś się ulotnił. Zresztą wy chyba też słyszeliście?

- Tu na pewno nikogo nie ma.

- Nie traćcie czasu na rozmowy - odezwał się trzeci mężczyzna. - Pospieszcie się! Musimy się stąd wynieść w ciągu godziny. Zostań na straży. Jeśli nikogo nie zauważysz, ruszaj za nami.

Dwaj mężczyźni zawrócili ku zamkowej wieży, przymykając uchylone drzwi. Dziedziniec pograżony był teraz w ciemnościach.

Po chwili Gordon i jego przyjaciele usłyszeli ciche zgrzytnięcie dobiegające od strony wieży.

Mężczyzna, który pozostał na straży, przechadzał się tam i z powrotem.

- Percy - szepnął Peter. - Bierzemy go?

Percy tylko mruknął, co oznaczało aprobatę.

Dwa cienie wyśliznęły się bezszelestnie na zewnątrz. Za moment Sharon usłyszała głucho uderzenie i już mężczyźni byli z powrotem, wlokąc za sobą ogłuszonego strażnika. Błyskawicznie skrupowali go i porzucili w kącie.

- Jednego mamy z głowy - stwierdził Peter z zadowoleniem.

- Nie będziemy wypuszczać się w poprzek dziedzińca - rzekł Gordon. - Idziemy dalej korytarzem. Sharon, trzymaj się blisko mnie.

Posuwali się po omacku w kompletnych ciemnościach, nie wiedząc, jakie przeszkody napotkają po drodze. Co jakiś czas natrafiali na kolejne drzwi. Jak przypuszczali, szli przez zamkowe pokoje.

Korytarz zakręcał pod kątem prostym. Nad głowami mieli teraz zrujnowaną wieżę, jedną z dwóch, które ocalały. Dziura w dachu rozjaśniła nieco ciemności. Stanęli koło drzwi, które zapewne prowadziły do pomieszczenia tuż pod samą wieżą.

Gordon zatrzymał się zdezorientowany.

- Chodźmy dalej - powiedział Peter. - Tamci ludzie zniknęli w następnej wieży.

Korytarz ciągnął się teraz wzdłuż linii brzegowej. Niektóre pokoje miały nieduże okienka wychodzące na morze. Dawały one nieco więcej światła.

Andy wszedł do jednego z pokoi i wyjrzał ciekawie przez okrągły otwór.

- Chodźcie tu - wyszeptał.

Okno było naprawdę nieduże, podchodzili więc kolejno rzucić okiem na zewnątrz.

W głębi zatoki, pokonując kołysanie fal, cumował statek transportowy. Małe latarenki na pokładzie wyglądały jak mrugające na niebie gwiazdy. Kiedy Sharon przeniosła spojrzenie na brzeg, jej oczom ukazała się stalowa konstrukcja, która przypominała podnośnik albo dźwig. Duży ładunek zjeżdżał właśnie z zamku na dół, prosto na pokład. Sharon od razu pomyślała, że tym ładunkiem może być skradziona ruda.

- Ach, więc tu znika drogocenny chalkopiryt! - odezwała się do Gordona. - A przecież tak wiele wysiłku kosztuje was jego wydobycie...

- To prawda, ale tamci mężczyźni wcale nie mają lżej od nas - odparł sucho Gordon. - Tylko jak ich dopaść, zanim statek opuści wyspę? Chłopaki, co robić?

- Wiemy przynajmniej, co oznacza zielonkawe światelko na wieży - powiedział Peter. - To na pewno sygnał dla statku, który, jak sądzę, czeka na znak przy którejś z pobliskich wysepek. Tylko nie pojmuję, dlaczego właśnie zielonkawe?

- Mnie się wydaje - wtrącił się pastor - że zależy im na stworzeniu aury tajemniczości i magii. Nikt z mieszkańców osady nie odważy się tu podejść w trakcie samego załadunku. Uzyskanie zielonej poświaty nie jest wielką sztuką.

Gordon zastanawiał się w skupieniu.

- Wszyscy na wyspie wiedzą, że zamierzamy ostatecznie rozwikłać tajemnicę zamczyska. Coś mi mówi, że to ostatni załadunek. Ci, którzy mają coś wspólnego z kradzieżami, na pewno zabiorą się tym kursem.

- Racja - przytaknęła Sharon. - Mogę się też założyć, że na pokładzie znajduje się Linda.

- Na pewno. Ale oni nie wiedzą, że wyjaśniliśmy także sprawę kradzieży rudy. Tak czy owak, musimy się spieszyć.

Sharon zadrzała. Pozostała jeszcze jedna tajemnica: czarownik. Odnosiła wrażenie, że postać ta to nie tylko wytwór ludzkiej wyobraźni, wydawało jej się, że czarownik był prawdziwy, o ile tak można wyrazić się o postaci z zaświatów.

- Zobaczymy, co też dzieje się w drugiej wieży - oświadczył Gordon.

Znowu skradali się korytarzem, ale teraz nie sprawiało im to większych trudności: tu i ówdzie ściany częściowo się zawałyły, tak że do środka wpadało światło księżyca. Z końca korytarza docierał delikatny blask lampy. Była tam niegdyś ściana, teraz w ruinie. Otwór niedokładnie przesłonięto deskami. Tu spodziewali się znaleźć spory zapas skradzionej rudy. Stąd także prawdopodobnie obsługiwano dźwig, przynoszący chalkopiryt na pokład statku.

Ich podniecenie rosło, toteż przyspieszyli kroku. Nie zdążyli jednak dotrzeć do końca

korytarza, gdy otworzyły się jakieś drzwi, które minęli wcześniej. Zrobiło się nagle całkiem jasno, a jakiś mężczyzna krzyknął ostrzegawczo do swoich kompanów. W następnej sekundzie dokoła zapanował niesamowity chaos.

Przerażony Gordon zawołał do żony:

- Sharon, uciekaj! Oni mają broń!

Zrozumiała, że będzie tylko zawadzać, i w mgnieniu oka ruszyła z powrotem, szukając jakiegoś ukrycia. Ktoś wystrzelił z pistoletu. Sharon wykrzyknęła imię męża, ale jej krzyk zmieszał się z echem strzału.

- Już dobrze, nic się nie bój - usłyszała niedaleko uspokajający głos Gordona.

W pierwszej chwili pomyślała, że ukryje się w jakimś pokoju, ale zaraz uznała, że nie jest to całkiem bezpieczne. Gdy spostrzegła, że ktoś biegnie w stronę pomieszczenia leżącego tuż przy zamkowej wieży, podążyła w tym samym kierunku.

To na pewno Margareth, pomyślała. A ponieważ płynął stamtąd strumień światła, które teraz wydawało się jej błogosławieństwem, przyspieszyła kroku. Gdy po omacku dotarła wreszcie do upragnionych drzwi, bez zastanowienia zamknęła je za sobą.

Pełna zdumienia poczęła rozglądać się po półokrągłej sali, którą rozświetlało światło lampy naftowej. U stóp Sharon znajdowały się kamienne schodki prowadzące w dół do przestronnego pomieszczenia o wysokim stropie i bardzo grubych ścianach. Ale największe zdumienie dziewczyny wywołały przedmioty, jakie tu zobaczyła.

Zeszła powoli schodkami w dół. Były tam półki, na których stały pokaźnej grubości książki, wokół leżały też przedziwne stroje, które pod najdelikatniejszym nawet dotknięciem po prostu się rozpadały. Sharon z przerażeniem patrzyła na straszne przedmioty niewiadomego przeznaczenia. Ludzka czaszka, wypchane korpusy zwierząt i ptaków, tajemnicze naczynia.

Sharon zadrżała. Za jej plecami ktoś się poruszył. Zupełnie zapomniała, że jakaś osoba wbiegła tu przed nią.

- Margareth, czy to ty? - zapytała niepewnie, nie odwracając głowy.

Nikt nie odpowiedział.

Mój Boże! pomyślała z rosnącym przerażeniem. A może to któryś ze złodziei rudy? Co teraz zrobić?

Odwróciła się powolutku i wtedy jej serce zamarło, a z ust wydobył się przeciągły jęk.

Wysoko na schodkach stała potężna postać, rzucając na ścianę za sobą jeszcze większy cień. Sharon odniosła wrażenie, że ścina się jej krew w żyłach. Tę postać знаła aż za dobrze. Ciemny, powłóczysty płaszcz zwisał do samej ziemi, a spod siwiejącej czupryny

patrzyła na nią para żółtych ślepi.

Sharon miała przed sobą czarownika z Wyspy Nieszczęść.

ROZDZIAŁ XXIV

Chciała krzyknąć, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Jak zakłęta wpatrywała się w tę okropną, szarą, zniszczoną twarz o wydatnych wargach wykrzywionych w pogardliwym uśmiechu. Taki sam uśmiech posłał jej czarownik tego dnia, gdy pojawił się w osadzie.

Gordonie, Gordonie, gdzie jesteś? myślała przerażona, ale wiedziała, że nie ma go po co wołać. A jeśli przytrafiło mu się coś złego? Nie, tak nie można myśleć!

Stała bez ruchu. Czarownik natomiast zaczął powoli schodzić ze schodków i zbliżać się w jej kierunku. Wielką dłonią sięgnął ku lampie i po chwili salę ogarnęły ciemności.

Sharon oddychała płytko, a serce biło jej jak szalone. Czy on mnie widzi po ciemku? zastanawiała się. Ja przynajmniej widzę te jego ślepie! Wiem, gdzie się znajduje, więc może uda mi się go wyminąć i wydostać stąd? Żebym tylko nie dotknęła któregoś z tych obrzydliwych przedmiotów! Dlaczego nie uciekałam, gdy było tu jeszcze jasno?

W tej samej chwili z przerażeniem zobaczyła, że blask w żółtych ślepiach czarownika także powoli przygasa. Wkrótce wokół niej zapadła całkowita ciemność. Gdzieś, w samym środku tej ciemności znajdował się on...

Serce Sharon waliło teraz tak, że czuła bolesne pulsowanie w skroniach.

Zrobiła ostrożnie kilka kroków w kierunku schodów, gdy zorientowała się, że straszliwa postać jest w pobliżu. Zupełnie jak nietoperz, który czuje czyjąś obecność na swojej drodze. Usłyszała jakieś skrzypnięcie, ale nie była pewna, z której strony dochodziło. Po chwili dobiegł ją chlupot przelewanej cieczy, który równie szybko ucichł. Wciąż posuwała się w stronę drzwi. Była wdzięczna, gdy w korytarzu rozległ się silny odgłos strzału, który zagłuszył jej kroki.

Nagle coś dziwnego pojawiło się na jej drodze. Była to jakaś chmura dymu albo pary o nieprzyjemnym, zgniławym i dławiącym zapachu, która wiała Sharon prosto w twarz. Dziewczyna zaczęła się krztusić, na oślep rzuciła się w kierunku drzwi, ale jej krzyk szybko się urwał. Poczowała, że płacze się w poły płaszcz. Czyjeś ręce pochwyciły ją za kark, a usta i nos zatkało czymś potwornie śmierdzącym.

Sharon walczyła z niewidzialnym napastnikiem, usiłując złapać powietrze, ale na darmo. Gordon, Gordon, gdzie jesteś... myślała zrozpaczona. Szybko opadła z sił i straciła przytomność.

Sharon ocknęła się, czując zimny powiew świeżego morskiego powietrza i przejmujący ból głowy. Wiał silny wiatr, a morze uderzało ciężkimi falami o skały.

Ktoś ją włókł, z wyraźnym trudem pokonując skaliste nierówności. Ten ktoś nie był tak silny jak Gordon; ciągnąc bezwładną dziewczynę napastnik ciężko dyszał i sapał. Po chwili pojawił się jeszcze ktoś inny, po czym Sharon poczuła, że uniesiono ją wysoko i położono na rozbudowanej podłodze.

Teraz Sharon zrozumiała, co się stało. Zaciągnięto ją na statek, który wcześniej zauważyli z zamku.

W dalszym ciągu panowała wokół ciemność. Wciąż też bolała ją głowa. Teraz ktoś wniósł ją do niewielkiej kajuty i ułożył na pościeli. Pod sufitem huśtała się lampa naftowa, która przypominała dziewczynie migającą na niebie gwiazdę.

Pochylił się nad nią jakiś mężczyzna, ale zamiast twarzy Sharon widziała tylko jaśniejszą plamę. Po chwili ten ktoś odezwał się:

- Sharon...

To nie był Gordon, ale głos wydał się Sharon znajomy.

- Nareszcie udało mi się ciebie zdobyć, wreszcie mam cię tylko dla siebie, moja mała różyczko. A myślałem, że wszystko stracone.

Sharon wciąż nie mogła odgadnąć, kto to tak do niej przemawia.

- Niedługo odbijamy - ciągnął. - Odtąd będziemy tylko my dwoje, nic poza tym mnie nie obchodzi. Zresztą tamci na pewno już nie żyją. Gordon miał ze sobą tylu ludzi. My wkrótce dotrzemy do Ameryki Środkowej, a tam, Sharon, będę bogaty, bardzo bogaty! Zabrałem tylko te najcenniejsze minerały i zdobyłem także najpiękniejszą kobietę.

Doktor Adams! uświadomiła sobie nagle Sharon. Mój wierny adorator!

- Nigdy więcej nie zaznasz biedy ani takiej samotności, jaką cierpiełaś na tej przeklętej wyspie. Dam ci wszystko czego tylko zapragniesz, maleńka.

- Nie, Williamie. To niemożliwe - słabym głosem, ale stanowczo powiedziała Sharon. - Nie dasz mi Gordona.

- Gordona! - wykrzyknął doktor Adams. - A na cóż ci Gordon, skoro i tak go nie kochasz! To prostak, który nie rozumie kobiet. Jak on cię potraktował? Co ty w nim takiego widzisz?

Sharon milczała, kompletnie załamana. Dla niej już nie ma ratunku. Właściwie było jej wszystko jedno...

- Pomyśl tylko, Sharon - rzekł z dumą doktor Adams. - To wszystko moje dzieło! To

ja przed laty odważyłem się wejść na zamek. To ja znalazłem księgę pełną tajemniczych formuł. Muszę przyznać, że czarownik był nadzwyczaj byстрым człowiekiem. Ja sam odkryłem opis trującej rośliny i zrozumiałem, czym jest zaznaczona na mapie droga. Piwnica zamkowa doprowadziła mnie do zawaliska w kopalni. Podejrzewam, że francuski magnat wykorzystywał to miejsce na więzienie lub celę śmierci dla nieposłusznych podwładnych.

- To prawda! - potwierdziła Sharon. - My też znaleźliśmy ukryty chodnik, prowadzący do zamkowych lochów.

Twarz Williama wykrzywiła się złością, ale zaraz się opanował i mówił dalej:

- Zszedłem na dół, ruszyłem chodnikiem i odkryłem zawalisko. Namówiłem kilku posłusznych górników...

- Posłusznych, dobre sobie! - rzuciła pogardliwie Sharon.

- Mnie byli posłuszni. Dzisiaj dokończymy dzieła. Zrozumiałem, że wpadliście na nasz trop, i dlatego znikam.

- Ale o nich już się nie troszczysz? Wykonali dla ciebie czarną robotę, a ty porzucasz ich na pastwę losu?

- A kto to wszystko wymyślił? - zapytał ostro doktor Adams. - Beze mnie nic by nie osiągnęli

- Więc ty cały czas wiedziałeś, na jaką chorobę cierpi Andy i jego towarzysze?

Doktor Adams zaśmiał się pogardliwie.

- Jasne, że wiedziałem. To ja zasadziłem sumak w pobliżu zamku i odtąd nikt nie miał odwagi się tam pojawiać. Oparzone miejsca mogłem wyleczyć dużo wcześniej, ale po co? Specjalnie nacierałem je odrobiną jadowitego soku za każdym razem, gdy ci głupcy przychodzili do mnie z kolejną wizytą. W ten sposób podtrzymywałem w nich przekonanie, że na zamku wciąż mieszka zły duch. Dopiero gdy ty się pojawiłaś, nie potrafiłem wyrządzić ci krzywdy...

Gdyby Andy się o tym dowiedział, nie chciałabym być w skórze Williama, pomyślała Sharon.

Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich Linda.

- Czemu jeszcze nie wyruszamy? - zapytała i w tym samym momencie oniemiała. Jej twarz wykrzywiła się złością. - Sharon? A co ona tu robi?

William wstał.

- Ona należy do mnie i mam zamiar ją ze sobą zabrać - rzekł kategorycznym tonem. - A ty nie masz tu nic do gadania! Wciąż nie mogę sobie darować, że w ogóle przyjąłem cię do pracy. Twoje wścibstwo mnie zgubiło. Odkryłaś, w jaki sposób zdobywamy rudę i dokąd ją

wywozimy. Skoro tak się to wszystko potoczyło, musisz robić to, co ci każę. Nie będziesz mnie już więcej szantażować! - ciągnął rozzłoszczony William. - O mały włos wszystkiego nie zepsułaś! Wczoraj musiałem sam unieszkodliwić tego drania, który mi ukradł księgę i podrzucił Sharon. Nie mogłem tego tak zostawić.

- Za żadne skarby nie pozwolę, żebyś zabrał ją do Ameryki! Nie dopuszczę, żeby to ona pławiła się w twoim bogactwie!

Nagle umilkła, bo z pokładu doszły ich odgłosy walki. William zaklął.

- Są tu! Odnaleźli nas! - krzyknął przerażony. - Właściwie dlaczego my do tej pory jeszcze nie odbiliśmy?

I wypadł z kajuty.

Sharon uniosła się na posłaniu, ale zabrakło jej sił, by wstać. Linda natychmiast znalazła się przy jej łóżku.

- To wszystko przez ciebie! Zawsze stajesz mi na drodze! - krzyczała rozwścieczona. - Ty piekielny małpiszonie! Niewiniątko z anielską buzią! Ale ja jestem silniejsza i ładniejsza! Tym razem to koniec! Już nigdy mi w niczym nie przeszkodzisz!

Sharon próbowała wyzwolić się z żelaznego uścisku Lindy, ale była zbyt słaba. Nagle drzwi otworzyły się z hałasem i do kajuty wpadł Gordon. W okamgnieniu odciągnął Lindę od Sharon i odepchnął z całych sił. Linda wpadła prosto w ramiona Andy'ego, który właśnie pojawił się w drzwiach. Wspólnie z Percym związali ją sznurami tak, by nie mogła się ruszyć.

Gordon wziął Sharon na ręce i ostrożnie wyniósł na pokład. Leżała w jego ramionach bezwładnie. Na dworze już szarzało, nad spienionym morzem wciąż hulał wiatr.

Sharon powoli wracała do siebie. Zdołała się zorientować, że na statku zapanował już spokój. Ludzie Gordona w pełni kontrolowali sytuację. Margareth opatrywała rannych, a pastor klęczał nad ciałem leżącym nieruchomo na pokładzie.

- Nie żyje - powiedział i przykrył zmarłego swoim płaszczem.

- Peter, poprowadzisz statek wzdłuż wybrzeża i zawiniesz do portu - polecił Gordon. - Pilnuj wszystkich, a szczególnie Lindy.

- Nie musisz się obawiać - rzekł Peter zduszonym głosem. - I pomyśleć, że ta kobieta przez kilka dni była moją żoną! Postaram się, żeby wróciła do Anglii. Sharon będzie wreszcie wolna od ciężącego na niej oskarżenia. A co z pozostałymi?

- Załogę odeślemy do Kanady, bo stamtąd przybyli. Reszta popłynie do Anglii. A my musimy jeszcze się dowiedzieć, gdzie znajduje się ruda, którą wywieziono wcześniej. Może uda nam się uzyskać jakieś zadośćuczynienie za nasze straty? Na razie zabieram Sharon na ląd. Jak tylko lepiej się poczuje, pójdziemy na zamek, bo chciałbym przyjrzeć mu się z bliska

za dnia. Mam nadzieję, że tym razem nic nam nie przeszkodzi. Przypomniało mi się, że związaliśmy tam jednego z ludzi Williama...

- Jest tutaj, zabraliśmy go razem z innymi - powiedział Peter.

- Świetnie. Dziękuję wam, spisaliście się wybornie!

Gdy statek odbił od brzegu, Gordon ułożył Sharon w szczelinie skalnej na pierzynie z miękkiego mchu, podkładając jej pod głowę swoją kurtkę. Tu nie dokuczał im już wiatr.

- Jak się teraz czujesz?

- Trochę lepiej. Ból głowy powoli ustępuje. Dobrze mi robi świeże powietrze.

- Pomyślałem, że może męczy cię ciągle bujanie statku.

- Dziękuję. Cieszę się, że mnie zabrałeś.

Gordon podparł się na łokciu. Na jego twarzy pojawił się nieśmiały, jakby przepraszający uśmiech.

Sharon ze wszystkich sił starała się odpowiedzieć tym samym. Gorąco pragnęła, by wszystko między nimi układało się jak najlepiej. Ale tak nie było. Z rezygnacją odwróciła głowę.

- Sharon! - rzekł błagalnym tonem. Przyciągnął ją gwałtownie do siebie, objął czule i przytulił. - Sharon! Nie odtrącaj mnie dłużej! Tak bardzo tęsknię, tak bardzo cię potrzebuję!

Sharon czuła, jak drży każdy mięsień i każdy nerw jej ciała. W pierwszym odruchu omal nie odepchnęła Gordona. Jej dłonie leżały nieruchomo na jego plecach, z wielkim wysiłkiem zmusiła się, by ich nie cofnąć, ale nie stać jej było na nic więcej. Gordon zauważył jej reakcję. Bardzo pragnął odzyskać zaufanie i miłość żony. Przytulił swoją twarz do jej policzka.

- Błagam cię - szeptał skruszony. - Błagam cię, kochanie, wróc do mnie! Tęsknię za twoim uśmiechem, za ciepłem twoich rąk i blaskiem w twoich oczach! Wybacz mi! Choć tak bardzo cię skrzywdziłem, nie odchodź ode mnie!

Jeśli go teraz odtrącę, sprawię mu tyle samo bólu, co on mnie tamtego wieczoru, myślała z rozpaczą. Nie chcę, żeby tak się stało, ale tak bardzo się boję. Ale jeśli on kłamie? Nie mogę mu pokazać, że wciąż go kocham, nie mogę! Znowu wyśmieje mnie i odwróci się ode mnie z pogardą. Nie mogę się poddać! Och, Boże, co ja mam zrobić? Nie chciałabym go zranić, ale... Jak mam z tego wybrnąć?

Gordon uniósł się i usiadł z rezygnacją, opierając głowę na kolanach. Wokół panowała głęboka cisza. Nagle Sharon poczuła, że po policzku spływa jej kilka słonych jak morska woda łez...

Przecież nie płakałam? Leżałam jak martwa w jego ramionach. Zimna i niewrażliwa...

Sharon wzięła głęboki oddech.

Gordon? Ten sam surowy, nieprzejednany Gordon Saint John?

Teraz dopiero rozumiała. Obok niej siedział zupełnie inny człowiek. Nie był to już zamknięty w sobie zarządca kopalni. Tym razem trzymała w ramionach mężczyznę, którego przedtem nigdy nie spotkała. Mężczyznę, który całe życie przeżył w samotności.

Zacięty, hardy chłopak z domu dziecka po raz pierwszy w życiu prosił o ciepło, miłość i zrozumienie.

A ona, choć przecież wciąż go kochała, właśnie tego chciała mu odmówić!

Odetchnęła z ulgą i przyklękła przy mężu. Ujęła jego głowę, przytuliła do swojej piersi i wyszeptała do ucha:

- Nieważne, co sobie o mnie pomyślisz, co powiesz, ale już dłużej nie zniosę tej udręki. Bardzo cię Kocham i kochałam cały czas. Wierz mi, Gordonie...

Z oczu Sharon popłynęły łzy. Gordon spojrzał na żonę i nagle zaczął się śmiać. Ale był to śmiech tak szczery, tak spontaniczny, że udzielił się także Sharon. Opadła na mech, a Gordon, wciąż ją przytulając, śmiał się coraz serdeczniej. W pewnej chwili Sharon wykrztusiła:

- A, śmieję się, śmieję, jest mi już wszystko jedno...

- Sharon, dziecinko! Przecież nie śmieję się z ciebie! Jestem po prostu bezgranicznie szczęśliwy i wciąż nie mogę w to szczęście uwierzyć! Po raz pierwszy od tamtego okropnego wieczoru ujrzałem w twoich oczach radość! Och, Sharon...

Pocałunek, jakim Gordon obdarzył żonę, był tym razem słony. Wyrażał tyle tęsknoty, tyle miłości, że Sharon wciąż nie mogła uwierzyć, że to nie sen. Gordon raz jeszcze przytulił swój policzek do twarzy Sharon i rzekł łagodnie:

- Przeszliśmy bardzo długą drogę, by się odnaleźć, ale w końcu się udało. Chodź, jest chłodno, wracajmy do domu.

- Do domu? Do naszego domu, prawda? - powtórzyła z uśmiechem. - Chodźmy, Gordonie.

Nie śpieszyli się. Dzień zagościł już na dobre, zrobiło się całkiem jasno. Morze szumiało, mieniając się różnymi odcieniami granatu, a drzewa kołyszące się nad zamkowymi murami śpiewały poranne ballady. Gordon i Sharon dotarli do komnaty pod wieżą i weszli do środka.

- Co zrobisz z tym wszystkim, co się tu znajduje? - zapytała Sharon.

- Jeszcze nie wiem. Muszę to najpierw przejrzeć. To, co warto zatrzymać, prześlemy do muzeum. Pozostałe przedmioty spalimy.

Pochylił się nad ciemną tkaniną leżącą na schodach i unióś ją w palcach, jakby go parzyła. Był to płaszcz czarownika. Do jego kołnierza przyczepiona była głowa, wykonana z gipsu lub czegoś podobnego.

- Popatrz - powiedział. - W środku umieścił maleńką lampkę. A cały płaszcz zawieszono na kawałku stalowego drutu, tak by figura mogła sama stać. Wtedy, gdy któryś z nas strzelił do niej, po prostu spadła na dół. Podejrzewam, że znajdziemy w płaszczu dziurę po kuli.

- A wówczas gdy widzieliśmy go stojącego w bramie wjazdowej, też nikogo pod tym płaszczem nie było? - spytała Sharon, zerkając na nieprzyjemną maskę o pogardliwym uśmiechu.

- Na pewno - odparł Gordon. - William przecież szedł z nami. Ale spójrz, w całej tej konstrukcji nie zmieściłby się nikt wyższy niż on.

Sharon zaśmiała się.

- Wiesz co? A ja byłam przekonana, że to prawdziwy duch.

Gordon odpowiedział ciepłym uśmiechem.

- Zabiorę to przebranie, by pokazać je wszystkim mieszkańcom wyspy, bo jeszcze gotowi nie uwierzyć, że pokonaliśmy czarownika. Wciąż jednak nie wiem, w jaki sposób mógł zajrzeć w twoje okno.

- Najpewniej tego wieczoru Linda pożyczyła płaszcz - powiedziała Sharon. - Chciała mnie wystraszyć. William był na nią za to okropnie zły, bo niewiele brakowało, a cała sprawa by się wydała.

- Szczerze mówiąc, trochę jestem jej wdzięczny. Dzięki niej przybiegłaś do mnie po pomoc - zaśmiał się Gordon. - No, chodźmy już.

Objął Sharon czule, co tym razem nie wywołało sprzeciwu dziewczyny. Popatrzyli sobie w oczy.

Gdy doszli do murów, Gordon zatrzymał się na chwilę, by zmierzyć odległość między najwyższym punktem a ziemią tuż pod galerią.

- Widzisz ten drut? Jeśli pójdziemy za nim...

Zrobił kilka kroków w kierunku ciasnego przejścia między ścianami.

- Tak myślałem. Tu wisi druga taka sama postać, tylko bez twarzy i płonących oczu. Zobacz! Mały gwizdek wydaje z siebie świszczący dźwięk przy słabym nawet podmuchu wiatru. To właśnie słyszeliśmy.

- William nie był pozbawiony wyobraźni - stwierdziła Sharon.

- Rzeczywiście. Stary czarownik także znał się na rzeczy, ale on zajmował się głównie

czarną magią. William na pewno wykorzystał niejedną jego pomysł.

- Nic dziwnego, Gordonie, że tak długo wodził nas za nos. Jako lekarz doskonale wiedział, jakie są skutki działania trującego sumaka, znał też przyczynę śmierci górnika. Tak się cieszę, że będę mogła przynieść Andy'emu i innym dobrą wiadomość ich dolegliwości wkrótce miną!

Opuścili ponure ruiny. Gordon dokładnie osłonił usta i nos Sharon szalem, sam uczynił to samo. Potem wziął żonę za rękę i bardzo szybkim krokiem przeszli przez porośniętą sumakiem polanę. Płaszcz „ducha”, który zabrał ze sobą Gordon, zaczepił się o krzaki, i Gordon nie miał odwagi zatrzymać się na dłużej, by go uwolnić. Gdy dotarli już na szczyt schodów, Sharon odwróciła się i powiedziała:

- Och, to było okropne. A co się stanie z trującymi roślinami?

- Musimy je wszystkie powyrywać razem z korzeniami i spalić. Znajdziemy też dolinę, o której mówiłaś, by i tam zlikwidować każde jej kłacze. Na wyspie nie może zostać po niej najmniejszy ślad. Sumak jadowity to jeden z najbardziej trujących gatunków tej rośliny.

Stali jeszcze przez chwilę, wpatrując się w ruiny starego zamczyska. Wiatr świszczął pomiędzy wiekowymi murami. Silniejszy podmuch pochwycił szary płaszcz doktora Adamsa i uniósł go daleko, w kierunku morza.

Gordon i Sharon wrócili do osady. Teraz nie musieli się już nigdzie spieszyć. Gdy mijali nowe budynki, Gordon przystanął.

- Dotychczas nie udało się nam naszkicować planu naszego domu - powiedział. - Może pomyślelibyśmy nad tym dziś wieczorem?

- Dobrze - odparła Sharon z zapałem. - Obmyśliłam już, co i gdzie powinno się znajdować.

- Ja także - odpowiedział. - Żebyśmy się tylko nie pokłócili! - zażartował.

- No nie, jakoś się przecież dogadamy - uśmiechnęła się Sharon.

Gordon odwrócił się do żony, położył dłonie na jej ramionach i rzekł z powagą.

- Sharon, jest coś, co chciałbym ci powiedzieć.

- Co takiego?

- Zmieniłem pogląd na pewną sprawę. Chodzi mi o... no wiesz, o to, czego pragnęłaś, a ja nie chciałem ci dać. Ja... bardzo chciałbym mieć z tobą dziecko.

Uradowana Sharon rzuciła się mężowi na szyję i zawołała:

- Och, Gordon, jakże ty mało wiesz o kobietach!

- Być może, ale jestem gotów do zdobycia tej wiedzy.

Sharon uśmiechnęła się pod nosem.

- To ci się nie uda. Ale obiecuję, że będę dzielić się z tobą swoimi myślami, kłopotami i uczuciami. Liczę też na wzajemność. To jest przecież takie ważne w miłości!

- Chyba właśnie tego mi całe życie brakowało - westchnął. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię spotkałem.

Wtuliła nos w jego policzek i rozkoszowała się ciepłem otaczających ją silnych ramion.

- Ty też nie jesteś taki najgorszy - mruknęła ledwie słyszalnie.

Uśmiechnął się do niej.

- Moje ty słonko - szeptał.

Sharon położyła głowę na ramieniu Gordona i stała tak długo, spokojna i pełna szczęścia. Na wschodzie wstawało leniwe słońce, rzucając na zamkowe ruiny łagodne, ciepłe promienie. Noc, która trwała na Wyspie Nieszczęść ponad trzysta lat, wreszcie dobiegła końca.